

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 8 (311) • ROK XXVI • SIERPIEŃ 2021



TO JESZCZE
NIE KONIEC LATA



fot. Tomasz Bienenek



Linią kolejową pomiędzy Tychami a Katowicami przebiega nieustannie tysiące pasażerów udających się pociągami z pracy do domu lub turyści jadący w góry, lecz mało kto z podróżnych wie, iż odcinek torów między Katowicami Ligotą a Żwakowem i Kobiórem stał się w pierwszych dniach września 1939 roku specyficznym polem walki – skierowano tu polski pociąg pancerny, który zadał ciężkie straty nieprzyjacielowi. Na zdjęciu tory wyjazdowe ze stacji Katowice Ligota w kierunku Tychów, tędy pociąg ten po uzupełnieniu zapasów wracał do boju.

Szczegóły str. 34

fot. Iwona Żelazowska



Podróżniczka i pisarka Iwona Żelazowska tym razem zabiera nas w egzotyczną podróż do meksykańskiego Guadalupe. Przybliża jednocześnie przedziwny świat wierzeń i specyficzne podejście do religii chrześcijańskiej, cechujące narody latynoamerykańskie. Opisuje też kulisy przymusowej chrystianizacji, która odcisnęła piętno na historii miejscowych Indian.

Szczegóły str. 40

fot. Wojciech Hławiczka, archi. Śl. Org. Tur.



Dziś wypas owiec w Beskidzie Śląskim i Żywieckim to raczej turystyczna atrakcja, wynikająca poniekąd z mody na ekologię i agroturystykę, w dodatku bardzo widowiskowa, jednak w dawnych wiekach proceder ten był istotną gałęzią góralskiej gospodarki, przynosząc góralskim rodzinom sówite dochody. Wokół hodowli owiec i towarzyszącej im produkcji serów, mleka, wełny i skór, w tamtym czasie narosły też dziesiątki przesądów i wierzeń, stanowiących istotny element góralskiej obyczajowości.

Szczegóły str. 52

fot. materiały muzeum „Ochorowiczówka”



Istniejące od 2017 roku Muzeum Magicznego Realizmu w Wiśle posiada największą w Europie kolekcję dzieł artystów związanych z tym nurtem. Zgromadzono tu m.in. prace Zdzisława Beksińskiego, Tomasz Sętowskiego, Rafała Olbińskiego, Wojciecha Siudmaka, Jarosława Jaśnikowskiego, Marcina Kołpanowicza, Hansa Bellmera, Beaty Jurkowskiej, Jakuba Różalskiego, Katarzyny Kani oraz wielu innych artystów. Placówka działa w dość tajemniczym miejscu – dawniej willi Juliana Ochrowicza, żyjącego na przełomie XIX i XX wieku badacza i wynalazcy.

Szczegóły str. 68

Nr 8 (311). Rok XXVI. SIERPIEŃ 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSAWIEŚŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEKKATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLEK
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Michał Spurgiasz* I POWSTANIE ŚLĄSKIE
6 *Franciszek Kiedroń* PAMIĘTNIK Z WRZEŚNIA 1939
10 *Roman Wyborski* UNIWERSYTECKIE POWINNOŚCI PO CHEŁKOWSKIM I PAŃCE
12 *Piotr Skowronek* W PRZYJAŹNI Z MUZYKĄ. ROZMOWA Z PROF. IZABELLĄ
ZIELECKĄ-PANEK
18 *Agnieszka Zielińska* STAROŚĆ NA ROZDROŻU
20 *Ks. Henryk Pyka* PORTRET ŻOŁNIERZA CHRYSZTUSOWEGO
22 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* DZIEŃ, KTÓRY MIAŁ NAS ODMIENIĆ
31 *Zbigniew Lubowski* SZCZYRK – KURORT NAD ŻYLICĄ
34 *Tomasz Bienek* WRZEŚNIOWI BOHATEROWIE Z FORTEC NA SZYNACH
43 *Henryk Szczepański* KONRAD SWINARSKI. CZY MOGŁO BYĆ INACZEJ? CZ. II
46 *Marian Kisiel* KADISZ SIEROCY. LEONARD NEUGER 2 KWIETNIA 1947 – 9 LIPCA
2021
49 *Anna Korusiewicz, Maria Korusiewicz* NASŁUCHIWANIE NATURY; OGRÓD
JAPONSKI
52 *Edward Wieczorek* KTO MA OWCE, TEN MA CO CHCE, CZYLI O TRADYCJACH
PASTERSKICH W BESKIDACH I SZLAKU BACÓWEK BESKIDZKICH
56 *Wojciech Lipowski* MIEJSCE NA ZIEMI
58 *Wojciech Lipowski* DYSKRETNY UROK ZMIERZCHU
62 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* WYGADANY WYGA SZWEJK. STULECIE
POWIEŚCI HASZKA
68 *Tomasz Bienek* W KRÓLESTWIE SENNEGO MARZENIA
76 *Weronika Pawłowicz* MOJA KOCHANA SOPHIE! NAJDROŻSZY MÓJ JÓZKU!

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: OBRAZY ZE ZBIORÓW MUZEUM REALIZMU MAGICZNEGO
W WIŚLE

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Marian Kisiel* SARNA
16 *Marian Kisiel* WIERSZE
26 *Edward Zyman* ŚRODOWISKO
40 *Iwona Żelazowska* MATKA BOSKA Z GUADALUPE (FRAGMENT KSIĄŻKI
„KRAINA WIELU BOGÓW”)
60 *Harry Duda* WIERSZE

FELIETONY

- 19 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* O NAZWISKU GANSINIEC
I O DOLNOŚLĄSKIM GEŚINCU
30 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* FESTIWALOWE ŻYCIE –
Z KRYNICY-ZDROJU DO BIAŁEJ PODLASKIEJ
37 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* MELUZYNIA. FENOMEN WIECZNEGO TRWANIA
38 BŁYSKI I ZAPATRZENIA *Marian Sworzeń* ROMAN STOPA, „SPOD CHŁOPSKIEJ
STRZECHY NA KATEDRĘ UNIWERSYTETU”
48 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* WILNO – CZĘŚĆ „KRESOWEJ
ATLANTYDY”
75 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* EUGENIUSZA KNAPIKA
POSTMODERNIZM NATCHNIONY

KSIĄŻKI

- 64 *Andrzej Juchniewicz* WYMYKAJĄCA SIĘ NIREŃSKA
65 *Piotr Skowronek* WIELCY GÓRNEGO ŚLĄSKA
66 *Lucyna Sadzikowska* ZOFIA KOSSAK JUBILEUSZOWO
67 *Marian Kisiel* ZAPISKI Z PAMIĘCI
80 KSIĄŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE

78 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:
Roman Schmelter, Przed burza, olej, 2021Trzecia strona okładki:
Figura św. Floriana przy kościele parafialnym pw. Świętych Apostołów Piotra
i Pawła w Świętochłowicach. Fot. *Tomasz Bienek*



Sala Sejmu Śląskiego

Sarna

Przemknęła sarna. Wybiła kopytkiem tro-
py na ozimie. Złęczniona naszą obecnością,
szusuje w stronę lasu. Nie chcieliśmy jej spło-
szyć. Wnet urosną trawy i zaszumią zboża.
Niech zielone pola będą dla niej wytchnieniem
po strachliwym biegu. O, jakże błogie będzie
schronienie w muskającym wietrze.

W lipcu br. Kapituła Nagrody Literackiej im. ks. Jana Twardowskiego przyznała nagrody za rok 2021. Laureatem został śp. Jacek Łukasiewicz (1934-2021) za tomik *Cięcia*. Kapituła wyróżniła również cztery inne tomiki – *Niteczkę* Macieja Bieszczada, *Śpiewnik z oka* Krzysztofa Czachorowskiego, *Ptaki, ptaszki* Mirosława Dzieńca oraz *Zielone pola* Mariana Kisiele. Naszemu redakcyjnemu koledze gratulujemy, przypominając w tym numerze kilka wierszy z tomu wydanego przez „Śląsk” Wydawnictwo Naukowe.



Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfańtego

I powstanie śląskie

16/17 sierpnia – 24 sierpnia 1919

MICHAŁ SPURGIASZ

Sytuacja Polaków na Górnym Śląsku

Decyzja o plebiscycie została ambiwalentnie odebrana przez stronę polską i posiadających pełną kontrolę administracyjną na Śląsku Niemców. Przełożyło się na falę antypolskich prześladowań celem utrudnienia polskiego wysiłku organizacyjnego, czy powołanie na wysoko postawione stanowiska wrogo nastawionych do sprawy polskiej Niemców, takich jak Otto Hörsig (komisarz rządu).

Jedyny sposób naszej wygranej widzę w zastosowaniu brutalnej represji względem wszystkich, co polskie.

Otto Hörsig

W trakcie pierwszej połowy 1919 roku sytuacja między Polakami na Górnym Śląsku stopniowo się pogarszała. Szeroko zakrojony proces aresztowań działaczy polskich w lipcu 1919 roku oraz pogłoski o istnieniu list proskrypcyjnych obejmujących polskich działaczy niepodległościowych, wraz z preferencyjnym traktowaniem robotników niemieckich przy przyjmowaniu do pracy i złą sytuacją gospodarczą, spowodowały masowe strajki w kopalniach i hutach.

Niemiecka polityka terroru względem górnos Śląskich Polaków spowodowała, że od początku 1919 roku na teren Polski napływały uchodźcy z Górnego Śląska.

Masakra w Mysłowicach

Wydarzeniem przełomowym była masakra w Mysłowicach. 15 sierpnia przed bramami kopalni Mysłowice zgromadził się tłum górników wraz z rodzinami w oczekiwaniu

na wypłatę wynagrodzenia za pracę. Około godziny 13 zaczęto wpuszczać na teren kopalni 30-osobowe grupy robotników. Zniecierpliwiony, kierowany plotką, iż pieniędzy wystarczy tylko dla części oczekujących, około 3-tysięczny tłum sforsował bramę i wtargnął na teren kopalni. Kompleks chroniony był przez 157. pułk piechoty. Żołnierze otworzyli ogień do górników. Ostrzał karabinowy spowodował śmierć siedmiu górników, dwóch kobiet oraz 13-letniego chłopca, który przybył odebrać pieniądze w imieniu chorego ojca.

Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska

Polska Organizacja Wojskowa Górnego Śląska, konspiracyjna organizacja wojskowa istniejąca od stycznia 1919, już w pierwszej połowie roku rozpatrywała możliwość wybuchu powstania. Plany odkładano między innymi ze względu na stanowisko Wojciecha Korfańtego, który był przeciwny akcji zbrojnej w obawie przed reakcją aliantów zachodnich i wizerunkowemu zaszkodzeniu sprawie polskiej.

Na skutek aresztowania przez Niemców przywódców Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, grupa osób skupionych wokół Maksymiliana Iksała, dowódcy 4. kompanii w 2. Pułku Strzelców Rybnickich, ogłosiła samodzielnie wybuch powstania 17 sierpnia na terenie powiatów pszczyńskiego i rybnickiego. Do pozostałych powiatów rozkaz o rozpoczęciu powstania dotarł dopiero dzień później. Za początek I powstania śląskiego przyjmuje się noc z 16 na 17 sierpnia 1919 roku.

I powstanie śląskie: 16/17 sierpnia 1919–24 sierpnia 1919

Dowództwo nad powstaniem przejął pełniący od sierpnia funkcję Komendanta Głównego Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska, Alfons Zgrzebniok. Sztab powstańczy został ulokowany po polskiej stronie granicy w Sosnowcu. Siły powstańcze słabo uzbrojone (tylko co trzeci z powstańców dysponował karabinem lub pistoletem) oraz pozbawione wyszkolonych kadr dowódczych, wynosiły około 23 tys. powstańców. Strona polska stanęła naprzeciwko doświadczonym i świetnie zaprowidowanym siłom niemieckim w sile około 35 tys. żołnierzy pod przywództwem generała Karla Hoefera, późniejszego nazisty.

Powstanie objęło powiaty: pszczyński, rybnicki, katowicki, lubliniecki, tarnogórski i część raciborskiego. Walki toczyły się w okresie od 18 do 24 sierpnia 1919 roku. Ze względu na gargantuiczną dysproporcję sił oraz problemy z łącznością między komendantami powiatowymi powstańcom udało się odnieść jedynie sukcesy lokalne. Najdłuższą walkę zbrojną prowadziły grupy powstańcze ulokowane we wschodniej części powiatu katowickiego.

24 sierpnia Alfons Zgrzebniok ze względu na przewagę niemiecką oraz brak doradźniej pomocy ze strony państwa polskiego i sił koalicji podjął decyzję o zaprzestaniu walk.

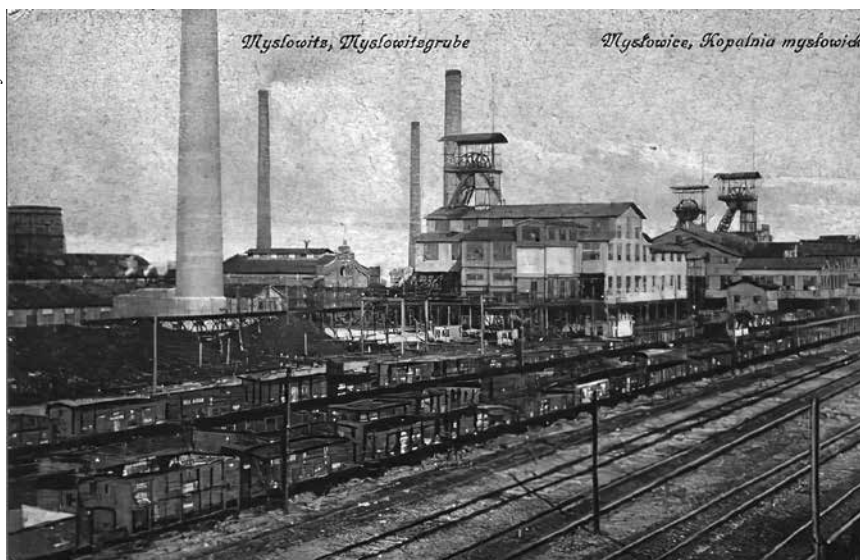
Skutki I powstania śląskiego

Po zakończeniu powstania na ucieczkę z terenu Górnego Śląska, w obawie przed represjami niemieckimi, zdecydowało się ok. 22 tys. osób wraz z rodzinami. Schronienie znaleźli w obozach uchodźczych ulokowanych po polskiej stronie granicy (m.in.: Praszka, Grodziec, Sosnowiec, Szczakowa, Strumień, Piotrowice, Będzin, Zawiercie, Oświęcim, Jaworzno, Czechowice).

Powstańcy pozostali na terenie Górnego Śląska spotkali się z gwałtowną niemiecką działalnością odwetową. Podejrzanych o działalność w tajnych organizacjach przewożono do więzień w Katowicach, Gliwicach, Bytomiu, Tychach. Wobec zatrzymanych stosowano przemoc psychiczną oraz fizyczną, a przesłuchania, mające na celu wymusić zeznania, były niejednokrotnie bardzo brutalne.

Policjanci i rajchswerzyści mieli swoje osobne systemy: ustawiali się w szpaler, aresztowanym kazali przechodzić mimo i okładali ich rozlicznymi przyrządami do katowania: kol-

for. SBC



bami, węzami gumowymi, granatami ręcznymi, sztacetami, rurami żelaznymi, łańcuchami zaszytymi w skórę, biczami z przy mocowanymi kulkami żelaznymi, bagnietami, itp. Ulubionym przyrządem do katowania były też posplatane druty elektryczne. Tym np. dostał aptekarz Gniatczyński 225 uderzeń w plecy.

Piotr Pampuch

Pod polskimi naciskami dyplomatycznymi na Górny Śląsk 3 września 1919 roku przybyła komisja pod kierownictwem generała Charlesa Josepha Duponta, której celem było sprawdzenie warunków życia ludności polskiej oraz działania na rzecz deeskalacji napięcia w regionie. Komisja zgromadziła wstrząsający, pokazywany materiał dokumentujący skalę niemieckich okrucieństw wobec ludności polskiej na Śląsku.

fot. NAC



Charles J. Dupont

Osobiście kierowałem pracami mojej komisji. Nie było wioski, nie było miasteczka, którego bym osobiście nie odwiedził.

Charles J. Dupont

1 października 1919 roku została podpisana w Berlinie umowa amnestyjna. Przewidywała zwolnienie dotychczas przetrzymywanych w więzieniach górnośląskich Polaków oraz umożliwiła powrót uchodźcom.

Pierwsze powstanie śląskie, pomimo niepowodzenia militarnego, okazało się korzystne dla polskiej sprawy na Górnym Śląsku. Naświetliło społeczności międzynarodowej skalę prześladowań ludności polskiej przez Niemców oraz dało nadzieję na zmianę sytuacji życiowej górnośląskim Polakom. Przełożyło się również na wynik ogłoszonych w listopadzie 1919 roku wyborów do rad miejskich i gminnych. Strona polska zdobyła 6 822 mandaty z 11 255

fot. NAC



Alfons Zgrzebnik

Alfons Zgrzebnik (16.08.1891–31.01.1937)

Urodzony 16.08.1891 w Dziergowicach pod Koźlem w chłopsko-robotniczej rodzinie, jako jeden z dziewiętki dzieci Juliusza i Eleonory. Rodzina Zgrzebników często cierpiała niedostatek, wyróżniała się jednak religijnością i patriotyzmem. Alfons od czasów gimnazjalnych zaangażowany był w działalność niepodległościową. W roku 1912 zdał maturę i udał się na studia teologiczne do Wrocławia, gdzie wstąpił do wrocławskiego koła polskiej tajnej organizacji Zet. Naukę przerwał wybuch wojny. W listopadzie 1914 roku Zgrzebnik otrzymał list mobilizacyjny i został skierowany na front zachodni. Wielokrotnie raniony wojnę zakończył w stopniu podporucznika armii cesarskiej. Przerwany plan zbrojnej insurekcji, której wybuch był wstępnie przewidziany na 22 kwietnia 1919 roku. Plan został odłożony. Po wybuchu I powstania jako Komendant Główny Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska został naczelnym dowódcą I powstania śląskiego. Cieszył się zarówno zaufaniem władz polskich, które ceniły jego doświadczenie wojskowe, jak i górnośląskich Polaków.

Pamiętnik z września 1939

FRANCISZEK KIEDROŃ



Franciszek Kiedroń

Fragment dziennika pisanego przez Franciszka Kiedronia we wrześniu i październiku 1939 roku (04.09.1939–20.10.1939). Przepisane wiernie z rękopisu, z oryginalną składnią i ortografią. Nieczytelne fragmenty zaznaczono (?).

Materiał opracowany przez MARKA KIEDRONIA (wnuk Franciszka) i KATARZYNĘ KULIK (wnuczka siostry Franciszka).

Poniedziałek, 4 września 1939 r.

Po przespanej nocy w hotelu żydowskim mieszczącym się w Rynku w Wolbromiu wstałem o godzinie 8ej rano. Po śniadaniu tamże – kawa z bułką – wyszedłem około godziny 8.20 na Rynek, by zasięgnąć wiadomości co do sytuacji wojennej. Na Rynku pełno wozów z uciekinierami z okolic Katowic, Sosnowca, Król. Huty. Ponadto zauważyłem listonosza (Noras) pienenego z Mysłowic oraz Garusa listonosza z Katowic na rowkach. Z Rynku ruszyłem do przejazdu kolejowego gdzie zastałem pociągi załadowane uciekinierami oraz aktami urzędowymi. Między innymi spotkałem przy parowozie zawiadowcę z Tych – Kamińskiego, który dopytywał się o losach swej żony oraz rodziny Robaków z Mysłowic – wyjechał z transportem kolejowym już w dniu 1.9.1939 r. Z powodu uszkodzeń kolejowych pociągi powolnie w odstępkach posuwały się naprzód. W jednym z wagonów otwartych jechały rodziny 2 urzędników Sądu Grodzkiego z Mysłowic z aktami. Około południa zauważyłem furmankę z Mysłowic na której przyjechał H (?) właściciel sklepu kolonialnego z Mysłowic, który oświadczył że dalej się nie rusza, pozostaje u znajomych. Przy szosie sprzedawano uciekinierom mleko w szklankach po 10 groszy. Nie znajdując żadnej lokomocji poszedłem pieszo przez Rynek w stronę Miechowa. U wylotu miasta około godziny 2ej (14) spotkałem znajomego redaktora z Katowic p. Bernstocka, który jechał samochodem ciężko obciążonym i dlatego nie mógł mnie zabrać. Idąc piechotą około 4 km napotkałem na samochod P.O.W. w którym byli p. Wieczorek, Krzempek. Ci bowiem obserwowali ruchy nieprzyjaciela przez wypytywanie uciekinierów kiedy i skąd uciekają i gdzie zauważyli nieprzyjaciela, przy czym zwracali baczną uwagę na szpie-

gów posługujących się mapami strategicznymi. Ponieważ przyobiecali mnie zabrać przeto czekałem w rowie przydrożnym na odjazd. W międzyczasie od strony Miechowa przyjechał samochodem znajomy (?) – Wojtaszek, który po krótkim postoju odjechał w stronę Olkusza. Na powrót jego mieliśmy czekać. Tymczasem sznury ludzi sunęły po drodze z bagażami, między innymi młody ksiądz z Mysłowic, matki z niemowlakami, chłopci z kozami, ponadto furmanki żydowskie z towarami z okolic Pilicy. Był to ruch jednokierunkowy – naprzód byle z dala od frontu. Na rozkaz p. Wieczorka opasate żydy musiały ustępować miejsca matkom względnie dzieciom na wozach. Ponieważ miało się już ku wieczorowi a odjazd nie następował, przeto obawiając się ewentualnej przeszkody postarałem się o zatrzymanie motocyklisty, który by na swem siodelku przewiózł mnie do Miechowa. Niestety po przejechaniu około 5 km opony motocykla nie dopisały, przy czym musieliśmy kilkakrotnie chronić się pod drzewa przed nalotami nieprzyjacielskimi. Nie lada emocjonujący był widok, gdy samoloty opuszczały się na 200–500 m wysokości by bombardować Tunel na całej swej przestrzeni. Około godziny trwał nalot samolotów bombardujących Tunel – od miejsca wybuchów bomb znajdowałem się około 1 km. Naturalnie bez ruchu przykucnąłem do ziemi ornej obserwując jedynie ruchy samolotów i wybuchające bomby. Po odlocie samolotów ruszyłem sam naprzód rozglądając się jedynie za znajomymi, tak aż pod wieczór zdążyłem aż do Miechowa. Na obszernym Rynku zauważyłem mnóstwo młodych ludzi, którzy jako powołani do rezerwy zgłosili się do P.K.U. które niestety nie urządowało, natomiast miasto jedynie miało wydać broń. Nie czując się pewny w mie-

ście ruszyłem w dalszą drogę. po drodze spotykając samochody nieczynne z powodu braku benzyny, ponadto samochody P.O.W. z Katowic obsadzone pasażerami ruszające w stronę Jędrzejowa. Były również walce drogowe wrzucone do rowów. Tu i ówdzie grupki ludzi podążali za mną. Samotny nie zwracając na nikogo uwagi podążałem przed siebie by jak najwcześniej być w Jędrzejowie, a potem w Kielcach. Przy cudnej, ciepłej pogodzie w późnych godzinach wieczornych napotkawszy człowieka pochodzącego od Tarn. Gór uradziliśmy przemocować w napotkanej wsi Antolka. Zgłosiwszy się u sołtysa, po wylegitymowaniu otrzymaliśmy posiłek składający się z 2 szklanek mleka i kromki chleba. Sołtys był równocześnie sklepikarzem, toteż u niego spotkała się grupka miejscowej ludności by zaczerpnąć wiadomości podanych przez radio. Omawiając ostatnie wypadki, różnie dyskutując aż przyszedł kierownik szkoły, który miał nas ulokować na nocleg. Przy sprawdzaniu moich papierów dowiedziałem się, że z mego miejsca zamieszkania pracuje od kilku tygodni przy wałowaniu dróg niejaki Zelder z katowickiej firmy. Już późną nocą poszliśmy na nocleg do szkoły odległej zaledwie parę kroków od domu sklepikarza, gdzie w jednej z klas na słomie ułożyłem się do snu. Później jeszcze trzech ludzi młodych przybyło i układowo się do snu. Długo nie mogłem zasnąć, będąc myślami o przeżyciach ubiegłych i nieszczęsnej samotnej tułaczce. Jeszcze długo słuchałem turkotów wozów jak też samochodów wiozących uciekinierów i ich mienie.

Wtorek 5.IX.1939 r.

Coś około godziny 3ej nad ranem zerwałem się z posłania i nie czekając na współtowarzysza ruszyłem sam w dalszą drogę szosą przez Wielki Książ spotykając

grupki ludzi uchodzących przed nieprzyjacielem. Tu odrodziły się wspomnienia z lat ubiegłych spędzonych w miejscowości Niemce z p. Haliną, córką dozorczy z Kop. Kazimierz która dawno już, bo w 1920 r. wyszła za mąż za nauczyciela pełniącego służbę w tej miejscowości. Na skutek interview dowiedziałem się że ów nauczyciel jest obecnie kierownikiem szkoły w Książu Małym. Mimo chęci odwiedzenia dawnej znajomej poszedłem dalej naprzód, tak że koło południa znalazłem się w miasteczku Wodzisław. Tam zauważyłem zniszczony budynek w Rynku zdruzgotany przez bomby lotnicze. Posiliwszy się jedynie herbatą ruszyłem samotnie w drogę w kierunku Jędrzejowa, aczkolwiek były już pogłoski że pod Jędrzejowem są nieprzyjacielskie tanki. Tuż za miasteczkiem Wodzisławiem napotkałem wóz z ciężko rannym mężczyzną, prawdopodobnie jak mnie informowano ranny od bomby lotniczej. Furmanka ta skierowała się w stronę Pińczowa. Po drodze zauważono częściowo zerwany dach z boczną ścianą stodoły – a więc były już ślady bomb lotniczych. Napotkana kobieta wiejska sprzedawała uciekinierom mleko, czym i ja się pokrzepiłem. Spotkałem funkcj. pocztowego Garusa na rowerze, który również jak i jego kolega

uganiał naprzód. Mniej więcej w połowie drogi z Wodzisławia do Jędrzejowa – w każdym razie pod górkę ze strony Jędrzejowa – w pełnym pędzie przyjechał na motocyklu cywil oznajmiając, że tuż za nim są już tanki nieprzyjacielskie i trzeba z drogi wiać. Toteż nie namyślając się dłużej najbliższą ścieżką przez pola i lasy skierowałem się w stronę Pińczowa, stale oglądając się w stronę mających ukazać się tanków, lecz niestety ani turkotu tanków jak też żadnej strzelaniny nie słyszałem. Dopiero na gościńcu zauważyłem okulbaczonego konia jak też samochód sanitarny wojska polskiego, co zrobiło się mi lżej na sercu. Podążając ciągle naprzód w zadumie nie zauważyłem jak przejeżdżający na rowerkach synowie Stańczyka, gosp. „Piwnicy Śląskiej” pozdrowili mnie dopytując się o szczegóły poniewierki. Z opowiadania ich dowiedziałem się że sami z matką wyjechali, natomiast ojciec pozostał na miejscu. Po paru minutach pojechali dalej drogą. W rzece Mierzawie wymyłem sobie nogi i odpocząwszy nieco ruszyłem dalej. W pewnej wsi wstąpiłem do domu na szklaneczkę wody. Tam dowiedziałem się, że jedna dziewczynka z Lipin znajduje się u gospodarza jako zgubiona podczas nalotu na pociąg w Miechowie. Wycieńczony drogą i osłabiony musiałem odpocząć. Po pewnym czasie natrafiła się okazja, bowiem jest furmanka i trzech pasażerów poszukując czwartego za opłatą 5 złotych. Chętnie zgodziłem się na podwieszenie mnie do Pińczowa. Drogami polnymi po godzinnej może jeździe dojechaliśmy do miasteczka Pińczowa. Nad rzeką Nidą zauważyliśmy patrol konny wojska polskiego. Ruch w Pińczowie niebываły. Ponieważ wieczór był chłodny wstąpiłem za namową jednego z podróżnych do sklepu zakupić szalik na szyję za 2 złote. W jednej z restauracji posilono się kiebasą oraz wódką jak też herbatą, a na drogę zabrałem 1/4 lt benedyktyнки, ponadto chleba do kieszeni. Ponieważ sprawa pozostania na miejscu stała się niepewną, a to z tego powodu że wojska polskie ciągnęły w stronę Buska. Ponieważ piecho-

tą nie uśmiechał mi się dalszy wymarsz przeto znowu szukałem okazji, która się też nadarzyła. Jechałem na furmance mieszczącej około 8 osób z bagażami, tak że siedząc na walizce obcej spałem przez cały czas, a był to czas wieczorny. Dopiero przed samym Buskiem – wnioskując jedynie po oświetleniu – obudziłem się. Na miejscu w Busku zauważyłem dużo wojska obozującego. Stanąwszy niedaleko Kościoła szukałem z innymi współjadącymi noclegu i pożywienia co nam też wskazywano, gdzie za tanie pieniądze otrzymaliśmy jajek gotowanych i herbaty. Było to jakiejś wejście w podwórze. Tam nam również wskazano nocleg w mieszkaniu opuszczonym przez żydów. Nie mogąc dostać się do wnętrza, zrezygnowaliśmy z noclegu tem bardziej że sprawa stała się znów niepewna. Radzono czy jechać dalej, co też ostatecznie uczyniono i wyruszyliśmy jeszcze nocą w stronę Stopnicy naturalnie tą samą furmanką. Przez cały czas spałem.

Środa, dnia 6.IX.1939 r.

Coś około północy byliśmy w Stopnicy, namyślając się w którą stronę najbezpieczniej jechać. Czy przez Wisłę na Szczucin czy też na Staszów. Po zasięgniętych informacjach, co do pochodów wojsk nieprzyjacielskich część towarzystwa zdecydowała się na Szczucin i natychmiast dalej furmanką odjechała. Ponieważ mem celem było dostać się do Staszowa a tam odszukać przygodnych znajomych niejakich Matuszewskich, którzy w tych okolicach mieli zamieszkać, przeto nocą ruszyłem samotny piechotą. Nie długo uszedłem gdy napotkałem tabory wojska polskiego, które zabrały mnie na wóz co było wielką ulgą dla mnie, tak że nad ranem byłem w pobliżu Staszowa. Przed południem zwiedziłem okolice zachodnio-północne Staszowa poszukując miejscowości okolone lasem, lecz niestety po 5-godzinnych poszukiwaniach zawróciłem bezradziejny do Staszowa. Na drodze tej napotkałem znajomego z widzenia policjanta z Mysłowic, który zakomunikował mi że był świadkiem jak fotograf Czarnecki jako szofer wojskowy oraz Dr Spiller z Mysłowic przy opatrywaniu rannego Niemca dostali się pod Jędrzejowem do niewoli wraz z samochodem. Ponieważ był to pogodny dzień postanowiłem się wykąpać w rzece niedaleko mostu, który pilnowany był przez miejską straż. Ponadto uprałem sobie trzy chusteczki do nosa. Odświeżony ruszyłem do Staszowa, gdzie w jednym z lokali wypięłem herbatę i nie czekając na żadną okazję ruszyłem w stronę Opatowa. Okolice te były cudne, po części górzyste, drogi wiodące serpentynami skracałem sobie myślami o przeszłych chwilach szczęśliwych. Po drodze zajrzałem również do ogrodu, gdzie uraczono mnie jabł-

fot. arch. rodz.



Franciszek Kiedroń



Franciszek Kiedroń

kami, które napchałem do nielicznych kieszeni. Tak obarczony z opuchniętymi nogami coraz wolniej ruszałem przed siebie. Gdy już prawie byłem u kresu sił – nogi odmawiały posłuszeństwa dalszego tem bardziej że słońce doskwierało – to ujrzałem w rowie wypoczywającego Szefera z Katowic. Uradowany przywitałem się z nim dopytując się o jego przeżytych losach. Dowiedziałem się że ma ranę na nodze od chodzenia pieszo. Jedyne przez uprzejmość komendanta przejeżdżającej armaty przeciwlotniczej która właśnie stała, jedzie w kierunku wschodnim. Z tej okazji również i ja skorzystałem lokując się na skrzyniach z amunicją w wozie przyczepnym razem z żołnierzami. W ten sposób dojechałem do Opatowa i to w bardzo szybkim czasie. Podczas postoju w Ryнку zakupując kiszone ogórki oraz gruszki u przekupek, syreny zapowiadają nalot. To też każdy zmyka do schronów i rzeczywiście 2 samoloty nieprzyjacielskie przefrunęły w niedużej wysokości przez miasteczko. Dowódca armaty zwęszył zamiary lotników i natychmiast kazał ruszyć z Ryńku za miasto ukrywając się pod drzewa jakieś 2 km od miasta. Przeczucie nie myliło, gdyż samoloty natychmiast zawróciły i zrzuciły 2 bomby na Rynek. O rozmiarach nalotu nie dowiedzieliśmy gdyż natychmiast ruszyliśmy dalej w stronę Sandomierza. Ponieważ nie wszyscy żołnierze z obsługi zdążyli wsiąść na samochód, przeto samochód zatrzymano w odległości może 5 km od Opatowa gdzie odpoczywaliśmy może 2 godziny. Stamtąd zaobserwowaliśmy pożar więzienia Świętokrzyskiego wzniesionego przez bomby pożarowe. Po szosie i obok zaobserwowano duże leje zrobione przez bomby, ponadto wzdłuż drogi zauważono już spalone domy, zabite konie a nawet zabitego mężczyznę. Wieczorem tuż przed miasteczkiem Sandomierz zaobserwowano

sygnały świetlne nadawane prawdopodobnie przez dywersję. Samochód zjechał na Rynek lecz nim się wygramoliłem to Szefer się ulotnił. Nadzieja i otucha była większą, że człowiek znajdzie się za chwilę na drugiej stronie Wisły, gdzie nieprzyjacielowi będzie trudniej się dostać. Toteż na wozie załadowanym zbożem dla wojska przejechałem przez most na Wiśle – furmanki te pozostały na miejscu. Zatem sam ruszyłem w stronę stacji w Nadbrzeziu gdzie spodziewałem się znaleźć nocleg.

Czwartek, dnia 7 września 1939

Rusząc w ciemnościach (zaciemnienie ze względu na naloty) wśród taborów wojskowych, które ulokowane były na szosie doszedłem do pewnego gospodarstwa, by ewentualnie się posilić, czego jednak nie otrzymałem. O głośdzie zezwolono mi jedynie ulokować się w stodole na sianie, gdzie już inni przygodni nocowali. Przy układaniu się do snu napotkałem na rozbie dachówki, które spadały z dachu wskutek zrzuconej poprzedniego dnia bomby lotniczej. Po trzech godzinach snu zerwałem się gdyż już zaczęło dzień, by ruszyć dalej naprzód. A zauważyłem manewrujący pociąg, gdyż jak się okazało spałem w gospodarstwie nieopodal stacji Nadbrzezie. Stacja wprawdzie była czynna lecz tu i ówdzie zauważono już ślady bomb lotniczych. Bez śniadania ruszyłem sam naprzód w stronę Tarnobrzega. Uszedłszy około 3 km drogi za taborami wojskowymi, ze względu na naloty musiałem zejść z drogi do lasu. Tam na miękkim mchu odpoczywając opatrywałem mocno opuchnięte nogi. Cisza naokoło, tu i ówdzie na przełaj przechodzili uciekinierzy. Po dłuższym odpoczynku zdecydowałem się ruszyć dalej bez wyraźnego celu. Po kilku minutach drogi zostałem zatrzymany przez żandarmerię wojskową celem wylegitymowania. Przy wyjmowaniu dokumentów zauważyłem Piżycę z Katowic w mundurze oficera polskiego, który jakiejś 10 m od szosy stał z wojskiem czekając na rozkazy. Przy pożegnaniu wręczył mi 20 złotych. Uprosiwszy przejeżdżający tabor o zabranie mnie na wóz i podwiezienie mnie, dojechałem do Sokołowa. Ruszając sam dalej musiałem kilkakrotnie wiać pod drzewa gdyż były duże naloty – przyczem bombardowano tor kolejowy i stację w Nadbrzeziu, ponadto bomby wpały w las gdzie były dywizje polskiego wojska. Uczepiwszy się przygodnej furmanki z Bielszowic na której przewożono uprząż konną jechałem znowu jakieś 3 km drogi. Przed Grębowem dosiadłem do doróżki z Zakopanego na której jechali 2 nauczycieli i 1 nauczycielka z Jaworzyny słowackiej. W Grębowie udało się gotowane jajko oraz kawał chleba i mleka kupić, tak pokrzepiony ruszy-

liśmy naprzód przez bardzo wyboiste pełne piachu drogi, że więcej zśliśmy piechotą, by koniowi było lżej. Po drodze napotkane studnie zastaliśmy bez wody, którą tabory względnie uciekinierzy wypili. Tak dojechaliliśmy do szosy bitumicznej niedaleko Tarnobrzega. Tam w leśniczówce za parę groszy otrzymaliśmy herbaty do syta, przyczem stałe przeskadzały samoloty nadlatujące na Stalową Wolę. Po doskonałej szosie dojechaliliśmy do Tarnobrzega. Tam zgłosiłem się w Magistracie, gdzie dowiedziałem się, że przed kilku minutami bawił tam Kopicz z Katowic (Kolektura) i pojechał w kierunku Zamościa celem zgrupowania powstańców. Nie namyślając się długo skierowałem swe kroki w stronę Niska. Po drodze zauważyłem Trocera juni na rowerze. Dołączywszy się na doróżkę Rodziny Wojskowej, która po krótkim czasie zawróciła – czując się niepewna ze względu na naloty – i pojechała w stronę Lublina, co też i ja uczyniłem. Jednak drogę powrotną w stronę Lublina zrobiłem piechotą. Po przejściu mostu nad Sanem zgłosiłem się na posterunku celem otrzymania noclegu przedkładając dowód osobisty. Kwaterę wyznaczono mi w stodole obok posterunku. Ponieważ była już późna noc otrzymując trochę mleka u gospodyni poszedłem z innymi jeszcze pasażerami spać. Po moim dwugodzinnej drzemce gospodyni alarmuje nas, że posterunek policji zostaje zwiniony. Zerawszy się na równe nogi podążyłem po dowód osobisty, lecz niestety biura komisariatu były już opróżnione.

Piątek, dnia 8 września 1939 r.

W zupełnej ciemności ruszyłem aczkolwiek nogi odmawiały posłuszeństwa w dalszą drogę na Lublin. Po pewnym czasie większy ruch na szosie w odwrotnym kierunku. Okazało się że w Lublinie był nalot i wojska nieprzyjacielskie znajdują się nieopodal Lublina. Toteż dużo furmanek skręciło w stronę Janowa Lubelskiego. Droga polna pełna piachu nastręczała trudności w posuwaniu się licznych furmanek. Piechotą samotny w ciężkim piasku posuwałem się naprzód bez wyraźnego celu – goniąc myślami przy najdroższych. W pewnym miejscu zaczepiony zostałem przez grupę cywilów do wylegitymowania się gdyż podejrzewając mnie o szpiegostwo. W trakcie tego badania w ciemnościach rozpoznałem głos znanego mi urzędnika Dyrekcji Ceł p. Steinhofa z Mysłowic. Przy bliższym poznaniu się i powitaniu się okazało się że były to furmanki wiozące urzędników i ich rodziny Dyrekcji Ceł z Mysłowic – Steinhof Adam naturalnie z narzeczoną. W małej wiosce urządziliśmy postój gdzie przyrządzono śniadanie składające się z jaj oraz chleba z masłem. Przedtem byłem jeszcze w sklepiku żydow-

skim gdzie otrzymałem świeżo pieczony chleb i herbatę z cukrem. Z zaproszenia Steinhofa do dalszej wspólnej tułaczki skwapliwie skorzystałem i toteż po śniadaniu udaliśmy się na spoczynek do stodoły na siano gdzie okryty zostałem płaszczem Steinhofa. Konie tymczasem popasały. Po dwugodzinnym może odpoczynku szybko umyliśmy się by ruszyć z miejsca, bowiem niedaleko miała znajdować się nasycałnia progów kolejowych – ponętny obiekt dla nalotów. Przez pola, tory kolejowe i lasy zdążaliśmy do Janowa Lubelskiego. Z początku droga nie była ciekawa – wyboista i piaszczysta – później krajobraz zmienił się i tereny równie były więcej malownicze. Wzdłuż pól i lasów olbrzymich, przepłatanych jeziorami toczyły się furmanki, a więcej zmęczeni siedzieli na wozach – co również mnie przysługiwało ze względu na mocno opuchnięte nogi. W pewnym miejscu natrafiiliśmy na sad gdzie samorzutnie narwaliśmy sobie jabłek, których było sporo – nieco dalej jechaliśmy na (?) gdzie urządziliśmy postój. Przyczem rodzina celna zakupiła kuraka sporządzając z niego rosół. Przyczem i dla mnie dostał się talerz dobrego rosółu nawet z kawałkiem mięsa, tak samo zakupiliśmy mleka. W źródle urządziliśmy sobie kąpiel po pas myjąc swe ciało. Długo jeszcze odpoczywaliśmy na polanie obserwując gęste naloty nieprzyjacielskie. Dopiero pod wieczór ruszyliśmy dalej. Z daleka już zaobserwowaliśmy smugi dymu palących się tartaków w Janowie Lubelskim. Ponieważ do szosy głównej droga była bardzo wyboista, przeto wszyscy zmuszeni byli iść piechotą, by nie męczyć koni. Dopiero na szosie wsiedliśmy wszyscy i frajem jechaliśmy naprzód przez Janów oglądając zgliszcza zbombardowanego i po części spalonego miasta, przyczem łuna palących się dwóch tartaków dawała pole do popisu nocnym nalotom, toteż ani przez chwilę nie zatrzymywaliśmy się w mieście, lecz dalej podążaliśmy nocą w stronę Biłgoraja. Po drodze spotykaliśmy ludzi unoszących swe mienie do pobliskich wiosek czując się tam bezpieczniej jak w mieście. Ponieważ droga była możliwa toteż całą noc jechaliśmy na wozach jed-

Lwów, 7. września 1939.

Ruszyjąc z ciemności (zanimiłem ze względu na naloty) w śród tabarów wyśkończył, które ulokowane były na stronie doszedłem do pewnego gospodarstwa by ewentualnie się posilić, czego jednak nie przystąpiłem, o głodzie przewolono mi jedynie ulokować się w stodole na siano, gdzie już imi przystąpił nocować. Przy ukladaniu się do snu uapiekaleś na porbie dachówki, które pospadały z dachu wskutek arcyłonej poproszę nieco dnia bombę lotniczą. Po trzech godzinach nie powołano się, gdyż już zaczęło słońce by pójść dalej naprzód. W zainwestowanym manewrować pociąg gęły, jak się okazało spalił gospodarstwo nie opodal stacji nadbrzeżnej. Stacja wprawdzie była czysta lecz tu i ówczas zauważono już ślady bomb lotniczych. Do wiadomości miszylem sam naprzed w stronę Janowca. Wskazywał około 3 km drogi za tabaranki wojskowe ze względu na naloty zamiarłem zejść z drogi do lasu - tam na miękkiem mielu odpoczywając opobrywałem mocno opuchnięte nogi - coza uapoko tu i ówczas na mietaj przechodził miękkiem. Po dłuższym odpoczynku zdecydowałem się pójść dalej bez wyraźnego celu. Do kilku minutach drogi zwołatem zobrazowałem przez paudarmierję wojskową celem wylegitymowawca. Pół wyjmowawca

Strona dziennika Franciszka Kiedronia

nocześnie śpiąc, przyczem zdjąłem buty by nogi lepiej mogły wypocząć. W Biłgoraju rozłączyłem się ze Steinhofem który zdążyć miał do Lwowa, zaś mojem celem był Zamość. Zeskoczywszy z wozu na bosaka podążyłem do Magistratu – a było to wczesnym rankiem – by dowiedzieć się o lokomocję w stronę Zamościa. Urzędujący burmistrz oświadczył, że jest furmanka z Zamościa która składa mąkę w magazynie. To też nie namyślając się wiele i długo podszedłem do magazynu i to w sam

raz, gdyż fura została wynajęta przez przygodnych uciekinierów – izraelitów. Opierając się na przyrzeczeniu burmistrza oraz legitymując się opaską błękitną Związku Powstańców Śląskich, siłą ulokowałem się na przednim siedzeniu fury, oferując przytem za przejazd 20 zł. A zatem wczesnym rankiem ruszyliśmy w drogę w stronę Zwierzynca. Za miastem po drodze zakupiłem kilka bułek oraz wypilem lemoniadę, zaś w lesie nastąpił krótki postój celem nakarmienia koni. ■

Franciszek Kiedroń (junior) urodzony w 1896 w Suchej Dolnej (Zaolzie). Po ukończeniu nauki w szkole ludowej a następnie gimnazjum polskiego w Cieszynie pracuje jako urzędnik kolejowy. Jednocześnie działa aktywnie w polskich organizacjach społeczno-kulturalnych na Śląsku Cieszyńskim. W 1918 powołany do armii cesarskiej. W przeddzień zakończenia wojny wstępuje do tworzących się oddziałów polskich, z którymi bierze udział w wojnie polsko-czechosłowackiej. Po przyłączeniu Zaolzia do Czechosłowacji, w 1920 przenosi się wraz z rodzicami do Polski (Mysłowice). Jako ochotnik bierze udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W latach międzywojennych pracuje w branży kinematograficznej w Mysłowicach i Katowicach, aktywnie uczestniczy w organizacji sportu na Śląsku i w Zagłębiu. We wrześniu 1939 opuszcza Katowice i ewakuuje się na wschód, gdzie trafia w ręce Sowieców. W listopadzie internowany przez Niemców, a w roku 1940 zwolniony z obozu jeńców cywilnych w Norymberdze wraca na Śląsk. Zmuszony do opuszczenia Mysłowic przeprowadza się do Sosnowca. Po wojnie uruchamia kina na Śląsku i współdziała w reaktywacji wielu organizacji społecznych. Pracuje jako urzędnik. Umiera w 1962 w Katowicach.

Przed trzydziestą rocznicą śmierci pierwszej ofiary III RP

Uniwersyteckie powinności po Chełkowskim i Pańce

ROMAN WYBORSKI

August Chełkowski, zażywny 90-latek, Walerian Pańko, ledwo 80-latek, byłiby w dzisiejszych czasach publicznego zamętu autorytetami podtrzymywanymi przez najwyższe państwowe funkcje, wspólnoty akademickie i absolwentckie oraz samorządy terytorialne i zawodowe.

Przedwczesna, październikowa śmierć zabrała w 1991 roku śp. Waleriana, w 1999 roku – śp. Augusta, obydwu profesorów na służbie uniwersyteckiej i zarazem państwowej: prezesa NIK rządowa lancia nie dowiozła na inaugurację roku akademickiego w macierzystej katowickiej uczelni; senatora – przewodniczącego senackiej komisji nauki z inauguracji roku akademickiego w prywatnej częstochowskiej uczelni zabierano do rządowej kliniki na nieskuteczną reanimację.

Zanim nie zamilknie pokolenie świadków – Ich współpracowników ani na chwilę nie zaprzestanie ono umacniać piedestału pod monument z hasłem: „słów ciałem”. Jedno z tych słów, jakże dziś niepopularne, już padło: **na służbie**. I wymaga wyjaśnienia poniżej.

Pierwotnie mój zamiar napisania tekstu o uniwersytecie wywołał zeszlóroczny numer *Śląska* o „polskich sierpniach”, podyktowany koniecznością przywołania: głosu pokolenia wywołanego przez „pionka” tej wspólnoty, echa świadectwa przynależności, dokumentacji *śladu* zasypywanego przez Czas.

Ewa Żurawska, pierwsza dama uniwersyteckiej „Solidarności”, przypomniała zasadnicze fakty i osoby czterdziestolecia. Pośród tych nazwisk były kandydatury do (nb. niedawno wręczanych w auli Wydziału Teologii) medali „S” z patetycznym akcentem „wolności” w tytule. Dlaczego podkreślam kandydatury i Wydział Teologii? Bo były to osoby zasługi niepospolitej, które odmówiły ich przyjęcia, podobnie jak być może postanowiłaby ta czy inna wielka – spośród wielu – postać świętej już pamięci.

Z kolei nowy Wydział zastąpił dotychczasowe centrum publicznej, nawet powszechnej obecności Uniwersytetu, czyli wykładowe sale Wydziału Matematyki Fizyki i Chemii w gmachu z dziś dumnym napisem *im. prof. Augusta Chełkowskiego*, postaci niedawno przypomnianej na łamach *Śląska*.

Te dwa skojarzenia byłyby właściwym wstępem do tytułowego obywatelskiego **toposu** solidarności nie tylko na Śląsku. To drugie słowo, to syntagma-kłucz.

O ile tzw. **Wszechnice**, o których pisze E. Żurawska, były czymś dla uczelni oczywiście, to już „siedziba” na przełomie ’89/’90

roku gremiów i posiedzeń delegacji – a był w nich niejeden przysły poseł, radny, prezydent miasta, itd. – prawie wszystkich komitetów obywatelskich ówczesnego województwa wskazywałyby na jakąś nadzwyczajną rolę, jaką przyszło odgrywać Uniwersytetowi – głównie z racji autorytetu dwóch osób, mistrza – senatora Chełkowskiego i jego ucznia Jana Jelonka, któremu delegaci gminni powierzyli przewodniczenie sądowo rejestrowanej federacji Unii Komitetów Obywatelskich woj. katowickiego, a funkcję wiceprzewodniczącego niżej podpisanemu – wówczas na czele k. o. myślowickiego, zaś pani Halinie Szymkowiak rzetelnie i wytrwale prowadzenie sekretariatu.



Prof. August Chełkowski. Fot. arch.

Ten banalny zapis działań kilku (dzieściu, set, tysięcy, ...) osób ukrywa prawdę kiedyś niewystarczająco podkreślaną i nieadekwatnie nazwaną potem i teraz zapomnianą, a mianowicie **uniwersyteckiego zakorzenienia hegemonia politycznych wyborów czerwcowych ’89 i majowych ’90**, czyli dokonań pokolenia dzisiejszych dziadków. To trzecie obśmiane lub zapomniane słowo – klucz dla fundamentalnych momentów wyrwania posła Pańki i senatora Chełkowskiego z akademickiego komfortu na polityczną poniewierkę przez solidarnościowy z gruntu i nazwy – ruch komitetów obywatelskich, nie pierwszy raz w dziejach wypełniający lukę – zarazem międzypokoleniową i moralno-polityczną.

Jego niezbywalną cechą była podmiotowa współodpowiedzialność wyborców („elektoratu”)

za swoich (!) parlamentarzystów. Aż po przedwczesny zgon, jako się rzekło, na służbie.

Ale czy w służbie?

Sięgając do dziejów Pierwszej Rzeczypospolitej, nazywa się ów ruch pospolitym ruszeniem, konfederacją itp., z każdego z terminów uszczknąwszy cząstkę treści przekładanej na realia tamtego czasu przyspieszonego kursu demokracji, organicznych pozytywistów bardziej niż romantyków. Jednym z elementów ustawicznego doksztalcenia byłyby swoiste instrukcje na kształt znanych z pamiętników szlacheckich prowincjonalnych sejmików ziemskich, z którymi delegaci wracali do swoich komitetów, a na warszawskie spotkanie ogólnopolskie „z Lechem” jechali wybrani przez obecnych na posiedzeniu Unii, zobowiązani do ich przedstawiania niezależnie od własnych wystąpień w sprawach bieżących. Oczywiście, kolejne posiedzenie Unii przyjmowało bądź odrzucało kolejne punkty sprawozdania delegacji z warszawskich obrad i sporów, bo godzi się przypomnieć ówczesne – i jak się niestety, okazało – założycielskie dla trzeciej RP zarzewie tzw. *wojny na górze*, dla niektórych trwającej po dziś, aż po sam „dół” kolejnych poziomów kopalnianych politycznego górotworu. Mimo to trwało nadbudowanie, może dzięki prawdopodobnej pokorze.

Pozytywistyczny rys pionierskich tygodni i miesięcy prowincji – w staropolskim znaczeniu – katowickiej ma osobnego patrona, posła Waleriana Pańkę, już wówczas profesora prawa mogącego polegać na dość lojalnym i licznym gronie współpracowników. Przez patrona organicznej pracy politycznej rozumiem rady bądź dyrektwy, jakich udzielał tym, którzy chcieli go słuchać.

Padły one zaraz po euforii 4 czerwca, a w streszczeniu brzmiałyby, *pierwsza – w sejmie uczyć się Państwa w komisjach, druga – zamieść po sobie*.

Zacznę od drugiej, łatwiejszej „do zamiatania”. Poseł poprosił organizatorów przedwyborczego rozklejania jego plakatów o ich w miarę pilne zdzieranie, a tam, gdzie opieszali tego nie zrobili, sam objechał obwód 32, katowicko-myślowicki, aby oczyścić wstęp do nowej Polski. Można by doń dołączyć hasło Robakowego rymu *najpierw dzieci wymieść śmieci*, aby przenieść ów moment na poziom refleksji ustrojowej, która najgłębiej dręczyła śp. Waleriana, prawnika-społecznika świadomego skali zanieczyszczenia nie tylko prawa (bądź „prawa”) i własnego „środowiska”. Co więcej, i co gorsza, peerelowskie śmieci w złowrogiej postaci literek FOZZ zabiły ówczesnego szefa NIK, będącego na tropie najgłębszego fi-

nansowego skandalu założycielskiego III RP. Stąd też dodatkowa trudność pierwszej rady.

A trzeba by ją zacząć od uznania dużej litery dla słowa Państwo, za czym – w zgodzie z francuskim obyczajem – opowiadał się W. Pańko frankofon i frankofil. Nie tylko z powodu dużej litery Państwo – choćby małe – jest tak wielkie, iż trzeba się go długo i dużo uczyć, a nie „romantycznie” sięgać szczytów, czyli mówiąc prosto: po władzę.

Na marginesie i pozostając w duchu mickiewiczowskim, aż samo ciśnię się na usta siedmiokrotne „głupi wy” Mačka w dobrzyńskim zaścianku, dodatkowo w pamiętnej postaci Bińczycyckiego u Wajdy (po odśpiewaniu *Kiedy ranne...*, co też jest istotne). Zanim Pańkę wyeliminowały niejawne grzybnie owej „władzy” (w syntagmie *grupa trzymająca...*) przez półroczne klasztornej pracy sejmowej kierując dziewęciami zespołami, ślęcząc nad każdym prawie zdaniem i przecinkiem dał Rzeczypospolitej ustrojowy – i najtrwalszy, jak się okazuje – fundament „pospolicości”: samorząd lokalny i zrąb terytorialnego. A dotąd żaden prezydent owej RP za TO nie dał mu Orła Białego!

I znów jądrem oddolnej demokracji nie są same wybory, ale, powiedziała by śp. Walerian, kandydaci przygotowani do nadzwyczajnej pracy bez dyplomu tego „fachu”. Więc wysyłał ówczesne komitety „na naukę” rzemiosła gminnego do komisji jeszcze działających tzw. rad narodowych, aby przyszli radni nadęci „władzą” nie okazywali się balonami bezradności (lub, co jeszcze gorzej, radności korupcyjnej) wobec ogromu i różnorodności komunalnej roboty. Kindersztuba rzetelnego rzemiosła. Kolejne pojęcia kluczowe dla czasów medialnych wyprzedzący cyrkuśników, *pardon*, celebrytów.

Wstępne odsyłacze do założycielskich aktów i faktów końca XX wieku miałyby pomóc w nazwaniu istoty, może tajemniczy autorytetu ówczesnego człowieka uniwersytetu *extra omnes*, prawie powszechnie, o czym może świadczyć ćwierć miliona głosów – wówczas i potem, każdorazowo – na senatora małomównego i nieobecnego na ulicach – byłego rektora. Przecież dekadę wcześniej, podczas tzw. karnawału, na większości przedjazdowych śląskich zebrań utracano inteligentnych kandydatów argumentem (bywało niewybrednym...) o chwiejnej ich sprzedajności obok drugiego argumentu, iż wielu z nich było spoza Śląska.

Wymienieni wyżej protagoniści też tak byli traktowani.

Poznański wychowanek prof. Piekary zbudował w Katowicach nie tylko najsilniejszy w kraju doświadczalny ośrodek fizyki ciała stałego, ale też najbardziej spójne, lojalne i oddane Sprawie jądro jakiegokolwiek konopu społeczno-politycznego.

Wrocławski ulubiony wychowanek prof. Stelmachowskiego pozostawał długo w szeroko pojętym prawie rolnym, najbliższym ambitnemu chłopcu z Turzego Pola i podkarpackiego Brzozowa, krótko nawet w Usiowym pzetpeerze okresu przynęt i... ponęt. Pozornie dwie krańcowo odmienne biografie.

Chciałoby się powiedzieć: ktokolwiek miał szansę być i pracować z oboma (i... obiema) po-

staciami doceni we własnym życiorysie bogactwo tamtej różnorodności myślowej z zgodności, powiedzmy, moralno-politycznej. Raz jeszcze pełna godności pokora jednostki wobec zbiorowości (i zborowości wedle tradycji luterkańsko-kalwińskiej).

Głębokich korzeni tej zgodności należy się doszukiwać w fizyce doświadczania ciała stałego, jakim dla rzeczywistości i Rzeczypospolitej byłby katolicyzm publiczny – razem i osobno – górnośląski, wielkopolski i podkarpacki. Przez publiczne należy rozumieć wszelkie zaangażowanie w najszerzej ujętej greko-lacińskiej kulturze naśladowcy Chrystusa i jego ewangelii, a więc z poszanowaniem uczciwych postaw myślących inaczej. Kultura taka obejmuje zarówno podmiotowość polityczną, jak też i odpowiedzialność wszelkiego *didaskalos*a za *metodos*, metodę, drogę społecznego dochodzenia do prognozy... zbawienia, czego jednostkowe spełnianie należałoby już do duszpasterzy Kościoła.

Korfanty, bp Adamski, rodzina Chełkowskich



Prof. Walerian Pańko. Fot. arch.

dostarczaliby wzorcowych biografii z dokonaniem i cechami właściwymi dla dwu pierwszych historycznych ziem, ale też takimi, które stanowią oczywiste więzi między nimi jako esencja niedoszłej politycznej chadecji, której wzorcem byłby śp. August na czele takiegoż orszaku ludzi uniwersytetu i nie tylko. Tylko sam Chełkowski, samozwańczy autor statutu prawdziwie solidarnościowej partii, wiedział, jak bardzo go wyniszczała niedoszła chadecja, klucz do długotrwałej naprawy Rzeczypospolitej.

Opowiem kolejny raz zdarzenie ważne z wielu względów. Bukaresztańska placówka UNESCO ds. szkolnictwa wyższego organizuje w maju 1992 międzynarodową konferencję *Wolność akademicka, swobody uniwersyteckie* mającą przypieczętować uniwersytecką „solidarność” po „obaleniu muru”. Pani dyrektor Berg pokazuje radcy ambasady RP zamkniętą listę zaproszonych polskich uczestników. Oczywiście (!) nie ma na niej prof. Chełkowskiego, marszałka Senatu RP, przed dekadą jedyne go rektora internowanego w stanie wojennym. Dobrze, że szwedzka funkcjonariuszka dość specyficznej, raczej lewackolubnej agen-

dy ONZ, w końcu ulega argumentom za koniecznym i pilnym zaproszeniem symbolu tytułowych wolności. Pozostaje rzecz o wiele trudniejsza: przekonać Marszałka o znaczeniu Jego tam obecności.

Przeszkoda pierwsza to nieufność fizyka (i to ciała stałego) do wszelkich ciał – więc i zdarzeń – ulotnych, pozorancich, itp.

Przeszkoda druga, polityczna, wynikała by z obawy, iż obecność trzeciej osoby w Państwie, w dodatku pierwsza choćby nieoficjalna w niby nowej Rumunii tak wysokiego przedstawiciela III RP mogłaby zostać wykorzystana niezgodnie z racją stanu wcielaną przez ministra Skubiszewskiego. Tu mogłem liczyć na wsparcie Eligiusza Lasoty (nb. czołowego nazwiska po roku 1956) w roli doradcy marszałka. Szczęśliwie inna konieczność wysłała mnie do Warszawy, więc mogłem w rozmowie z moim rektorem przekonać go do udziału.

Tu trzecia przeszkoda. Konferencja zaczęła się uroczystie – z prezydentem itd. – w poniedziałek, dzień uniwersytecki Marszałka (i szerzej śląskiego Senatora). Nie do ruszenia. Po katowickim seminarium karkołomne połączenia lotnicze i jazdy z lotniska dowiozły nadzwyczajnego gościa na wieczorne prezydenckie przyjęcie (i rozmowę tamże z prezydentem Iliescu) w królewskim pałacu w Sinaia i nazajutrz na jego plenarne wystąpienie anglojęzycznego retora bardziej niż śląskiego rektora. Przez kilkanaście godzin pobytu polskiego gościa trwały pielgrzymki dziennikarzy, związkowców i polityków na rozmowy z legendą „S” inną niż narzucony powszechnie polsko-europejski model Geremko-Michnika.

Tak jak **Chełkowski** coś znaczył w świecie anglosasko-niemieckim, tak **Pańko** we frankońskim, ale skala i trwałość tego znaczenia – i znaczenia tamtych pięciu minut „S” i RP w historii powszechnej – znów zależała (i zależałaby nadal) od wielu pojedynczych zaangażowanych figur oraz pionków, w tym dyplomatycznych i uniwersyteckich zarazem.

Postscriptum osobiste:

Niebawem minie pół wieku od pierwotnej poznańskiej rozmowy z dobrodziejem, śp. Kazimierzem Polańskim, nie za długo profesorem, a następnie „desantu poznańskiego” umowy o pracę w US na neo-neofilologii i przyjazdu „pionierów” do Katowic i Sosnowca. Między nimi przepełniony studentami, rozklekotany autobus, a przekraczanie „granicy” witał okrzyk „Katanga!”. Od rodzinie znajomego z Biprohutu w Gliwicach pytania „Po co? Po co ty, po co NAM uniwersytet...”. Na nartach w Szczyrku, w kolejce usłyszałem „Kolonja czerwonych z Zagłębia”. Pierwsza rozmowa: „Mieszkanie, gdzie Państwo wolą: Katowice, Mysłówice, Sosnowiec”. Jednak raj?

Gdy po dekadach pisano „czerwony uniwersytet”, protestowałem. Idem w 1990 roku, gdy Państwowa Komisja Arbitrażowa w imieniu III RP przywracała mnie US-owi, a w podpisie sędzieja Kalwas, niebawem Minister Sprawiedliwości. I w 1999 r., gdy stojąc z Urszulą, wdową po śp. Walerianie odbieraliśmy od Tadeusza, rektora Sławka, złote blaszki zasłużonych dla naszego uniwersytetu.

Czy Ślązacy są muzykalni?

Ludzie na Śląsku zawsze wzrastali w wielkiej przyjaźni z muzyką. Radość wspólnego śpiewania na śląskiej ziemi jest udokumentowana właściwie już od średniowiecza. Nie tylko śpiewania, ale w ogóle muzykowania. Dobry przykład pochodzi z Rybnika, gdzie bodajże około 1496 roku istniała kapela, która koncertowała w każdą niedzielę i święta na wolnym powietrzu, na łące przy stawie rybnym. Muzykowaniu towarzyszyły, według kronik, tłumy słuchaczy. Od miejsca występów miejsce nazwano „łąką muzykantów” i stąd chociażby wiemy, że na Śląsku te tradycje muzyczne istnieją już od wieków. Śpiew zawsze był obecny i w obyczajach, i w ludowości, i w zwyczajach, i w obrzędowości. Myślę, że tak jest i do dnia dzisiejszego. Ja sama wzrastałam w tradycji śpiewaczej i wspólne muzykowanie jest mi szczególnie bliskie, zarówno zawodowo, jak i prywatnie staram się kultywować wspólne muzykowanie, a w szczególności śpiew. Moje dzieci wzrastały w przekonaniu wyjątkowości rodzinnego muzykowania: wspólne kołędowanie, rodzinne biesiadowanie przy muzyce. Od najmłodszych lat Hania i Jędrzek uczestniczyli we wszystkich naszych wydarzeniach chóralnych: konkursach, festiwalach, koncertach. Wiem, że kontakt z muzyką żywą od próby do koncertu nauczyło ich szacunku do muzyki i osoby muzyka. Wiedzą, że bycie muzykiem to nieustanne doskonalenie warsztatu, ale także pokoncertowa satysfakcja. Oboje planują swoje życie związać z muzyką: Jędrzek jako realizator dźwięku, a Hania jako muzykoterapeutka. Mieszkam obecnie w Belsznicy i tutaj także musiałam realizować swoją misję jednoczenia społeczeństwa przez śpiew i wspólne muzykowanie. Założyliśmy nieoficjalną grupę Miłośników Ulicy Czyżowickiej, która od kilku lat w środę przed Bożym Ciałem spotykała się przy wspólnym stole na biesiadowaniu. Te spotkania zawsze kończą się wielogodzinnym śpiewem do późnych godzin nocnych. Mieszkamy u podnóża wzniesienia Czacza, gdzie dom z trzech stron otoczony jest lasem, a z jednej strony rozchodzi się widok na Bramę Morawską. Bliskość i niespotykana akustyka natury sprawiają, że czujemy, jak muzyka wypływa ze źródła tradycji, a głosy naszych przyjaciół łączą się z odgłosami przyrody. To dowód na to, że Ślązacy byli i są muzykalni. Myślę, że z tej śląskiej muzykalności wywodzi się wspaniała plejada śląskich kompozytorów od dawnych do współczesnych, w zakresie muzyki klasycznej, poważnej, ale także muzyki rozrywkowej, zwłaszcza jazzowej. Dzięki tej śląskiej muzykalności nasze sale koncertowe nigdy nie świecą pustkami.

Czy sto lat temu, a więc w okresie powstania i plebiscytu, chóry i towarzystwa śpiewacze odgrywały rolę w budowaniu



W przyjaźni z muzyką

Z prof. **IZABELLĄ ZIELECKĄ-PANEK**

rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**

tożsamości narodowej? Sporo śląskich chórów obchodzi obecnie swoje okrągłe rocznice, powstały zatem na początku XX wieku.

Jestem związana od ponad trzydziestu lat z chórem Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”, który kontynuuje tradycje Towarzystwa Śpiewaczego „Harmonia” w Cieszynie, założonego w 1908 roku. Budowanie tożsamości narodowej poprzez towarzystwa śpiewacze jest mi szczególnie bliskie. Chóralistyka swój rozkwit przeżyła w czasie zrywów niepodległościowych bądź wolnościowych, które przetaczały

się przez Europę. Jej rozwój obserwujemy po Wiośnie Ludów, kiedy rozpoczęło się powstawanie na Śląsku chórów. Najstarszy Chór Parafii św. Marcina w Kłobucku według kronik powstał w 1748, następnym był Chór przy Bazylice w Piekarach 1849 (wzmianki podane zostały w informacjach dotyczących konsekracji kościoła, jednak stwierdza się, że chór musiał istnieć już wcześniej), natomiast na Śląsku Cieszyńskim najstarszy jest Ewangelicki Chór Kościelny w Ustroniu z 1898 roku. Jednak rzeczywiście najwięcej zaangażowano ich na początku XX wieku – tak-

że chór Towarzystwa Śpiewaczego Harmonia w Cieszynie, który mam okazję prowadzić od 23 lat. Ważnym wydarzeniem w historii dzisiaj 113-letniej „Harmonii” było wykonanie Roty Feliksa Nowowiejskiego do słów Marii Konopnickiej w dniu 15 lipca 1910 roku z okazji odsłonięcia pomnika Władysława Jagiełły w rocznicę Bitwy pod Grunwaldem. Pomnik, jak wiemy, ufundował Ignacy Jan Paderewski. To taka wzruszająca historia, która mówi o tradycji, patriotyzmie i historii lat minionych. Najpierw poeta zwrócił się do mieszkańców Wielkopolski, a później w „Gwiazdce Cieszyńskiej” również Ślązakom ofiarowała tekst Roty. Feliks Nowowiejski skomponował muzykę i Rota stała się hymnem obchodów Roku Grunwaldzkiego. (Po odzyskaniu niepodległości konkurowała z Mazurkiem Dąbrowskiego do roli polskiego hymnu). Policja, dowiedziawszy się o planach wyjazdu chórów do Krakowa na obchody grunwaldzkie, natychmiast je udaremniła zabraniając zespołom wyjazdu. Śpiewaków to jednak nie powstrzymało i indywidualnie pojechali do Krakowa. Razem zebrało się kilkaset osób, by 15 lipca 1910 roku zaśpiewać i zmanifestować swoje przywiązanie do Polski. W kronikach przeczytałam również, że podczas prób chóru „Harmonia” nie można było wykonywać polskich pieśni, ale kiedy nikt nie słyszał, ćwiczyli polskie kompozycje, m.in. Rotę. Powiem szczerze, że niejednokrotnie miałam łzy w oczach, kiedy czytałam te ponad stu-letnie już dokumenty.

Wyczytałam, że przed początkiem II wojny światowej na Śląsku działało ponad 800 zespołów. Mamy tego liczne dowody w zasobach Śląskiej Biblioteki Cyfrowej, ponieważ chóry te były świetnie zorganizowane i prowadziły własną dokumentację, co pośrednio jest dowodem organizacji życia społecznego i kulturalnego na Śląsku.

To prawda. Chóry prowadziły i w większości prowadzą do dzisiaj szczegółową dokumentację swojej działalności. Niestety nie wszystkie kroniki przetrwały historyczne zawirowanie. Od początku XX wieku zespoły wzajemnie się wspierały, zachęcając do śpiewania polskich pieśni. Pojawiła się potrzeba zjednoczenia kół śpiewaczych „celem wzajemnego wspierania się w trudnych warunkach, w jakich się wówczas wszystkie niemal towarzystwa śpiewackie znajdowały”. W 1910 roku w Bytomiu został powołany Związek Śląskich Kół Śpiewaczych z inicjatywy Michała Wolskiego – aptekarza, ale także działacza narodowego, który współpracował z Wojciechem Korfantym. Związek zmieniał swoje nazwy, ale istnieje do dzisiaj. Obecnie mamy Polski Związek Chórów i Orkiestr (od 1973) z siedzibą w Warszawie i śląskie oddziały terenowe: bielski, częstochowski i Oddział Zagraniczny w Republice Czeskiej. Po odłączeniu

od PZChO na Śląsku powołano Śląski Związek Chórów i Orkiestr, który zrzesza 12 okręgów śpiewaczych.

Rozwojowi śląskiej chóralistyki nie przeszkodziła nawet II wojna światowa i „nowy” ustrój społeczny. Pamiętam, że sporo członków mojej rodziny było zaangażowanych w działania – nazwijmy je artystyczne – np. teści i ciotki występowały w operetkach i wodewi-łach. Wątpię, by byli szczególnie uzdolnieni muzycznie, a jednak takie wydarzenia były popularne.

Tutaj znowu chciałabym się podeprzeć tym, co wyczytałam w kronikach „Harmonii”. Nie każdy śpiewak z pewnością był genialnym wykonawcą operetkowym, czy operowym. Natomiast popularyzacja polskiej muzyki to był dla ówczesnych śpiewaków, dyrygentów priorytet, sposób spędzania wolnego czasu, a przede wszystkim odzwierciedlenie dumy narodowej. Myślę, że istotną kwestią było również to, że owo pokolenie niestety wiedziało, czym jest brak wolności, dlatego podtrzymywanie ducha narodowego było celem najważniejszym. „Harmonia” jeszcze w latach przedwojennych wystawiła opery Stanisława Moniuszki. W pełnych strojach z orkiestrą i chórem wystawiano operę *Flis i Halkę*.

Czy wyniosła Pani miłość do muzyki z domu?

Nie pochodzę z rodziny muzycznej. Nikt z mojej najbliższej rodziny nie chodził do szkoły muzycznej, natomiast muzyka była u nas zawsze obecna, przede wszystkim w śpiewie. Mój dziadek Konrad, rocznik 1923, po prostu kochał muzykę, uwielbiał. Nie miał w tamtym czasie możliwości kształcenia muzycznego. Dlatego, kiedy okazało się, że wnuczka jakiegoś zdolności muzyczne ma, po prostu musiał uzbierać pieniądze i kupić wnuczce pianino. Tak się stało i właściwie dzięki dziadkowi muzyka stała się moją życiową drogą. Dziadek również bardzo mnie motywował i wspierał podczas dziecięcych muzycznych zawirowań. Obojętnie, czy miałam lat 7, czy 17 zawsze prosił, żebym dla niego grała na pianinie. To były nasze rodzinne, małe recitale, a po nich zawsze znajdował się jakiś grosz na lody, specjalny prezent od dziadka. Wspominam to z wielkim rozrzewaniem. Dziadka niestety nie ma już wśród nas, ale dziadkowe pianino stoi obok i z sentymentem zawsze na nie patrzę. Przetrwało również edukację muzyczną moich dzieci. Historia więc toczy się dalej...

Takie były początki Pani muzycznej drogi. A co było potem?

Wiadomo, szkoły muzyczne... ale przepraszam, powinnam zacząć od początku. Moja muzyczna droga rozpoczęła się właściwie od lat przedszkolnych. Zawsze uczestniczyłam w różnego rodzaju zespołach muzycznych. Muszę też

wspomnieć panią Urszulę Holonę, nauczycielkę muzyki w Szkole Podstawowej nr 1 w Wodzisławiu Śląskim. Pani Urszula pokazała mi, że stojąc na scenie można się realizować, być szczęśliwym i dawać muzyczną przyjemność drugiemu człowiekowi. Przez kilkanaście lat śpiewaliśmy w duecie z moją przyjaciółką Joanną Lubańską (przyjaźniły się do dzisiaj). Pani Urszula wzięła nas na konkursy wokalne prywatnym samochodem po całej Polsce. Potem przez kilka lat byłam związana z Zespołem Pieśni i Tańca Ziemi Wodzisławskiej. Muzyka ludowa wsiąknęła w moje życie i do dzisiaj jest ważnym elementem moich badań naukowych. Później rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Śląskim, na Wydziale Pedagogiczno-Artystycznym. Od początku zostałam śpiewaczką Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”. Dyrygentem była pani profesor Halina Goniewicz-Urbaś. Już podczas studiów, prof. Halina Goniewicz-Urbaś doceniła moje zainteresowania emisją głosu oraz umiejętność pracy z zespołem chóralnym. Początkowo zajmowałam się „rozśpiewaniem” chóru i pracą korepetytorską z chórem. Pierwszym utworem, nad którym pracowałam z Chórem Harmonia, był psalm Feliksa Mendelssohna na osiem głosów *Richtemich Gott*. Było to na początku drugiego roku studiów na kierunku Wychowanie Muzyczne. Do dzisiaj kompozycja pozostaje w repertuarze akademickiej Harmonii, a ja darzę ją olbrzymim sentymentem. Od 1993 roku zostałam oficjalnie II dyrygentem Chóru UŚ „Harmonia”. W październiku 1997 roku zostałam zatrudniona jako pracownik naukowo-dydaktyczny uniwersytetu. Później pani profesor Halina Goniewicz przekazała mi kierownictwo Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”. A następnie stopniowo awansu tak, jak to bywa na uczelni, to setki, setki koncertów. Doktorat, habilitacja, profesura były jakby konsekwencją koncertów, festiwali, konkursów, nagrań, a także działań naukowych: publikacji, konferencji, warsztatów, seminariów.

Wróćmy jeszcze na moment do okresu młodości. Mówiła Pani, że dziadek i środowisko rodzinne wzbudziło w Pani pasję muzyczną. Czy dzisiaj młodzież, dzieci są wystarczająco kształcone w tym zakresie? Wydaje mi się, że chóry, chociażby te kościelne, tworzą osoby dojrzałe, a brakuje przysłowiowego „narybku”? Nie ukrywajmy, że zainteresowanie muzyką chóralną jest obecnie niewielkie, ale wynika to z kształcenia, z braku odpowiednich programów, z braku zainteresowania muzyką i mało atrakcyjną edukacją muzyczną. Godzin muzyki w szkole jest niestety zbyt mało, a program nauczania niezbyt muzykę propaguje i popularyzuje.

Na poziomie szkoły średniej to zaledwie 30 godzin w całym cyklu kształcenia. Jeżeli uczniowie ją wybiorą zamiast filozofii czy plastyki.

Rozmawiałam z metodykiem, który przygotowuje studentów do prowadzenia zajęć w szkole. Metodycy mają problem ze znalezieniem możliwości odbywania praktyk studenckich w szkołach ponadpodstawowych. Wygodnie jest dyrektorom, nie wiem dlaczego, jednak zapewnić plastykę bądź filozofię. Na poziomie klas 1–3 nauczania wczesnoszkolnego również w gestii dyrektora jest przekazanie godzin muzykowi, co się niestety bardzo rzadko zdarza. W ogóle zanika tradycja śpiewania w szkole. Jeśli nie nauczymy dziecka kultury śpiewu od wieku przedszkolnego, to niestety nie wyedukujemy śpiewającego społeczeństwa i nie pozyskamy śpiewaków do wspólnych chórów, które kultywują wieloletnie tradycje śpiewacze. Na szczęście środowisko chórmistrzów, środowisko chóralistyki postanowiło temu zaradzić. W 2006 roku powstał projekt „Śpiewająca Polska” Ogólnopolski Program Rozwoju Chórów Szkolnych zaproponowany przez Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu. Pomysłodawcą był ówczesny dyrektor Filharmonii Wrocławskiej. „Śpiewająca Polska” zrzesza prawie 200 chórów, które działają w szkołach. Program finansowany jest ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego i z tych pieniędzy organizowane są szkolenia dla dyrygentów, dofinansowywanie godziny zajęć, sprawowanie opieki merytorycznej oraz – co to jest też bardzo ważne – zamawianie

kompozycji na potrzeby chórów szkolnych i młodzieżowych. Zabezpieczony został więc repertuar dla dzieci i młodzieży. Miejmy nadzieję, że program „Śpiewająca Polska” troszeczkę zmieni spojrzenie na edukację chóralską i z czasem zapomniemy o stereotypie chórów tylko kościelnych i senioralnych. Przepaść między chórami kościelnymi i osobami dojrzałymi, które w nich śpiewają, a chóralistyką młodzieżową jest ogromna. Niestety panuje przekonanie wśród młodzieży, że śpiewanie w chórze jest mało atrakcyjne. Myślę, że ważną rolę odgrywają dyrygenci. W ich rękach leży naprawa chóralnego problemu. Poszukiwanie nowych, atrakcyjnych możliwości repertuarowych umożliwi dotarcie do przeciętnego słuchacza.

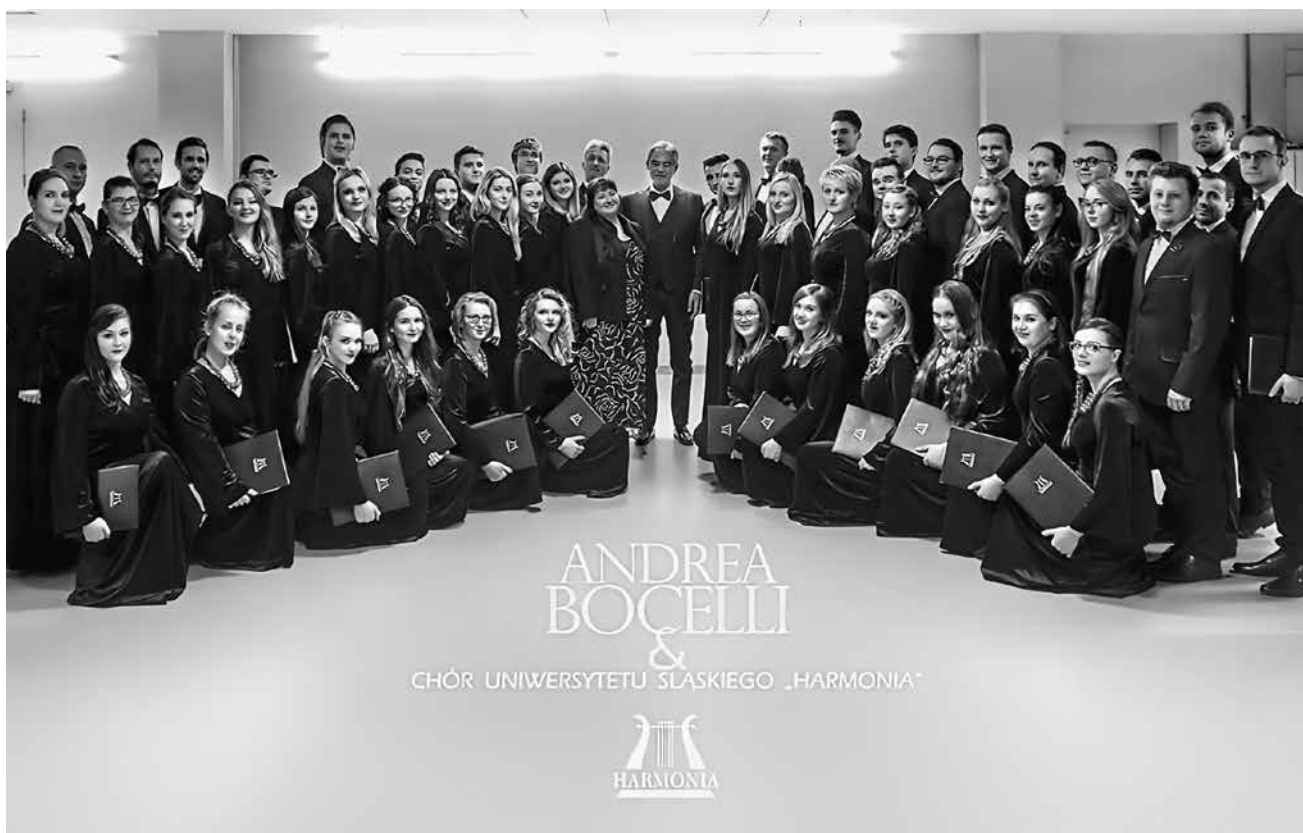
Tym bardziej że dzięki edukacyjnym programom europejskim młodzież poznaje, jak wygląda to w innych państwach np. w Finlandii czy Niemczech, gdzie młodzi ludzie mają dostęp do niemal wszystkich instrumentów w szkole i mogą spróbować wykonania różnego rodzaju muzyki.

Dziecko chłonie wiedzę i emocje. Jeżeli otrzymuje informację od otoczenia, od rodzica, że przedmiotem „muzyka” nie należy się przejmować i nie trzeba mu poświęcać czasu, to dziecko wzrasta w takim przekonaniu. Zapomniano troszeczkę o tym, że przez kontakt ze sztuką, muzyką i plastyką, tworzymy nasze „ja” – tożsamość kulturową, rozwijamy naszą twórczą inteligencję. Zapomina się, że na sztuce i dzięki sztuce powinno się budować wrażliwość i emocjonalność

młodych ludzi. Nie zapominając jeszcze o terapii przez muzykę.

Słyszałem ostatnio, że na Pani „profesurę” składało się aż 300 koncertów.

Na „profesurę” składało się prawie 1000 koncertów. Przytoczę naszą rodzinną opowieść. Gromadząc dokumenty do profesury belwederskiej, robiąc podsumowania, okazało się, że zadyrygowałam blisko 1000 koncertami. Przekazałam tę informację rodzinie. Mój syn, który miał wtedy 16 lat powiedział: „Mamo, 1000 koncertów? Po prostu trzy lata cię nie było w domu!”. Uśmiechamy się teraz, ale to jest właściwie smutna historia. Pokazuje, że osiągnąć sukces zawodowy, realizując się artystycznie, poświęcamy swoją rodzinę. Każdy koncert to tak naprawdę wiele godzin przygotowań. Dyrygent jest odpowiedzialny za wszystko, nie tylko za przygotowanie artystyczne koncertu. Musi być odpowiedzialny także za warstwę logistyczną, organizacyjną społeczną, transportową, często zdrowotną, a na końcu musi być w gotowości jeszcze koncert zadyrygować. Zazwyczaj każdy koncert to poświęcony cały dzień. Stąd 1000 koncertów to niestety 3 lata poza domem. Koncertem, który najwięcej wzbudził we mnie emocji, był na pewno występ z Andreą Bocellim. Największy, jeżeli chodzi o liczbę publiczności, bo na widowni w Tauron Arenie w Krakowie były aż 23 tysiące osób. Wzbudził on u mnie dużo emocji, a także u wszystkich chórzystów. Widziałam, że przy czwartym bisie u wszystkich tych młodych ludzi w oczach błyszczały łzy. Mimo różnych opinii, jakie wygłoszone są na temat tego akurat artysty,



na pewno potrafi on wzbudzić ogromne emocje wśród wykonawców i wśród słuchaczy. Jest przy tym skromnym, życzliwym człowiekiem. Do swojej garderoby przed koncertem poprosił o prosty instrument klawiszowy, aby mógł się rozśpiewać, o piłkę i herbatę rumiankową. Ważnym wydarzeniem był również udział w konkursie w Busan w Korei Północnej. To było pierwsze zderzenie z dużym konkursem chóralnym w Azji, na który z całego świata przyjechało 28 zespołów. Kiedy usłyszeliśmy pierwszy zespół wykonawców, stwierdziliśmy, że chyba trzeba wracać do domu. Jak się później okazało, Chór „Harmonia” otrzymał trzecią nagrodę w kategorii muzyki ludowej. I jak to u Azjatów, punktowano i nagradzano 3 miejsca, a czwarty zespół nie otrzymał nawet dyplomu uczestnictwa.

Czyli oceniano bardzo ostro.

Bardzo. Liczyli się tylko wykonawcy, którzy otrzymali nagrodę. Na szczęście znaleźliśmy się w ich gronie. Nie wiem, co by powiedział Rektor Uniwersytetu, gdyby zespół nie przywiózł nawet dyplomu (*śmiech*).

Czy to był równocześnie najbardziej egzotyczny z koncertów?

Nie. Najbardziej egzotyczny koncert odbył się na Filipinach. Tam występowaliśmy w szkole podstawowej dla ubogiej ludności tamtego regionu. Dzieci dotykały naszej skóry, bo nigdy nie widziały Europejczyka. Nasza muzyka była dla nich egzotyczna. Żywo reagowały, z olbrzymim zainteresowaniem. Koncert pozostanie w pamięci na zawsze. Koncert ważny był także dla wrażliwości chórzystów.

Jest Pani chórmistrzynią, profesorem sztuk muzycznych w dyscyplinie dyrygentura, profesorem-wykładowcą akademickim w Instytucie Sztuk Muzycznych Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, dyrygentką Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”, Śląskiego Chóru Kameralnego „Ad libitum” oraz Zespołu Śpiewaczego KGW „Belszniczanki”, Prezesem Fundacji Muzyka Bez Granic. Uff, sporo tego. Jacy studenci i śpiewacy trafiają pod Pani skrzydła?

Wymieniając te wszystkie funkcje i zespoły, właściwie już pan odpowiedział, jacy ludzie do mnie trafiają. Zespół Śpiewaczy Koła Gospodyń Wiejskich „Belszniczanki” to panie w znaczącym kwiecie wieku, które nie pracowały nigdy z instruktorem wokalnym. To osoby, które do zespołu trafiły z pasji śpiewu, po to, żeby wspólnie się spotkać i zaśpiewać znane sobie piosenki ludowe. Poznałam dzięki nim utwory, których ja sama nie znałam i przyznam, że to wspaniałe przeżycie dla muzyka. To osoby, które nie mają doświadczenia muzycznego, a jednak im i mnie sprawia wiele radości i wiele przyjemności wspólne muzykowanie. Chór Uniwer-

sytetu Śląskiego „Harmonia” to studenci, przyszli nauczyciele muzyki, którym staram się przekazać przede wszystkim charyzmę i świadomość, że najważniejsze dla muzyka stojącego na scenie, ale także dla nauczyciela czy instruktora, to zainteresować muzyką i zawsze być autentycznym. Jeśli jesteśmy autentyczni w naszym wykonawstwie, to publiczność i współwykonawcy oddają nam siebie i swoje emocje. To jest też taka recepta na chóralistykę. Śląski Chór Kameralny „Ad libitum” to w większości absolwenci Chóru „Harmonia”. Osoby, które z pasją dalej chcą tworzyć muzykę i wspólnie koncertować. „Ad libitum” to również bardzo ciekawy zespół repertuarowo, który właściwie jest takim pomysłem, jak chóralistka powinna docierać do współczesnego słuchacza. Fundacja to konsekwencja działań i obserwacji doświadczeń mojego życia, bo w życiu pracowałam i w szkole podstawowej, i liceum, w domu dziecka, a także studenci, osoby czynne zawodowo, seniorzy. Wszystkie etapy kształcenia dane mi było poznać. Fundacja „Muzyka Bez Granic” po prostu musiała powstać, żeby dzięki muzyce móc docierać do wszystkich środowisk, chodzi tu o kwestię wieku, ale także zaangażowania, zainteresowań oraz potrzeb społecznych. Myślę, że Fundacja będzie się rozwijać i mam nadzieję, że wielokrotnie będzie można o niej usłyszeć. Poza tym jestem jeszcze instruktorem rekreacji ruchowej ze specjalnością jeździectwo, hodowcą koni. Prowadziłam również z mężem przez wiele lat Gospodarstwo Agroturystyczne i Stajnię Kasztanka w Belsznicy.

Wróćmy do repertuaru „Ad libitum”. Rozumiem, że odpowiednio dobrany pobudza słuchaczy i sprawia, że nawet trudne utwory stają się popularne.

Tak uważam. W „Ad libitum” mamy kilka programów artystycznych o różnej tematyce, ze względu na stopień odbioru słuchacza. Jeżeli wykonujemy koncert przekrojowy muzyki chóralnej, to wiemy doskonale, że w czasie jednego występu warto przemycić utwory muzyki dawnej polskiej i zagranicznej, Orlanda di Lasso czy Grzegorza Gerwazego Gorczyńskiego, po prawykonaniu utworów muzyki współczesnej, ale zawsze w każdym koncercie musi się znaleźć coś, co tego przeciętnego słuchacza zainteresuje i ostatecznie powie: „Bardzo mi się podobało. Nie wiedziałem, że chór może śpiewać takie rzeczy”. Na końcu zaśpiewali *Bohemian Rhapsody* zespołu „Qu-

een”. „Ad libitum” obecnie przygotowuje program z produkcji Netflixa: „Dom z papieru” czy „Wiedźmin”. Taki repertuar pokazuje, że chór nie musi tylko kojarzyć się z zespołem seniorów, który śpiewa w kościele, ale może wykonać każdą muzykę, zarówno w kościele podczas liturgii, jak i tę słyszaną w radio.

Rozumiem, że stawia Pani Profesor przed chórem zadanie dydaktyczne, bo z jednej strony odbiorca dostaje muzykę popularną, powiedzmy sobie łatwiejszą, zaś z drugiej zostaje przygotowany do obcowania z muzyką klasyczną.

Nie wiem, czy możemy użyć terminu muzyka łatwa, ponieważ te opracowania muzyki rozrywkowej niejednokrotnie do łatwych nie należą.

Jednym z najmłodszych przedsięwzięć Fundacji „Muzyka Bez Granic” był Międzynarodowy Festiwal „Muzyka bez granic” zrealizowany online. Jakiej rangi było to wydarzenie i jaki był jego odbiór?

Pandemia doprowadziła do sytuacji, w której bardzo zaczęliśmy tęsknić za kontaktem i jako Fundacja „Muzyka Bez Granic” postanowiliśmy wyjść naprzeciw oczekiwaniom naszych przyjaciół na całym świecie. Koncertując z „Harmonią” i „Ad libitum” w różnych krajach świata, nawiązaliśmy szereg przyjaźni z wieloma zespołami. Postanowiliśmy zorganizować festiwal online, łącząc wykonania utworów z różnych krajów, aby chociaż w ten sposób być razem i zaprezentować naszą muzykę na całym świecie. W tym przedsięwzięciu wzięło udział 16 zespołów z 12 krajów z czterech kontynentów. Przesłuchując materiał zauważyłam, że ta różnorodność repertuarowa jest chyba właśnie lekiem na chóralistykę polską, bo na świecie zespoły radzą sobie całkiem dobrze. O jej kondycji już rozmawialiśmy, ale myślę, że właśnie poprzez różnorodność repertuaru mamy szansę na zainteresowanie szerszego grona odbiorców.

Czego życzyć Pani, chórom, śpiewakom i studentom?

By śpiew ciągle przynosił nam radość i byśmy mogli tę radość przekazywać publiczności. Żeby sale koncertowe na koncertach chóralnych były zawsze pełne. Nie tylko te największe i najnowocześniejsze typu NOSPR. Abyśmy czuli, że nasza praca i nasza muzyka jest po prostu potrzebna.

Tego serdecznie w imieniu czytelników „Śląska” życzę i dziękuję za rozmowę. ■

Isabella Zielecka-Panek jest chórmistrzynią, profesorem sztuk muzycznych w dyscyplinie dyrygentura, profesorem w Instytucie Sztuk Muzycznych Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie, dyrygentką Chóru Uniwersytetu Śląskiego „Harmonia”, Śląskiego Chóru Kameralnego „Ad libitum” oraz Zespołu Śpiewaczego „Belszniczanki”, Prezesem Fundacji Muzyka Bez Granic. Mieszka w Belsznicy.

Staw

Staw pokrył się rzęsą jak pola kielkami zbóż. Skaczą zabki po liściach grzybieni, a z lustra wody wystają ich oczy. Z tej perspektywy świat jest ogromnym kosmosem, w którym co chwilę ktoś przemyka chyłkiem.

Patynina

Wiatr i śnieg przygięły jałowiec do ziemi, jak starą Patyninę. Codziennie przychodziła do córki. Przemierzała trzykilometry las wolniutko, z oczami utkwionymi w ziemię. W szyszki i mech. Przez tyle lat przyzywała ją ziemia. A ona jej mówiła: „Przyjdę i do ciebie, ziemio, bądź cierpliwa”.

Jak dobrze

Jak dobrze, że elektryczność dotarła do nas tak późno. Mogłem doświadczyć tego, co moi przodkowie. Ciemności, że oko wykol, dróg błotnistych i kolein. Jaskółki mieszkają pod strzechą, a wróble ciemną płachtą pokrywały ziemię. Straszyl las, byle jaka górka. Cały świat kończył się za horyzontem. Kto przyjeżdżał, zawsze zaciekawiał. Kogo nie było, szukano go w pamięci. Jak to się zmieniło wraz z elektrycznością? Świat się skurczył, rozeszły drogi. Lenin, nieboszczyk Lenin, przewidział to. Rzucił klątwę na nasz świat.

2008

Ciotka Stefka

Kiedy myślę o sadzie moich dziadków, mam w pamięci pochyloną kosztelę, rozłożystą renetę, kępy mirabelek i słupy śliw. Bliżej domu papierówki i takie drzewko, o którym się mówiło, że rodzi zimowe jabłka. „Ogród, ale nieplewiony”, powiedziałby Wacław, co pisał się z Potoka (nie wiem, choć powinienem, czy to ten sam Potok opodal nas). Gruszka ulegała wyszła poza sad i zdobiła podwórze odgradzone od niego byle jakim płotem. Codziennie przez ten sad szła moja ciotka Stefania i choć bolały ją nogi, pokonywała drogę, by odwiedzić brata. Mówiliśmy na nią: ciotka Stefka. Z czterech sióstr ojca mama najbardziej ją lubiła, a ja, choć powinienem, już nie znajduję jej twarzy w pamięci. I niewiele mogę powiedzieć ponad to: ciotka Stefka. A przecież codziennie wraz z nią przemierzam tę samą drogę przez sad.

Mama

Nigdy się nie skarżyła, była mocną kobietą. Dom na jej barkach promieniał i rósł. A teraz niknie zagubiona w łóżku. Płacz i jest nieznośna. Oddała się od nas tak szybko, jak może. A przecież łapczywie chwytą się naszych rąk. Nie chce upaść. I my też nie chcemy. Umieramy wzajemnie, jakbyśmy zapomnieli, że jesteśmy dla siebie. Po to, by żyć.

Mama (II)

Śnisz mi się często, uśmiechnięta i młoda. Jakbyś chciała odegnąć to, co nieuchronne. I co mnie dosięgnie, gdy nie będę przeczuwał, że nadeszła pora i trzeba się żegnać. Cieszę się, że mnie odwiedzasz z tej otchłani czasu, musi to być wysiłek nie tylko miłości. Powiedz też, proszę, ojcu, aby i on czasem zjawiał się w śnie moim, bo strasznie się leni. Wpadnie raz na czas jakiś i tyle mam z niego. Więc powiedz mu, leniowi, niechże wpadnie we śnie. Ma całą wieczność, aby być z innymi.

Ojciec

A jednak nie przyszedł we śnie. Już ja się z nim policzę. Wygarnę mu i żadnej czułości nie będzie. Jak z kotem Szymborskiej, czyli Filipowicza: „Będzie się szło w jego stronę, jakby się wcale nie chciało”.

Czytając poetę z IX wieku

Ono Takamura napisał wiersz o pierwszym dniu zimy: „Wszędzie jest biało. Do kwiatu śliwy upodobnił się śnieg. Gdzie śnieg jest, a gdzie kwiat? Tylko zapach podpowie, czy śliwa to, czy nie”. Żadzroszczę mu pewności, że po świecie może nas oprowadzić tylko jeden zmysł.

Poświatowska

Pada śnieg. Który raz? Czego nauczyłam się wraz z płatkami śniegu? Że cieszą, zakrywają brudną ulicę, pozwalają się zebrać w kulkę, którą ze śmiechem uderzamy w kogoś? Co mi mówi? Że za chwilę go nie będzie, że nie poczuje jego wspaniałego, jaśminowego smaku? Wychodzę na dwór z odkrytą głową, wystawiam twarz, by złożył śnieżynki jak koronki na policzkach.

Chodasiewicz

„Chcę wódki, więcej wódki” – krzyczał w uniesieniu. Więc przyszła, rozpromieniona. „Chcesz żyć, czy tworzyć” – spytała nieśmiało. On rozedrgany: „Czego chcesz ode mnie”. Odpowiedziała mu: „Twórz”.

Zapisać

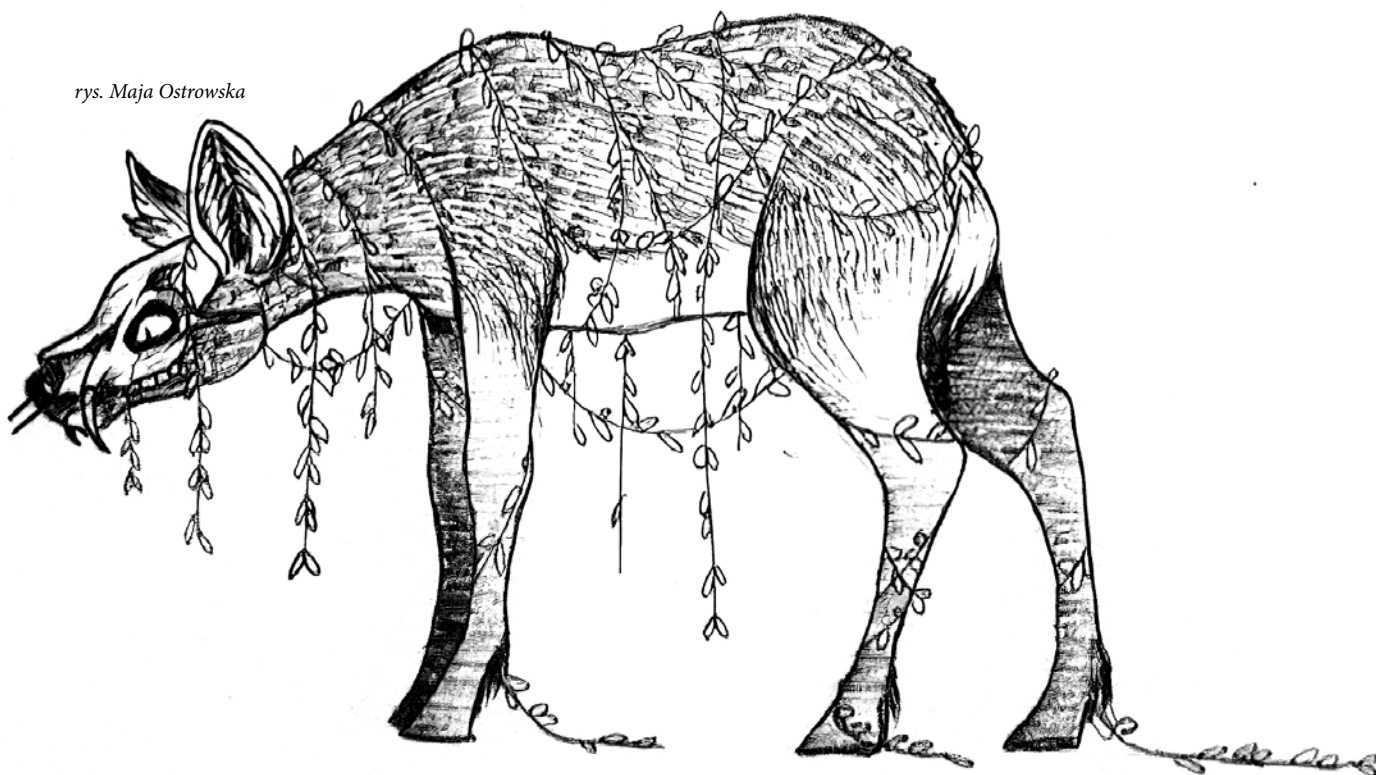
Chciałoby się zapisać to, co już zamilkło. Co było, a nie jest i co już nie będzie. Twarze, ubrania, ruchy – te tak wyjątkowe. I głosy, i milczenie na jedyny raz. Że szliśmy gdzieś i do kądś. I że nieosobno. Że czasami uśmiech spotykał się z łzą. Dlaczego po drodze było tyle śmiechu? I dlaczego złość nas wciąż nie opuszczała? Zapisać to wszystko sobie lub innemu. Aby móc przypomnieć, aby nie zapomnieć.

2004

Myśl zapisana

Myśl zapisana, żeby nie zapomnieć. Włożona w książkę jako znak pamięci. Jak liść, zakładka pomiędzy kartkami. Nagle zniknęła, chowa się i droczy. Gdy się odnajdzie, władającą sobą, komu innemu jaką myśl przekaże.

rys. Maja Ostrowska



Przesilenie

Śnieg wniknął w ziemię i słońce świeci mocniej. Ale gdzie podziały się ptaki, wiernie nam dotąd przez wszystkie mrozy. Czeka na nie słonecznik, zawieszony na krzewie, zapraszają na ucztę korale ostrokrzewu. Lecz nie ma ptaków i przestały śpiewać, jakby się obraziły na niestałość pogody. Wracajcie kosy, drozdy, bogotki. Przybywajcie wilgi! Czekamy na was! Nagie gałęzie proszą o wasz śpiew. Gdy będzie cicho, kto obudzi listki?

25 lipca obchodziliśmy po raz pierwszy Światowy Dzień Dziadków i Osób Starszych ustanowiony przez papieża Franciszka. Najstarsza żyjąca Polka pani Tekla Juniewicz (115 lat) z Gliwic, jest też 3. najstarszą osobą w Europie i 8. najstarszą osobą świata, a energii i pogody ducha zazdrozczą jej nastolatki. My pytamy, czym są starość i młodość, i ile ze źródła wiecznej młodości pozostaje w naszych własnych rękach. I jeszcze czytamy felieton księdza Piotra Brząkalika oraz wiersz – lekarza, kardiochirurga prof. Mariana Zembali.

– Starość to naturalny proces, który przebiega przez całe życie – mówi Zbigniew Sergiel, fizjoterapeuta osób starszych z Sosnowca. – Tak naprawdę rodzimy się, żeby się zestarzeć i musimy się z tym pogodzić. Nie chcę mówić – niestety, ale wiele osób ma z tym problem i to dość spory. Nie godzą się z tym, że są słabsi, gorzej wyglądają, a starość ma swoje piękne strony. To na pewno dojrzałość. Życiowa mądrość. Bardzo często, gdy myślę o czymś takim jak „wehikuł czasu”, w czasy dzieciństwa, młodości przeniósłbym się z obecnym bagażem doświadczeń. Myślę, że byłbym wtedy kimś wyjątkowym... Jak odbierać cierpienie, które spotyka się na co dzień? To zależy, w jakim aspekcie przyglądamy się cierpieniu. Uważam, że (to moje osobiste doświadczenie), najgorszym rodzajem cierpienia dla ludzi chorych i starszych jest to, że są pozostawieni sami sobie. Czymś strasznym jest samotność, ale cierpienie w samotności jest czymś, czemu trudno jest zaradzić.

Każdemu przydzielono własną przystań
Przytoczmy fragment wiersza „Dyptyk z sercem na dłoni” cz. I, lekarza, kardiochirurga, (dyrektora Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrzu) profesora dr hab. n. med. Mariana Zembali z 2009 r., poświęcony ciężko choremu Zbigniewowi Relidze: „Przepłyni przez rozlewiska choroby. Nie zatrzymuj się, nie ustawaj. Dobrze wiesz, że każdemu przydzielono własną przystań”. I wypowiedź prof. Zembali z książki „Spotkania. Opowieść o wierze w człowieka” (Marian Zembala w rozmowie z Dawidem Kubiatońskim): „Każde cierpienie człowieka, zwrócenia, istoty żywej oraz przyrody jest również nieodzownym elementem naszego życia. Każdy z nas sam doświadczył różnego rodzaju cierpienia”. W 1977 roku Marian Zembala, wówczas lekarz-stażysta choruje na żółtaczkę wszczepioną i w sali szpitalnej leży obok mężczyzny cierpiącego na złośliwy nowotwór trzustki. (W tamtych czasach są one nieoperacyjne, męczycząca umiera).

– Ten mężczyzna zawstydzał mnie swoim intelektem, czytaniem, filozofią życia i postawą. Zrozumiałem wtedy, że pacjent ma prawo do krzyku, gdy nic nie uśmierza jego bólu, że ma prawo wyrazić swoje cierpienie w każdy z możliwych sposobów. To doświadczenie zmieniło na zawsze moje postrzeganie cierpienia. Inaczej się patrzy na cierpiącego pacjenta z punktu widzenia lekarza, a inaczej, jeśli samemu jest się pacjentem. Może to zabrzmieć dziwnie, ale jestem dzisiaj w jakiś sposób wdzięczny, że to właśnie ja leża-



Tekla Juniewicz (115 lat)

Starość na rozdrożu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

łem na tej sali, że doświadczyłem bliskości cierpienia drugiej osoby na początku mojej pracy zawodowej. Młodzi lekarze ulegają czasem pokusie, by być panami życia i śmierci, a pacjent jest na tej drodze tylko spotkanym na krótko podmiotem. Ważnym, ale zbyt często pozbawionym prawa do poszanowania intymności bliskości, rodziny, kapelana, ciszy – mówi w wywiadzie z Dawidem Kubiatońskim prof. Zembala.

Hinduski mędrzec, który był rewolucjonistą

Ks. Piotr Brząkalik, publicysta (na co dzień proboszcz parafii Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Katowicach-Burowcu) w zbiorze felietonów „Podszpty suflera” przypomina opowieść Anthonego de Mello o hinduskim mędrцу.

„W młodości był rewolucjonistą i prosił Boga, aby mógł zmienić świat. W wieku średnim zrozumiał, że nie zmieni całego świata i modlił się o zmianę swojej rodziny, przyjaciół, najbliższych. Gdy się zestarzał, zaczął się modlić o łaskę zmiany, nawrócenie siebie. I wyznaje: Teraz kiedy moje dni są policzone – zacząłem rozumieć, jaki byłem głupi. Gdybym się tak modlił od początku, nie zmarnowałbym życia” wskazuje ks. Brząkalik.

Także Zbigniew Sergiel podkreśla, że na swoją starość pracujemy przez całe życie.

– Znając dokładnie zyciorysy kilku osób i wiedząc jak odeszły, sam chciałbym doświadczyć takiej starości – mówi. – Jesteśmy tym, czym się karmimy i to nie tylko w sensie fizycznym, ale i duchowym. Proszę zwrócić uwagę, że jesteśmy teraz tak formatowani przez telewizję; przez seriale, gdzie mamy niesamowitą ilość przemocy, że stajemy się złymi ludźmi. Jesienią naszego życia będziemy sumą tych doświadczeń. Osoba, która przez całe życie karmi się agresją, tym, co złe – będzie zgorzkniała i mało życzliwa. Będzie cierpiała, nie akceptując swojej sytuacji. I odwrotnie, ktoś, kto karmi się

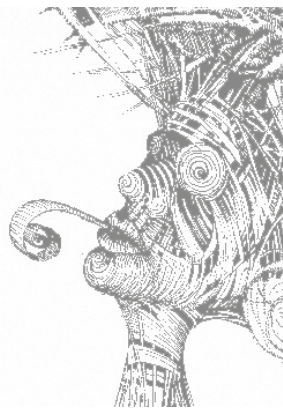
rzeczami dobrymi, będzie pozytywnie nastawiony do innych. Zbuduje w sobie duże pokłady empatii.

Uwierzmy w autorytety!

Ks. Brząkalik zwraca uwagę na rolę starszego pokolenia w naszym życiu, autorytet osób starszych.

„To, co potrafimy, zbudowane jest na życiu, talentach, zasadach, wierze – naszych rodziców, dziadków, nauczycieli, księży i wielu innych. Także zupełnie bezimiennych, spośród których rośliśmy i dojrzewaliśmy. To ich życie jest podłożem, fundamentem naszego i tego, jakimi jesteśmy ludźmi” – pisze ks. Piotr Brząkalik w felietonie „Doceń życie”. W kolejnym „Kopiuju świętość” przypomina Marka Aureliusza: „Człowiek jest tyle wart, ile warte są sprawy, którymi się zajmuje”. Ludzie, którzy pracują całe życie nad tym, żeby być dobrymi (nasza etyka opiera się na Dekalogu) i na przykładzaniu: „Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego” lepiej siebie rozumieją.

– Proszę zwrócić uwagę: przykazanie mówi, żeby miłować siebie samego – podsumowuje Zbigniew Sergiel. – Trudno jest kochać inne osoby, jeżeli nie kocha się siebie. Wielu chrześcijan o tym zapomina. A to jest bardzo ważne, by mieć dużo empatii dla innych, ale również szanować samego siebie. Trudno jednak szanować siebie, jeśli jest się przysłówiową szujką, okrada bliźnich, robi im krzywdę w inny sposób. To rzutuje na naszą przyszłość. Jeżeli naszym bogiem przez całe życie była mamonka, wszystko podporządkowaliśmy zdobywaniu pieniędzy po trupach, uczestniczyliśmy w „wyścigu szczurów” – nie oczekujemy, że u kresu swoich dni będzie w naszym życiu wszystko w porządku. Pieniądzy może nie być, możemy być bezradni wobec choroby, i... samotni. Jak śpiewał Ryszard Riedel: – „Najgorzej w życiu, to samotnym być”. To niesamowite przesłanie, z głębi serca, bo on sam doświadczył tego na własnej skórze. ■



ŚLĄSKA
OJCZYZNA
POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

O nazwisku *Gansiniec* i o dolnośląskim *Gęsińcu*

Z wielkim wzruszeniem przeczytałem w kwietniowym numerze „Śląska” artykuł Antoniego Wilgusiewicza pt. „Ślązak ekspatriowany. Rzecz o Ryszardzie Gansinću”, poświęcony – przywołanemu w tytule – wielkiemu polskiemu filologowi klasycznemu, Ślązakowi urodzonemu w Siemianowicach w roku 1888, którego droga akademicka wiodła przez studia w Muenster i Berlinie (1911–1915) do profesorskich katedr w Poznaniu (1918–1920) i we Lwowie (od r. 1920), a po ostatniej wojnie – we Wrocławiu (1946–1948) i później w Krakowie, gdzie zmarł w r. 1958. Przypomniał Antoni Wilgusiewicz, że prof. Gansiniec (do r. 1949 używał pisownianego wariantu swego nazwiska Ganszyniec) podczas swej pracy uniwersyteckiej znajdował też czas na propagowanie wiedzy o antyku przede wszystkim wśród młodzieży polskiej, wydając pismo „Filomata” i związane z nim liczne publikacje na temat kultury antycznej. Czytając o tym, wróciłem pamięcią do lat swej szkoły średniej w Tarnowskich Górach i naszego nauczyciela łaciny Stanisława Huzy, za którego pośrednictwem prenumerowaliśmy owego „Filomatę”, a ja posłałem nawet do redakcji próbkę przekładu fragmentu „Do źródeł Banduzji” Horacego oraz kilka rozwiązanych i ułożonych przez siebie krzyżówek łacińskich. W westfalskim Muenster z kolei, w którym Ryszard Gansiniec studiował, w latach 1975–1977 byłem lektorem języka polskiego, no a Uniwersytet Wrocławski – pierwsze powojenne miejsce pracy znanego filologa – stał się od roku 1963 moim drugim domem. To są wszystko powody mego wzruszenia, z którego się zwerzyłem w pierwszym zdaniu dzisiejszego odcinka.

Na specjalne historycznojęzykowe potraktowanie zasługuje samo nazwisko *Gansiniec* – typowo śląski wariant standardowej formy *Gęsiniec*, która – oczywiście –

należy do dużej grupy derywatów związanych z rzeczownikiem pospolitym *gęś*: *Gęsa, Gęsik, Gęsiarz* (od *gęsiarz* „handlarz, pasterz gęsi”), *Gęsiczka, Gęsiel, Gęsik, Gęsikowski, Gęsina, Gęsiniec, Gęsiów, Gęśnik, Gęsior* (od *gęsior, gęsior* „samiec gęsi”), *Gęsiorek, Gęsak, Gęsał, Gęsawa, Gęseczka, Gęsek, Gęsiar, Gęsiarek, Gęsiniec, Gęsień, Gęsiewicz, Gęsie, Gęsik, Gęsior, Gęsioreczyk, Gęsiorek, Gęsiorkiewicz, Gęsiorowicz, Gęsiorowięta, Gęska* (od *gęska*), *Gęskiewicz, Gęskowicz* (Kazimierz Rymut: *Nazwiska Polaków*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1991, str. 121).

A gdzie tkwi śląska specyficzność nazwiskowego brzmienia *Gansiniec*? Możemy je uzupełnić takimi postaciami, jak *Damboń, Dambal, Dambiec, Dambik, Dambich, Stanchły, Sankała, Mandrak, Mandrala, Panchyrz, Gambiec, Gamboń, Kampa, Kampka, Kampczyk, Kandzia, Kandzióra, Kandziela, Pandzioch, Kansy, Nandza, Bandas, Wanglorz, Pampuch, Pankała, Panczek, Bambynek*. Wszystkie one są pięknymi archaizmami fonetycznymi, kryjącymi w sobie funkcjonującą w polszczyźnie XIV-wiecznej samogłoskę „a nosowe” (taką jak w wyrazach typu *awans, pasjans, kwadrans, mezialians*), w którą zlały się w tamtej epoce „e nosowe” i „o nosowe” i z której ponownie się wykształciły „e nosowe” i „o nosowe”. Drugim śladem po tym dźwięku – obok nazwisk typu *Gansiniec, Kampa, Kandzia, Wanglorz* i typowych dla gwar Opolszczyzny brzmień *gans, gansi, zamb, zamby, Żandowice* „gęś, gęsi, ząb, zęby, Żędowice” – jest znak graficzny „ą”, czyli „a z ogonkiem”, chociaż kryje się dziś przecież pod nim nie „a nosowe”, ale „o nosowe”!

Dla porządku dopowiedzmy, że ogólnopolskimi wariantami przywołanych typowo śląskich nazwisk są formy *Dęboń, Dębal, Dąbal, Dębiec, Dąbiec, Dębik, Dąbik, Dębich, Stęchły, Sękała, Mędrak, Mądrak, Mądrala, Pęcherz, Gębiec, Gęboń,*

Kępa, Kępka, Kępczyk, Kędzia, Kędzióra, Kądziela, Pędziach, Kęsy, Nędza, Będas, Węglarz, Pępuch, Pękała, Pęczek, Pączek, Bębenek.

Wracając zaś do *Gansinca*, nie mogę nie wspomnieć – jako mieszkańiec Dolnego Śląska od 58 lat – nazwy miejscowej *Gęsiniec*, którą nosi wieś leżąca niedaleko Strzelina. Jakże ciekawa jest jej historia! Proszę sobie wyobrazić, że lokowana ona była w roku 1648 przez czeskich husytów – wyznawców doktryny Jana Husa, którzy przybyli na Dolny Śląsk, uchodząc przed prześladowaniami religijnymi ze strony ultrakatolickiego państwa Habsburgów. Uciekinierzy pochodzili w większości z miejscowości Czasław – do dziś w Czechach istniejącej. Lokowaną przez nich podstrzeleńską wieś nazwano *Husinec* dla upamiętnienia Jana Husa (substytut niemiecki: *Hussinetz*). W XIX wieku władze niemieckie nasiliły germanizację i przyłączyły miejscowych husytów do Kościoła ewangelicko-reformowanego (w latach 1937–1945 *Husinec/Hussinetz* nosił nazwę *Friedrichstein*). Po II wojnie światowej większość mieszkańców wyjechała do Czechosłowacji i Niemiec Zachodnich, a sąsiadami tych, którzy pozostali, stali się osadnicy polscy. W latach 1948–1951 działała tutaj czeska szkoła podstawowa, a potomkowie osadników czeskich żyją w tej okolicy do dziś. A co zrobiła Komisja Nazewnictwa, ustalająca brzmienia nazw miejscowości, które znalazły się po II wojnie światowej w Polsce? – Substytucyjnie, pod dźwięki czeskie podstawiając polskie, *Husinec* zmieniła w *Gęsiniec*. W ten sposób zatarło się jednak historyczne pochodzenie nazwy. Nawiazywało ono przecież do Jana Husa! By je uszanować, należało albo zmodyfikować fonetycznie czeską postać i stworzyć nazwę *Husinięc*, albo wprowadzić nową – ale Husa upamiętniającą – nazwę *Husów*.

Portret Żołnierza Chrystusowego

Ks. HENRYK PYKA

Od ponad czterdziestu lat utrzymuję kontakty z diecezją Linz obejmującą obszar Górnej Austrii. W historię tej krainy wpisana jest postać świętego Floriana. Miejsca jego kultu na terenie Austrii wielokrotnie odwiedzałem, bo bliskie są także polskiej tradycji religijnej i kulturze.

W kalendarzu liturgicznym diecezji Linz, której święty Florian jest patronem od roku 1971, wymieniany jest on wraz z innymi świętymi męczennikami z Lorch (Lauriacum), pod datą 4 maja. Wspomnienie liturgiczne świętego Floriana i jego Towarzyszy w męczeństwie, posiada w diecezji Linz rangę uroczystości. Święty Florian jest pierwszorzędnym patronem tej diecezji i zarazem patronem Górnej Austrii, w której znajdują się ważne centra jego kultu. Najważniejszymi z nich są bazylika św. Wawrzyńca w Enns-Lorch, augustiańskie opactwo św. Floriana w Sankt Florian i kościół pielgrzymkowy w Sankt Florian bei Helpfau – Uttendorf. Uroczystość liturgiczna obejmuje wraz z Florianem także wspomnienie grupy około czterdziestu osób, które w roku 304 wraz z Florianem złożyły przed światem świadectwo Chrystusowi swoją śmiercią. Było to na rok przed ustąpieniem z tronu imperatora Dioklecjana, który wszczął najkrwawsze prześladowania chrześcijan w Imperium Rzymskim. Prześladowania, których ofiarami byli między innymi męczennicy z Lorch miały miejsce w całym imperium rzymskim i rozpoczęły się w roku 302. Objęły one początkowo manichejczyków, a w roku 303 rozszerzone zostały na chrześcijan. Z aktami przemocy skierowanymi przeciw wspólnotom religijnym, wykraczającym poza oficjalny kult obowiązujący w imperium, Dioklecjan wiązał nadzieję ideologicznego i propagandowego wsparcia swej władzy. Miał ją wzmocnić powrót do starych rzymskich kultów i podkreślanie boskiej natury cesarzy.

W roku 303 z armii usunięto chrześcijan pod zarzutem zakłócania oficjalnych uroczystości religijnych. Ikonografia, która najczęściej przedstawia świętego Floriana jako rzymskiego legionistę, podkreśla jego związki z armią. Florian podejrzany o prochrześcijańskie sympatie został przymusowo zwolniony ze służby skutkiem edyktu cesarskiego i osiadł jako pensjonariusz w Sankt Pölten (rzymskie *Cetium*). Z analizy przebiegu wydarzeń, jakie miały miejsce w Lorch wynika, że rozgłos, jaki wywołał wyrok skazujący na śmierć Floriana, spowodowany był wysoką pozycją społeczną, jaką zaj-

mował on w prowincji określanej jako Noricum-Ripense. Obejmowała ona obszar dzisiejszych krain: Tyrolu, Salzburga, Górnej i Dolnej Austrii. Badania archeologiczne wskazują na Wels (rzymska *Ovilava*) jako stolicę prowincji, miejscowość oddaloną od miejsca dramatycznych wydarzeń o ok. 60 km. Florian przedstawiany jako rzymski oficer pełnił wysoki urząd szefa kancelarii namiestnika prowincji. Jego śmierć była wydarzeniem tak porażającym otoczenie, że uczyniła ona tę postać dla lokalnych wydarzeń kluczową i stała się symbolem zawierającym w sobie wszystkie inne wydarzenia, jakie wtedy miały miejsce na terenie dzisiejszej Górnej Austrii. Przesłoniła także na wiele wieków postacie innych męczenników, którzy równocześnie w tym samym czasie i na tym samym miejscu ponieśli śmierć dla Chrystusa.

Rozpowszechniony w całej Polsce i na Litwie kult świętego Floriana odnosi się do świętego męczennika z Lorch. Zgodnie z przekazem Jana Długosza w roku 1184 staraniem biskupa krakowskiego Gedki i księcia Kazimierza Sprawiedliwego zostały przekazane przez papieża Lucjusza III do Krakowa relikwie świętego Floriana. Papież ten wygnany z Rzymu przebywał w tym czasie w Modenie, Bolonii i Weronie, gdzie zmarł w roku 1185. Został pochowany w katedrze Santa Maria Matricolare w Weronie. Nie mógł zatem, jak pisze Długosz, „udać się do kaplicy kryjącej ciała wielu świętych” kojarzonej w innych przekazach z rzymską bazyliką świętego Wawrzyńca, by spośród spoczywających tam ciał świętych wydobyć ciało świętego Floriana – jeśli tam spoczywał. Nie mógł też w Rzymie zdarzyć się cud który, jak pisze Długosz, ujawnił, że wołą świętego było, by jego relikwie znalazły się w Polsce.

Wobec narastającego w Europie kultu świętego męczennika, rzymskiego legionisty z Lauriacum pojawiła się w Krakowie potrzeba określenia tożsamości Floriana, który obok świętych Wojciecha, Wacława i Stanisława czczony był jako jeden z patronów Królestwa Polskiego i jego obrońca przed Krzyżakami. Potrzeba ta wyraziła się powstaniem w Krakowie pod koniec XV wieku legendy określanej jako „Vita Sancti Floriani”. Podtrzymywała ona rzymską tradycję pochodzenia relikwii i pouczała, że to sam papież dla ocalenia Rzymu przed nieustającymi najazdami nieprzyjaciół nakazał szukać ciała świętego Floriana. Poszukiwania – jak głosi legenda – doprowadziły do odnalezienia relikwii świętego koło „Lauriacum” i sprowadzenia ich do Rzymu.

W tej legendzie wątek rzymski, o którym pisze Długosz, spotyka się z narastającym w Europie środkowej kultem świętego z Lauriacum (niem. Lorch), którego czczono jako jednego z czterestu Wspomożycieli. Ośrodek kultu tych świętych znajduje się we frankońskim Vierzeheiligen. W Krakowie relikwie świętego znajdowały się w kościele poza murami miasta. Święty miał strzec tych murów. W Austrii strzegł wschodniej flanki kraju przed najazdami Hunów i Madziarów. Rzymu miał strzec przed agresją Staufów i Normanów.

Świadectwem powiązań polskiej pobożności z miejscem kultu świętego w austriackim St. Florian są zapożyczenia hymnów stosowanych w polskim oficjum brewiarzowym. W uroczystość świętego Floriana śpiewano w Krakowie teksty powstałe w opactwie St. Florian. Takim utworem jest m.in. sekwencja *Salve Martryr gloriose*. Opactwo w St. Florian, pozbawione prawdopodobnie już w okresie wędrowek ludów relikwii świętego, podjęło starania o sprowadzenie ich partykuł z Krakowa. W roku 1736 biskup krakowski Jan A. Lipski przekazał opactwu w St. Florian koło Enns fragment relikwii Floriana z daru papieża Lucjusza, znajdujących się w Katedrze Wawelskiej. Stało się to w przy poparciu legata papieskiego kardynała Passionei, który poprzez dwór cesarski w Wiedniu wpływał na decyzję biskupa krakowskiego. Drugi precedens związany z przekazaniem relikwii św. Floriana z Krakowa do Górnej Austrii miał miejsce w trakcie obchodów jubileuszowych w roku 1984. Wtedy to na prośbę biskupa Diecezji Linz Maksymiliana Aichera przekazano partykułę relikwii świętego do Linzu z zamiarem umieszczenia jej w średniowiecznym kościele pielgrzymkowym w St. Florian, przysiółku należącym do miejscowości Uttendorf.

Dla lepszego osadzenia kultu świętego Floriana w Górnej Austrii należy scharakteryzować wyniki badań archeologicznych, które zostały przeprowadzone na terenie bazyliki świętego Wawrzyńca w Enns-Lorch. Niezależnie od wyników tych badań w miejscowym „Museum Lauriacum” można oglądać zarówno panoramę obozu rzymskiego, jaki tu istniał, jak i wiele materialnych pozostałości świadczących o życiu codziennym stacjonującego tu drugiego legionu rzymskiego, oraz istniejącej osady cywilnej, a od końca II wieku Kościoła, który musiał mieć swojego biskupa.

Zakrojone na szeroką skalę badania archeologiczne na terenie stacjonowania

II Legionu i osady rzymskiej pod Enns rozpoczęły się w roku 1951. Wyniki tych badań publikowane były od roku 1953 w kolejnych tomach *Forschungen in Lauriacum*, stanowiących aneks *Oberösterreichisches Heimatblätter*. Pierwszym impulsem do badań na terenie bazyliki Lauriacum było odkrycie dokonane w roku 1900 podczas prac restauratorskich głównego ołtarza tego kościoła. Znalaziono tu kamienny sarkofag, zawierający kości wielu ludzi. Kości zawinięte były w antyczne płótno, zadatowane po przeprowadzonych badaniach na czas między 4 a 6 wiekiem. Sarkofag pokryty był kamienną płytą z 191 r., dedykowaną Geniuszowi II Legionu. Znajdź z polecenia miejscowego biskupa zostało złożone na przykościelnym cmentarzu, a po 43 latach, w r. 1944 wydobyte z cmentarza i złożone ponownie w kościele 4 maja we wspomnienie św. Floriana.

Badania w obrębie bazyliki w Lorch zainspirowane zostały wykopaliskami przy grobie świętego Piotra w Rzymie prowadzonymi pod kierunkiem niemieckiego jezuity i archeologa Engelberta Kirschbauma. Uczestniczył on także w pracach komisji działającej na stanowisku archeologicznym w bazylice Lauriacum. Badania prowadzone w latach 1962–1968 przyniosły ustalenia ważne zarówno dla udokumentowania historyczności postaci świętego Floriana, jak i poszerzenia kontekstu, w jakim kult tego świętego należy dzisiaj pielęgnować. Ważne było badanie zawartości kamiennego sarkofagu przeprowadzone przez katedrę antropologii Uniwersytetu w Wiedniu pod kierunkiem prof. Emila Breitingera. Badanie metodą węgla-14 (¹⁴C) nie dało, co prawda, ostatecznej pewności datowania znalezionych kości. Jednak antropologiczna analiza zawartości sarkofagu potwierdziła wiarygodność przekazów pisanych i tradycji. „Czterdziestu” towarzyszy wpisanych w męczeństwo świętego Floriana istniało dotychczas tylko w jego legendzie. Okazało się, że kości złożone do antycznego sarkofagu (obecnie przechowywane pod mensą ołtarza) należały do przynajmniej 31 osób, wśród których byli mężczyźni i kobiety lub dzieci. Święty Florian, licząc na dawne wpływy, wynikające z jego pozycji społecznej pospieszył na ratunek swoim braciom w Chrystusie. Poniósł za to śmierć w rzece Anisium (Enns). Nie został co prawda pochowany w miejscu swojego męczeństwa. Pobożna chrześcijanka Waleria przewiozła jego umęczone ciało na miejsce obecnego opactwa St. Florian i tam pogrzebała. Pochowani jednak zostali na miejscowym cmentarzu w osadzie rzymskiej Lauriacum mężczyźni i kobiety, którym swoim zabiegiem Florian życia nie uratował. Jako żołnierz Chrystusowy dał jednak miejscowej gminie w chrześcijańskim Lauriacum przykład ofiarnej



solidarności z prześladowanymi. Nowe spojrzenie na świętego Floriana to powoduje, że współcześnie przyrównuje się jego czyn do ofiary z życia bł. księdza Jerzego Popiełuszki. Tego rodzaju postać ma swoje zakorzenienie w męczeńskiej śmierci Jezusa, który „odał swoje życie za braci” (1 J. 3,16).

Kult świętego Floriana jako patrona od ognia przyjął się dopiero w XV wieku i rozprzestrzenił się na całą Europę środkową. Szaflik z wodą, którym gasi pożar, został dodany do jego wcześniejszych atrybutów, które charakteryzują go jako Żołnierza Chrystusowego. Erazm z Rotterdamu pisząc „Podręcznik Żołnierza Chrystusowego” miał z pewnością także na uwadze męczennika z Lauriacum. Przedstawiano go bowiem jako młodego rycerza. Nosi kolczugę, później zbroję. Wyposażony jest w tarczę ozdobioną krzyżem i mieczem. Okryty z wierzchu opończą spiętą pasem i zapinką w kształcie tarczy zdobionej „krzyżem świętego Floriana”. W rękę trzyma lancę zwieńczoną chorągwią, na głowie ma mitrę książęcą. Taki wizerunek świętego przedstawia miniatura w Marbach-Missale z lat 1306/10 w bibliotece opactwa St. Florian

koło Enns. Święty Florian jako Żołnierz Chrystusowy bywa często przedstawiany z innymi świętymi, którzy niegdyś parali się rzemiosłem rycerskim i nie zawahali się oddać swego życia w Służbie Bożej. To święci: Jerzy, Sebastian, Maurycy i Eustachy. Umieszczani zwykle w parach jako tzw. Schreinwächter, czyli strażnicy skrzyń ołtarzowych strzegli Bożych Tajemnic, którym sami dochowali wierności.

Podczas obchodów jubileuszowych w 1984 r., związanych z rocznicą sprowadzenia relikwii świętego Floriana do Krakowa, ojciec święty Jan Paweł II wskazał na szerszą perspektywę, w jakiej należy postrzegać obecność świętego męczennika w Kościele Krakowskim i całej polskiej kulturze religijnej. Tę perspektywę kształtuje powszechność Kościoła, dzięki której doświadczenie świętości staje się doświadczeniem uniwersalnym. Pisał on wtedy, że *Kościół w Polsce zanim wydał własnego Świętego i Męczennika, Biskupa Krakowskiego Stanisława i uzyskał w nim swojego Patrona, opierał się niejako i rósł na dojrzałych owocach świętości Kościoła Powszechnego, na świętych, których wydały inne narody.*

Dzień, który miał nas odmienić

JAROSŁAW KAPSA

Trzydzieści lat temu, 14–15 sierpnia 1991 r., w Częstochowie miało miejsce spotkanie z Ojcem Świętym Janem Pawłem II VI Światowe Dni Młodzieży, na które przybyło ponad 1,6 mln pielgrzymów z ok. 70 krajów świata. Była to dla mojego miasta chwila historyczna; odrodzony rok wcześniej samorząd miejski musiał udźwignąć ciężar odpowiedzialności organizacyjnej. Z tym też wiązała się odpowiedzialność polityczna; spotkanie symbolizowało marzenie o zjednoczeniu całego kontynentu, Wschodu z Zachodem, Północy z Południem. Zapraszając 15 sierpnia 1990 r. do Częstochowy, Jan Paweł II głosił:

Dla wszystkich, młodzieży Wschodu i Zachodu, Północy i Południa, pielgrzymka do Częstochowy będzie świadectwem wiary dla całego świata. Będzie to pielgrzymka wolności poprzez granice państw, które otwierają się coraz bardziej na Chrystusa, Odkupiciela człowieka. A do was, młodzieży Europy Wschodniej, zwracam się ze słowami szczególnej zachęty. Nie może was zabraknąć na tym historycznym spotkaniu, które zarysowuje się już od tej chwili jako historyczne spotkanie między młodzieżą Kościołów Wschodu i Zachodu.

Pamięć jest ułomna. Trudno dziś – urodzonym w wolnej Rzeczypospolitej – wyobrazić sobie rzeczywistość okresu przejścia od real socjalizmu do realnej normalności. W 1989 r. zapoczątkowana przez „Solidarność” rewolucja przywróciła wolność w Europie Środkowej; istniał jeszcze ZSRR i niepewna była przyszłość niewolonych przez ten twór narodów. Polski real socjalizm upadł z powodów gospodarczych. Rząd Mazowieckiego musiał pełnić funkcję syndyka masy upadłościowej, próbującego ożywić przestarzały i zdekapitalizowany przemysł, zbudować normalny system finansowy, handel i usługi. Spadkiem po „księżycowej” gospodarce była hiperinflacja, tłumiona od stycznia 1990 r. rygorystycznym programem Balcerowicza. W maju 1990 r. odbyły się pierwsze wolne wybory samorządowe; nowe władze budowały fundament samorządności, borykając się z ogromnymi problemami wynikającymi z zaniedbań cywilizacyjnych rozwoju miast i wsi.

Wybory samorządowe w Częstochowie, tak jak w większości polskich miast, wygrał „solidarnościowy” Komitet Obywatelski. Prezydentem został działacz „Solidarności” z Politechniki Częstochowskiej, dr Tadeusz Wrona. Przed wyborami premier Mazowiecki zdecydował o personalnej zmianie na stanowisku Wojewody Częstochowskiego; w miejsce dawnego, pezetperowskiego urzędnika, nominował „solidarnościowca” z Huty „Częstochowa”, Jerzego Gułę. Małe województwa z jednym dużym miastem, są z natury konfliktogenne; także w Częstochowie ujawnił się spór ambicjonalny między prezydentem a wojewodą. Nie ułatwiała to przygotowań do światowego spotkania. Powstały początkowo, oprócz komitetu kościelnego kierowanego przez ks. Mariana Dudę, dwa świeckie komitety organizacyjne: komitet Wojewody Częstochowskiego, kierowany przez dyrektora Urzędu Wojewódzkiego Korneliusza Miklasa i komitet Prezydenta Miasta – kierowany przez wiceprezydenta Zbigniewa Chmielewskiego. 31 sierpnia 1990 r. zjednoczono prace powołanych przez Wojewodę dziewięciu przedstawicieli miasta do wspólnego Komitetu Organizacyjnego. Szefem Komitetu pozostał Korneliusz Miklas, zastępcami Z. Chmielewski i Jerzy Kocyga (dyrektor Wydziału Komunikacji UW), kierownikiem biura organizacyjnego Edward Bogatko. W skład Komitetu wszedł także z-ca Komendanta Wojewódzkiego Policji Mieczysław Kluk, kurator oświaty Włodzimierz Kolman, komendant Straży Pożarnej Stefan Gawroński, dyrektor Telekomunikacji Janusz Jasiona; za sferę kultury odpowiadał Marian Panek, za wyżywienie Zdzisław Suhański, za organizację opieki medycznej dr Ryszard Stawecki i dr Wojciech Zieliński, za finanse Grażyna Drewniak.

Podstawową sprawą było zapewnienie pomocy rządowej, co bynajmniej nie było oczywiste. Przytłoczony ciężarem naprawy gospodarki rząd Mazowieckiego zmuszony był ograniczać wszelkie, oprócz niezbędnych, wydatki. Sugerowano więc, że Jasna Góra, z pomocą Kurii Biskupiej i miasta, da sobie radę sama; przecież już w 1979, 1983 i w 1987

dano radę samodzielnie przygotować spotkania wiernych z Papieżem. Skala wyzwania była jednak nieporównywalna. Owszem w latach 80., mimo ograniczeń ze strony komunistycznej władzy, na Jasną Górę przybywało 4–4,5 mln pielgrzymów rocznie. Jednak największe zgromadzenia, w tym spotkania z Janem Pawłem II, gromadziły ok. 500 tys. wiernych, w zdecydowanej większości z Polski. Nikt nie miał doświadczenia, ani odpowiednich środków na organizację pobytu ponad miliona wiernych z różnych państw świata.

Argumenty częstochowskiego Komitetu przekonały premiera. Najważniejsza była decyzja Ministra Finansów, wicepremiera Leszka Balcerowicza, by z rezerw budżetowych dotować organizację kwotą 43 mld zł (po denominacji 4,3 mln zł; średnia płaca po denominacji wynosiła 200 zł). Deklaracja pomocy została podtrzymana przez nowy rząd Bieleckiego. Wsparcie materialne i organizacyjne udzieliło także wojsko, policja i inne instytucje państwowe. Dotacje rządowe przeznaczono m.in. na: przebudowę zachodniej obwodnicy Jasnej Góry, budowę parkingów, podniesienie wydajności z ujęć wód pitnych; przygotowanie pól namiotowych, zaplecza sanitarnego, toalet publicznych, remonty dróg, wypożyczenie sprzętu komunalnego, rekultywację terenów zielonych. MSW zapewniło ochronę bezpieczeństwa, wojsko wypożyczyło i ustawiło miasteczka namiotowe, Telekomunikacja Polska zakupiła i uruchomiła nowoczesną, cyfrową centralę telefoniczną Alcatel.

Główny ciężar organizacyjny spadł na władze lokalne. Gospodarka rynkowa była jeszcze w stadium tworzenia. W 1989 r. wciąż panowała „gospodarka niedoborów”, z systemem kartkowym i tasiemcowymi kolejkami. Propaganda w PRL niejednokrotnie podjudzała mieszkańców Częstochowy, że puste sklepy są efektem wykupywania towarów przez pielgrzymów. W sierpniu 1991 r. przyszło zorganizować zaopatrzenie i wyżywienie masie ludzkiej, sześciokrotnie przewyższającej liczbę mieszkańców. Równie istotne było zapewnienie higienicznych warunków po-

bytu. W PRL władza świadomie ograniczała bazę pobytową dla przybywających pielgrzymów. Jeszcze w latach 70. grzywnami karano mieszkańców udzielających im noclegu. W czasach Jaruzelskiego ta polityka się zmieniła. Próbowano rozbudowywać państwową bazę turystyczną; z braku środków nie zapewniała ona zaspokojenia potrzeb ruchu pielgrzymkowego. Przygotowując VI ŚDM, należało rozwiązać podstawowe problemy logistyczne: dla 1,5 mln ludzi dostarczyć po 100 l wody *per capita* dziennie, odprowadzić odpowiadającą temu wielkość ścieków, wywieźć i składować „wyprodukowane” przez przybyłych śmieci itd.

Dodajmy do tego kwestie bezpieczeństwa. Możemy już tego nie pamiętać, ale czasy były pełne niepewności. W sierpniu 1990 r. szaleniiec-piroman wywołał pożar na Jasnej Górze zagrażający Kaplicy Cudownego Obrazu; dwa tygodnie wcześniej ktoś podpalił na Podlasiu prawosławną Grabarkę; ten zbieg okoliczności rodził obawy przed antyreligijnymi prowokacjami. Rząd Mazowieckiego aktywnie współdziałał w operacji przetrzutu rosyjskich Żydów do Izraela, obawiano się odwetu arabskich terrorystów. Polska była w 1991 r. stroną w konflikcie z Irakiem, to też mogło zmienić się w wewnętrzne zagrożenia. Wielka niepewność towarzyszyła otwarciu granic dla mieszkańców krajów ZSRR. Do końca lat 80. izolowano tę ludność, a pra-

wo wyjazdu do Polski ściśle reglamentowano. W 1991 r., ku zaskoczeniu ogółu, Michaił Gorbaczow podjął decyzję otwarcia granic: każdy, kto chciał jechać na spotkanie z Papieżem, mógł to zrobić. W przyspieszonym trybie wydawano paszporty, zniesiono ograniczenia wyjazdowe i wjazdowe. Nie było możliwości skontrolowania, czy w masie 200 tys. pielgrzymów z ZSRR nie znajdują się szaleńcy lub terrorystyczni prowokatorzy. Myśli o Częstochowie pewnie powodowały bezsenne noce u szefa UOP Milczanowskiego.

Wyzwanie organizacyjne było ogromne, Komitet odwołał się do obywatelskiej ofiarności. Skierowano apel o wsparcie do 700 największych przedsiębiorstw regionalnych, wystąpiono do organizacji społecznych, po parafiach organizowano noclegi na zasadzie „rodzina pomaga rodzinie”. Żołnierze ze Śląskiego Okręgu Wojskowego wypożyczyli sprzęt i przygotowali miasteczko namiotowe dla 50 tys. pielgrzymów. Podobne miasteczka zorganizowali harcerze; w Częstochowie, w podmiejskim Olsztynie i Pająku powstały miasteczka umożliwiające noclegi 60 tys. ludzi. Pod Jasną Górą, na obszarze parku rekreacyjnego „Bałtyk-Adriatyk”, miasteczko namiotowe dla 5 tys. osób urządziła komenda Ochotniczych Hufców Pracy. Dla utworzenia tych miasteczek przeznaczono blisko 1000 ha w 40 punktach miasta. Każde z nich miało pełne uzbrojenie,

zabezpieczenie energetyczne, sanitariały, punkty zaopatrujące w wodę; otwarte na ich obszarze były punkty żywieniowe, sklepiki. Nad bezpieczeństwem czuwały specjalne, ochotnicze straże porządkowe. W miasteczku prowadzonym przez OHP, w pobliżu Jasnej Góry, przewidziano możliwości obsługi osób niepełnosprawnych. W sumie miasteczka tworzyły największe w Europie obozowisko pod namiotami, z noclegów tych skorzystało $\frac{3}{4}$ uczestników Dni.

Oprócz budowy baz namiotowych drugim istotnym sposobem zapewnienia noclegu pielgrzymom było zaadaptowanie sal szkolnych. W częstochowskich placówkach oświatowych przygotowano 78 tys. miejsc noclegowych (w razie konieczności szkoły gotowe były przyjąć do 100 tys. osób), w szkołach gmin bezpośrednio sąsiadujących z miastem oczekiwało 20 tys. miejsc, a w innych gminach województwa dodatkowo 15 tys. Pod potrzeby noclegowe przeznaczono także akademiki szkół wyższych, pomieszczenia w 22 zakładach pracy oraz w 95 remizach OSP. Z noclegów w szkołach skorzystało ok. 70 tys. osób, blisko 50 tys. przyjęły OSP w swoich remizach i zorganizowanych przy nich polach namiotowych. Opłata za miejsce noclegowe w szkole za łóżko z pościelą wynosiła 3 dolary, za wyżywienie (3 posiłki dziennie) – 10 dolarów. W podobnej wysokości naliczono opłaty od korzystających z pól namio-

Jasna Góra w nocy. Fot. arch.



towych, zwalniając lub stosując duże ulgi wobec pielgrzymów przybywających ze wschodu.

W ramach przygotowań poprawiono także estetykę i funkcjonalność miasta. Wyremontowany został dworzec kolejowy Stradom, nowa nawierzchnia zmieniła podjasnogórską ulicę Wierlińską w deptak. Zakład Energetyczny zainstalował nowe, stylowe oświetlenie Alei Najświętszej Maryi Panny, naprawiono także nawierzchnie głównej ulicy. Pod potrzeby przybywających pielgrzymów Centrum Informacji Turystycznej przygotowało w różnych wersjach językowych foldery, plany miasta i mapy Jury Krakowsko-Częstochowskiej oraz inne wydawnictwa. Przed dworcami PKP i PKS umieszczono tablice informacyjne. W Klubie „Politechnik” przy al. Armii Krajowej zorganizowano, pod nadzorem Polskiej Agencji Informacyjnej, Biuro Prasowe; akredytowanych dziennikarzy zakwaterowano w sąsiadującym z klubem akademiku. Zaproszenie Ojca Świętego kierowane było do młodzieży całego świata. Zamknięcie Polski w czasach PRL skutkowało niską znajomością języków obcych (oprócz rosyjskiego). Chcąc przezwyciężyć bariery językowe, konieczne było odwołanie się do ochotników z różnych polskich miast. Wyznaczonych zostało 14 kościołów wyspecjalizowane w obsłudze różnych grup językowych (kościół dla Francuzów, dla Węgrów, dla Hiszpanów itd.). Z tymi kościołami powiązано zakwaterowanie pielgrzymów. Przykładowo: młodzież z Francji kierowano na pola namiotowe w pobliżu kościoła św. Wojciecha Północ, Włochów w okolicy Katedry, Czechów w okolicy ul. Okólnej. W każdym z tak wyznaczonych rejonów dyżurowali tłumacze.

Wszyscy przybyli pielgrzymi otrzymali identyfikatory z zaznaczonym rejonem zakwaterowania. Miasto podzielono na cztery „kolorowe” strefy (np. strefa czerwona – Dźbów, zielona – Mirów i Świerczaki, niebieska – Promenada), na podstawie których określano kwatery grup z różnych krajów, a także wskazywano sektory na placu podjasnogórskim w czasie uroczystości. W ten podział sektorowy wpisano także ofertę kulturalną dla uczestników grup. Głównym wydarzeniem był przeprowadzony na stadionie „Włókniarza” – Festiwal Pieśni Religijnej. Oprócz tego w strefie „czerwonej” centrum kulturalne zagospodarował teatr z Nancy, w strefie niebieskiej również francuski teatr Jonatan, w strefie zielonej, na stadionie „Budowlanych” program kulturalny organizował pochodzący z Trydentu Ruch Focolarari. W każdej z wyznaczonych kolorami stref zakwaterowania powstał czynny całą dobę specjalny punkt medyczny, prowadzony przez Zakon Kawalerów Maltańskich. Oprócz tego dyżurowa-

ły miejscowe szpitale i ośrodki zdrowia. Ulice patrolowało 96 ruchomych zespołów pomocy medycznej. Lokalna baza pogotowienia ratunkowego została uzupełniona 9 karetkami Związku Kawalerów Maltańskich i 5 oddelegowanymi przez wojewodę przemyskiego. Ogółem podczas Dni hospitalizowano 151 pielgrzymów (50 z zagranicy), w przychodniach i stałych punktach udzielono 14 990 porad, ruchome patrole pomogły w 5 715 przypadkach. Nie zanotowano na szczęście zbiorowych wypadków czy zatruc.

Pierwsze grupy pielgrzymkowe przybywały już 5 sierpnia. W dniach 14 i 15 sierpnia, według danych policji, każdego dnia zgromadziło się nie mniej niż 1,3 mln osób; według innych szacunków liczba uczestników uroczystości przekraczała 1,6 mln. Tłum szczelnie wypełniał błonia Jasnogórskie, Parki, Aleję Najświętszej Maryi Panny, a nawet część ulicy Mirowskiej i ul. św. Barbary. Cały ten obszar wyposażony był w ujęcia wody pitnej, sanitariaty, punkty gastronomiczne, ruchome punkty pomocy medycznej. Przyjemnym zaskoczeniem dla organizatorów była wzorowa postawa przybyłej młodzieży. Nigdzie nie odnotowano zniszczeń, nocujący opuszczali szkoły i miasteczka namiotowe, dbając o pozostawienie po sobie porządku i czystości. Zaskakiwała okazująca sobie wzajemnie życzliwość, serdeczność, radość i odpowiedzialność. O atmosferze Dni świadczyło też sprawozdanie komendanta Policji: w mieście było wyjątkowo bezpiecznie. Z zestawienia wynika, że w okresie od 12 do 16 sierpnia w całym województwie częstochowskim zaisnialo tylko 21 kradzieży z włamaniem, z tego 4 do samochodów przybyłych do Częstochowy, odnotowano też 76 kradzieży. Przy porównaniu wskaźników przestępczości z I półroczem b.r. należy uznać, że wskaźnik przestępczości w tym okresie był niespotykalnie niski. Rzecznicę prasową Urzędu Miasta, Teresa Kaczor, tak zapamiętała wydarzenie: *Podczas trwającej dzień i noc modlitwy wyrażającej się w śpiewie, tańcu, spontanicznych scenkach pantomimicznych, bardzo szybko przełamane zostały bariery językowe i wiekowe. Atmosfera radości życia udzielała się błyskawicznie mieszkańcom Częstochowy.*

Papież przybył 14 sierpnia. Witając młodzież, pozdrawiał ją, wypowiadając słowa w kilkunastu językach. Tłum odwzajemniał się oklaskami i chóralnym śpiewem przeboju Światowych Dni: „Abba, Ojciec...”. Wieczorem Jan Paweł II, zgodnie z przyjętą w czasie I pielgrzymki tradycją, odprawił Apel Jasnogórski. Powtórzył na nim słowa, wypowiedziane w noc stanu wojennego, w 1983 r., nawiązujące do napisanego w 1953 r. przez o. Jerzego Tomzińskiego apelu „Jestem – pamiętam – czu-

wam”: *Co to znaczy: czuwać? To znaczy, że staram się być człowiekiem sumienia. Że tego sumienia nie zagłuszam i nie zniekształcam. Nazywam po imieniu dobro i zło, a nie zamazuję. Wypracowuję w sobie dobro, a ze zła staram się poprawiać, przezwyciężać je w sobie. To taka bardzo podstawowa sprawa, której nigdy nie można pomniejszać, zepchnąć na dalszy plan. Nie. Nie! Ona jest wszędzie i zawsze pierwszoplanowa. Jest zaś tym ważniejsza, im więcej okoliczności zdaje się sprzyjać temu, abyśmy tolerowali zło, abyśmy łatwo się z niego rozgrzeszali. Zwłaszcza, jeżeli tak postępują inni. Czuwam – to znaczy dalej: dostrzegam drugiego. Czuwam – to znaczy: miłość bliźniego – to znaczy: podstawowa międzyludzka solidarność.*

Główne przesłanie wygłoszone zostało w południe 15 sierpnia ze szczytu Jasnogórskiego:

Ten szósty z kolei Światowy Dzień Młodzieży posiada swoje szczególne znamię, które odróżnia go od poprzednich: po raz pierwszy uczestniczą w nim licznie młodzi ludzie z Europy Wschodniej.

Po długim okresie, w którym granice pozostawały właściwie zamknięte, Kościół w Europie może w końcu oddychać swobodnie obydwojma swoimi płucami. Wasza obecność, drodzy młodzi przyjaciele z Europy Wschodniej, jest dziś niezmiernie ważna. Kościół powszechny potrzebuje waszego świadectwa chrześcijańskiego jako cennego skarbu: świadectwa, za które trzeba było często płacić wielką cenę cierpienia w wyobcowaniu, przesładowaniach, w więzieniu, wielką cenę. Tu, w jasnogórskim sanktuarium, możecie teraz dać światu publiczne świadectwo waszej przynależności do Chrystusa i waszej jedności z Kościołem. Składacie je wobec waszych rówieśników, którzy pochodzą ze wszystkich części globu, a w szczególności z krajów Europy Zachodniej. Na ciebie, droga młodzieży europejskiego Wschodu i Zachodu, stawia stary kontynent w budowaniu owego „wspólnego domu”, od którego oczekujemy przyszłości zbudowanej na solidarności i pokoju. Dla dobra przyszłych pokoleń konieczne jest, by nowa Europa oparła się na fundamencie tych wartości duchowych, które stanowią sam wewnętrzny rdzeń jej tradycji kulturalnej. Drodzy przyjaciele, wiecie z doświadczenia, że upadek ideologii w krajach Europy Środkowej i Wschodniej pozostawił w wielu waszych kolegach i koleżankach uczucie głębokiej pustki, wrzenie, że zostali oszukani, a także zniechęcenie i lęk przed przyszłością. Również w krajach Europy Zachodniej wielu młodych ludzi zatraciło motywy, dla których warto żyć. Objawem tego głębokiego zagubienia jest zjawisko uciekania się do narkotyków. Brak zainteresowania polityką zdradza u wielu poczucie bezsilności w walce o dobro. Do tych braci

i siostr jesteście posłani wy, jako zwiastunowie Dobrej Nowiny o zbawieniu. Tych wszystkich, którzy są zawiedzeni ziemskimi zadaniami cywilizacji, zapraszacie do współpracy w budowie „cywilizacji miłości”. Wielkim programem tej cywilizacji jest nauka społeczna Kościoła, którą przypominałem i potwierdziłem niedawno w encyklice Centesimus annus. Pracować wielkodusznie nad budową społeczeństwa odznaczającego się stałym poszukiwaniem sprawiedliwości, zgody, solidarności i pokoju, oto ideał, który odślania każdemu bogactwa daru z samego siebie oraz służby. Ideał, jaki każdy w sobie nosi. We współpracy nad budowaniem braterstwa między ludźmi pośród narodów, w wielkodusznym niesieniu pomocy najuboższemu, człowiek może odkryć piękno życia. Waszym posłannictwem jest zabezpieczenie w jutrzejszym świecie obecności takich wartości, jak pełna wolność religijna, poszanowanie osobowego wymiaru rozwoju, ochrona prawa człowieka do życia poczynając od momentu poczęcia aż do naturalnej śmierci, troska o rozwój i umocnienie rodziny, do wartościowanie kulturowych odrębności dla wzajemnego ubogacania się wszystkich ludzi, ochrona równowagi naturalnego środowiska, które coraz bardziej bywa zagrożone.

Słowa homilii zyskały nowy sens kilka dni później, zanim jeszcze wszyscy uczestnicy VI ŚDM dotarli do domu. W nocy z 18/19 sierpnia, tuż po zakończeniu Dni, doszło w ZSRR do puczu Janajewa; internowany został Gorbaczow, zagrażał powrót totalitaryzmu. Niewiadomym było, czy nie powtórzy się tam „polska historia”, czy po gorbačovskiej odwilży nie przyjdzie noc janajewskiego stanu wojennego. Mieszkańcy Częstochowy spontanicznie deklarowali gotowość przyjęcia ewentualnych uchodźców z ZSRR; pobyt 200 tys. pielgrzymów z krajów „radzieckich” otworzył serca, zbudował solidarność. Nie spełnił się, na szczęście, czarny scenariusz. Rosjanie przegnali organizatorów puczu, rozpadło się więzienie narodów – ZSRR; suwerenność odzyskały kraje bałtyckie, Ukraina, Białoruś, państwa kaukaskie, republiki azjatyckie; Rosja zyskała szansę stać się normalną, demokratyczną republiką.

Dalsze zmiany polityczne, tak w Polsce, jak i w świecie, nie spełniły nadziei obudzonych na VI ŚDM. Nie powstała więź pokolenia uczestników spotkania częstochowskiego, słowa Papieża nie przeniosły się na tworzenie międzynarodowego ruchu na rzecz budowy zjednoczonej, chrześcijańskiej Europy. Ważne dla Polski i państw Europy Środowej było związanie z Zachodem, wejście do Unii Europejskiej i NATO. Niestety ten poszerzony Zachód Europy, wbrew marzeniom Jana Paw-



Pomnik Jana Pawła II na Jasnej Górze

ła II, oddzielony jest nowym murem od Wschodu. I, być może, brak jest dziś marzeń, by ten nowy mur obalić.

Dla młodego pokolenia częstochowian sprawy sprzed trzydziestu lat to prehistoria. Niedawno „Gazeta Wyborcza” zrobiła swoisty plebiscyt na wybór tego, z czego mieszkańcy są dumni. Głosujący częstochowianie wybrali modernizację Alei Najświętszej Maryi Panny (2006–2012), na drugim miejscu: budowę linii tramwajowej na Błesznie (2009–2011), na trzecim organizację VI ŚDM w 1991 r. Nie powinno to dziwić, w innych miastach wygrały tylko wydarzenia i inwestycje przeprowadzone w ostatnim dziesięcioleciu. O starszych się zapomniało. Trudno też młodzieży, zwłaszcza tej ogarniętej buntem pod znakiem „od-jana-pawlenia”, przetłumaczyć naszą dumę, dumę wierzących i niewierzących częstochowian, gdy Papież dziękował za ofiarowany mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta: *Pragnę bardzo podziękować Prezydentowi Miasta i Radzie za to wyróżnienie, które mnie spotyka. Zdaję sobie sprawę z tego,*

że Częstochowa w życiu naszego narodu, w życiu Kościoła, w życiu Europy, nawet całej ludzkości znaczy wiele, jest to imię szczególne. Życzę waszemu miastu, a mogę powiedzieć w tym wypadku „naszemu miastu”, w sposób szczególny życzyć wielorakiego rozwoju, podejmowania różnych zadań, takich jak to wielkie zadanie, któreście teraz przyjęli i z taką radością wypełnili, przyjmując tutaj młodzież z Polski całej i z tylu krajów europejskich, i spoza Europy. Życzę rozwoju, także rozwoju w znaczeniu kulturalno-społecznym i ekonomicznym, egzystencji tego, co składa się na ludzką egzystencję. Nade wszystko rozwoju w znaczeniu charyzmatycznym, ponieważ Częstochowa przez Jasną Górę ma w sobie pewien charyzmat. W tym znaczeniu charyzmatycznym niech się także rozwija wasze miasto. Niech coraz lepiej służy Bożym zamiarom w stosunku do naszego narodu i w stosunku do innych ludów i narodów, ponieważ jasnogórskie sanktuarium jest na pewno sanktuarium o wielkim zasięgu ponadnarodowym, nie tylko narodowym. Szczęść Boże!

W miejscowej popołudniówce ukazała się kolumna poetycka członków klubu. Fakt zbiorowej prezentacji nie mógł ująć uwadze środowiska. Jasiu Pleśniak natychmiast zorganizował spotkanie terenowe w jednym z bytomskim domów kultury, przy którym wkrótce założył grupę literacką. Publiczność przyjęła nas z entuzjazmem. Druk w prasie wojewódzkiej był wydarzeniem, którego nie mogły zignorować także tutejsze władze. Na wieczorze zjawił się miejscowy aktyw, co więcej, swoją obecnością, wprawdzie krótkotrwałą, zaszczycił nas dyrektor wiodącego zakładu dzielnicy zapewniając, że jego dom kultury otwiera dla młodej literatury szeroko swoje podwoje. Jasiowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Skoro otwiera, to należy wejść i rozgościć się na dobre. Po zakończonym spotkaniu w rzeczowej rozmowie z kierowniczką ustalili wstępny harmonogram imprez, które nazwał wieczorami żywego słowa, zabezpieczył niezbędne formy organizacyjne (dostępność lokalu, fundusz honoracyjny dla podejmowanych pisarzy, informacja w lokalnych mediach) i do montowania grupy literackiej z marszu przystąpił. Właśnie siedzimy w moim mieszkaniu w późne, sobotnie popołudnie w składzie wyselekcjonowanym mądrzej: ja, jako gospodarz, Jasiu Pleśniak, Tadzio Szat, Poldek Pazura i Piotr Milczak, hutnik z oryginalną wyobraźnią liryczną.

Wszystko wyglądało niezwykle obiecująco, lecz nastrój pogodny już na samym wstępie Piotr nieopatrznie zmacił.

– Nie rozumiem jednego – rzekł zafrasowany. – Chcesz, Jasiu, zakładać grupę, a my przecież już członkami jednej jesteśmy.

Powiódł po nas wzrokiem osoby trzeźwo myślącej i dodał.

– Także ty, Tadzio, i ty, Poldek, i ty, drogi Krzysztofie też. To jakże to grupę mamy zakładać konkurencyjną, gdy ludzie w województwie obdarzyli nas zaufaniem, a jednemu z nas nawet kierowniczą funkcję w centrali powierzyli?

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Wódka marniała w kieliszkach, gołąbki smaczne stygły na talerzach, a w sercach naszych zbierał niepokój. I wtedy, gdy już sromota miała nas dopaść ostateczna głos zabrał nieoceny Poldek, który popatrzył na Piotra wąpiącego z dobrodusznym zdziwieniem.

– Ty, Milczak, jesteś dobry jako kierowca wózka akumulatorowego, potrafisz też zgrabną metaforą zaskoczyć, ale przywództwo grupy zostaw innym.

Popatrzyliśmy na mówiącego z nadzieją. Poldek swój wywód kontynuował z wiarą emanującą z każdego słowa.

– Nie widzę tutaj żadnego problemu. Nie tworzymy grupy w celach wobec centrali konkurencyjnych, lecz wprost przeciwnie. – Popatrzył na nas wzrokiem promiennym. – Rozszerzamy jej obszar wpływów. Wychodzimy z jej ideą w głęboki teren, czyli budujemy niezbędne zaplecze, które nowych, aktywnych członków ruchu nam przysporzy. I tak na to wszystko musimy patrzeć, a teraz proponuję opróżnić szkło, bo wódeczka paruje.

Posłuchaliśmy go posłusznie. Szat, włożywszy w usta obfity kęs gołąbka, kiwnął aprobująco głową.

– Poldek ma absolutną rację – rzekł z przekonaniem. – Miją naszą jest rozruszać teren, wydobyć z niego ukryty potencjał. A jak to uczynić można? – zapytał retorycznie. – Tylko w ten sposób właśnie, z inicjatywą mądrą weń wkraczając, a taką grupa literacka jest bez dwóch zdań.

Piotr wycofał się pośpiesznie z wąpiącego stanowiska i ochoczo do grupy inicjatywnej przystąpił.

– Jak tak, to tak – skonkludował i łakomym wzrokiem na butelkę spojrział. – Uzupełniłem szkło taktownie.

Atmosfera zebrania uległa ewidentnej poprawie.

– Tak, koledzy wieszcie, działać trzeba i należy – kontynu-

ował swój wywód Poldek. – Wszak przed nami była tu, wstyd przyznać, kulturalna pustynia. Żadnych spotkań, druków żadnych, dyskusji inspirujących. Proponuję zatem toast serdeczny za pionierów, którzy z „kagańcem oświaty” i tak dalej. Najlepszego!

Program stawał się z każdą chwilą coraz bardziej konkretny i ambitny.

– Ruch w ten sposób umacniać będziemy – podjął wątek Szat. – Do stolicy pomkną sprawozdania treściwe, które zadowolą województwo i centralę równocześnie. A jak już wrośniemy w pejzaż tutejszy na serio, głęboko, niepowierzchniowo, to nas nikt z niego nie wyrwie.

Poldek spojrział na mnie porozumiewawczo. Obaj wiedzieliśmy o jakim wrastaniu myśli Tadzio przede wszystkim. Siedząc kiedyś w klubie prasy gawędziliśmy luźno nadzwyczaj o sprawach środowiska. Bez większego zainteresowania zapytałem go w pewnej chwili o największą pasję naszego druha serdecznego, który umówił się był z nami i jak zwykle spóźnił się niemilościwie. Szat, rzekł Poldek, ma dwie absorbujące go bez reszty namiętności: spryt życiowy wiodący do wymiernych wartości tego najlepszego ze światów i jego esencję, urok i treść najgłębszą, czyli panie, jako takie. Jak to – spytałem – panie tak w ogóle, bez wyjątku? A żebyś wiedział, że bez, najmniejszego nawet, potwierdził Poldek, choć z wyraźną preferencją świeżutkiej młodości. I opowieścią barwną nad wyraz mnie uraczył. Odwiedził był kiedyś Tadzio jeden z licznych na Śląsku domów kultury w ramach spotkań z literaturą najmłodszą. Miejsce owej duchowej biesiady centrala związkowa hutnictwa podała, Szat więc wsiadł w taksówkę i z fasonem o umówionej godzinie pod właściwy adres zajechał. W reprezentacyjnej sali kulturalnego przybytku panowała już atmosfera obiecującego podniecenia, które osiągnęło apogeum, gdy młody pisarz w drzwiach wejściowych się pojawił. Wiesz o tym lotem błyskawicy dotarła do niepokojącej się wielce kierowniczką, która wybiegła na spotkanie z oczekiwanym gościem. Tadzio z aprobatą powitał jej niewinną buzię, smukłą kibić, zabójczo zgrabne nogi i na miejsce mu wskazane posłusznie się udał. Gdy pani Zosienka przedstawiła go w kilku treściwych i nadzwyczaj kompetentnych słowach licznie zgromadzonej publiczności, Tadzio zabłysnął swym talentem krasomówczym, którym zdobył serce nie tylko miłośników swojej lirycznej twórczości, lecz przede wszystkim pani Zosienki, która w niemym zachwycie chłonęła każde jego słowo. Tadzio o ważkiej funkcji poezji, najbardziej intymnej formie kontaktu z drugim człowiekiem, mówił z niezwykłą sugestią, elokwentnie i dowcipnie, celne maksymy wieszczów przytaczał, poetów rodzimych i obcych cytował z pamięci, na koniec garść swoich wierszy pełnych urokliwych metafor przeczytał i w sposób jak najbardziej naturalny o pytania z sali poprosił. I, o dziwo, padło tych pytań wiele. Zadawała je przede wszystkim młodzież płci pięknej miejscowych szkół średnich, która wzrok pałający w przystojnego pisarza utkwiała, czym zaufanie bezgraniczne do jego lirycznych zwierzeń wyrażała. Gdy udane spotkanie dobiegło końca, pani Zosienka emanującego dyskretnym zadowoleniem Tadzio do swego gabinetu zaprosiła, by go tradycyjną kawą ugościć i obowiązkiem formalno-finansowym uczynić zadość. A gdy on ową kawą pachnącą się delektował, pani Zosienka gabinet na chwilę opuściła i stwierdziwszy, że sala opustoszała kompletnie, klucz w zamku przekręciła, by żaden nieproszony gość w dyskursie miłym im nie przeszkodził. Tadzio dostrzegł jej manewr kątem bystrego oka, gdy więc swą intrygującą młodzieńczością wypełniła gabinet, sięgnął ruchem zdecydowanym, acz

nie pozbawionym wyszukanej elegancji, do raportówki, z której wyjął był niewielką butelkę przedniego koniaku. I zapytał, czy pani Zosienka nie czuje się zgorzozna, gdy po tak pięknym wieczorze proponuje skromną lampkę tego szlachetnego napitku. Pani Zosienka spłoniła się nieco, lecz raczej aprobatywnie, co Tadzio przyjął słusznie za dobrą monetę. A ponieważ na wyposażeniu gabinetu lampki stosownych nie było, wyraził bez wahania zgodę na dwie prozaiczne szklaneczki z uszkiem. Pani Zosienka piła drobnymi łyżkami, lecz zadziwiająco konsekwentnie, by po chwili nie bronić się przed uzupełnieniem widocznego w naczyniu ubytku. Wówczas to Tadzio spojrzał głęboko w rzadko spotykaną zieloność jej oczu i zasugerował, by intensywny strumień światła wypełniający przytulne pomieszczenie wyłączyć, przestając na subtelnym promieniu ulicznej latarni dyskretnie zagląającej przez okno. Również i ta propozycja przyjęta została bez najmniejszego sprzeciwu. A gdy upojny półmrok ogarnął gabinet Tadzio do akcji przystąpił sprawnie, by po krótkiej chwili, wypełnionej przyspieszonym oddechem Zosienki złożonej na dywaniku puszystym, wyłuskać jej dwa półkuliste skarby, które obsypał namiętymi pocałunkami, a następnie dotrzeć bez przeszkód do wypełnionego intensywną wilgocią źródła, które przyjęło go gwałtownie, wręcz drapieźnie, i trzymało do końca aż obojętnie wstrząsnął spazm krańcowej rozkoszy. A potem, po ponownym zanurzeniu spragnionych warg w napitku szlachetnym, źródło pochłonęło go bez reszty na, jak to określił barwnie, długie lata świetlne, co, mimo niebanalnego doświadczenia, zaskoczyło go niebawem.

No, ale zostawmy tę dygresję i wróćmy do trwającego wciąż dyskursu.

– Jest jeszcze Związek – zauważył przytomnie Piotr, ale Poldek wszedł mu zdecydowanie w słowo.

– Związek to oczywiście Związek, ale i on z czasem liczyć się z nami musi. Jak to słusznie zwykł mawiać Stefan Wiktor: młodzi idą, jedni z pałą, drudzy z dzidą! A to znaczy mniej więcej: w sztuce musi być ruch, wymiana idei i, co równie ważne, generacji.

Tymczasem zbliżała się okrągła rocznica powstania PRL. W całym kraju sporządzano bilanse kulturalnych osiągnięć, prezentowane w stolicy w ramach „Panoramy Trzydziestolecia”. Młodzi literaci odbywali sporo spotkań autorskich, liderzy pilotowali niektóre imprezy regionu w Warszawie, klub natomiast z dużym wyprzedzeniem ogłosił ogólnopolski konkurs literacki oraz także samo sympozjum, w którym udział zapowiedziało blisko setka znanych autorów młodego pokolenia z całej Polski. Na Śląsku się zakotłowało. „Przegląd” zamieścił najpierw obszerny szkic o sytuacji w środowisku młodoliterackim, nieco później kilkukolumnową prezentację młodych i najmłodszych, w tym paru ciekawie zapowiadających się debiutantów. Roczne podsumowania dorobku śląskiego środowiska pisarskiego sygnalizowały narastający napór autorów nowej generacji, których nazwiska coraz częściej pojawiały się na łamach ogólnopolskich pism literackich. Zwracała uwagę zwiększająca się aktywność członków „Wygłosu”, których eseje wchodziły w spór z czołowymi poetami „Nowej Fali”. Poldek powtarzał przy każdej okazji powiedzonko Wiktora o tym, że młodzi idą i że wreszcie drgnęło śląskie bajorko literackie. Czas najwyższy, twierdził, bo inaczej już na amen kojarzyliby nas z *Łyskiem z pokładu Idy*. Młodzi szli rzeczywiście, a członkowie „Wygłosu” liczyli się coraz bardziej na krajowej scenie literackiej. Teoria była nowoczesna, sugestywna i przekonująca, choć wiersze oryginalne jakby wciąż nieśmiało i słabowite. Z tego nic nie będzie, wieszczył Poldek. Nadmuchany balonik w końcu pęknie i okaże się, że w środku pucha. Było to niesprawiedliwe, trafiały się bowiem wśród członków grupy wiersze interesujące, głównie u ujmującego skromnością Kurtki, którego lapidarne i często przewrotne teksty niosły treść ważką. Ale Pol-

dek nie znosił pozy, a Wiktor pozwolił sobie kiedyś w jego obecności na żart kiepski, drwiąc z nazwisk dwóch młodych. Jednego z nich dotknęło to tak bardzo, że przybrał poważnie brzmiący pseudonim, by podobnych afrontów unikać. A Poldek miał pamięć dobrą i języczek uszczypliwy nadzwyczaj. Gdy więc pewnego razu Wiktor znowu mało subtelnie zażartował, Poldek uderzył na odlew nazywając go artystą dwojga imion, który na nazwisko zapracować musi. Nowator obraził się śmiertelnie i od tego momentu traktował Poldka jak powietrze.



rys. Bogna Skowron

Zainteresowanie ogólnopolskim sympozjum, podczas którego miało nastąpić rozstrzygnięcie konkursu literackiego było w środowisku olbrzymie. Codziennie otrzymywałem telefony z całego kraju z pytaniami o szczegóły programu, warunki zakwaterowania i sugestiami, kogo jeszcze koniecznie powinniśmy zaprosić, by impreza nabrała stosownej rangi. Gdy więc z samego rana rozległ się dźwięk telefonu, nie miałem najmniejszej wątpliwości, że w słuchawce usłyszę po raz kolejny zaaferowany głos spragnionego sukcesów adepta literatury.

– Magister Zwoliński?

– Słucham.

– Jestem pańskim sąsiadem. Moglibyśmy się spotkać na chwilę?

– Z kim mam przyjemność?

– Proszę wpaść do kawiarenki w budynku Centrali Zaopatrzenia Hutnictwa to wszystko sobie wyjaśnimy.

Głos nieznanego nie dopuszczał sprzeciwu z mojej strony. Kto to być może, pomyślałem, jaki sąsiad?

W kawiarni nie było nikogo. Wybrałem stolik w rogu przy oknie, poprosiłem o kawę i spojrzałem w kierunku wejścia, w którym pojawił się wysoki młody człowiek o krótko przystrzyżonych, jasnych włosach. Ujrawszy mnie, zbliżył się do stolika szybkim krokiem.

– Witam kolegę rzeczownika.

– Dzień dobry. To pan do mnie dzwonił?

– Proszę wybaczyć, że ośmieliłem się pana niepokoić, ale jest taka potrzeba chwili.

– Przecież my się nie znamy.

– Ścisłej byłoby stwierdzić, że pan mnie zna, natomiast pana osoba nie jest nam obca.

– Nam?

– Tak, bo tu nie o personalne relacje chodzi, tylko o pewną instytucję...

– Musi pan przyznać, że brzmi to dość enigmatycznie.

– I tak być musi, bo naszą pierwszą, podstawową zasadą jest dyskrecja. Mały koniak?

– Raczej nie, jestem w pracy, a poza tym prowadzę samochód.

– No, właśnie. To nam się u was podoba: rzetelność i odpowiedzialność.

– Może jednak przejdziemy do rzeczy, chciał pan porozmawiać.

– Wasz klub organizuje ogólnopolską imprezę literacką.

– Jest ku temu, jak pan wie, istotny powód.

– Oczywiście, oczywiście. I jak się toczą prace organizacyjne?

– Bez zakłóceń.

– Weźmie w imprezie około stu osób, pisarzy konkretnie, ludzi nietuzinkowych, z fantazją. W takich wypadkach trzeba zwracać uwagę na każdy, najbardziej zdawałoby się nawet niewinny drobiazg.

– Mamy w tym pewne doświadczenie.

– Czy moglibyście udostępnić nam listę uczestników?

– Nie widzę żadnych problemów, z tym, że całą dokumentację przekazaliśmy przed kilkoma dniami szefowi Związku, w którym uzgadniamy każde nazwisko.

– Nie zostawiliście sobie kopii?

– Nie było to konieczne, w każdej chwili mamy do dokumentów nieograniczony dostęp. Jestem przekonany, że jeśli pańska instytucja poprosi o ich udostępnienie, szef nie będzie miał żadnych obiekcji. Jak wiecie to nie tylko wybitny pisarz, ale także wysoki rangą funkcjonariusz partyjny, który zna swoje obowiązki.

– Tak, tak, oczywiście. Ale sam pan o tym wie najlepiej, że na takich stanowiskach nie wszystko ma się pod kontrolą, zwłaszcza, gdy w grę wchodzi pełna inwencja, lecz często niezbyt doświadczona literacka młodzież.

– Zapewniam pana, że tutaj wygląda to zupełnie inaczej. Właściwie szef Związku jest współtwórcą programu imprezy, dlatego dopieszcza każdy szczegół.

– Jesteście więc absolutnie pewni, że nie będzie żadnych niespodzianek?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– No, tak – mój rozmówca szukał zgrabnej pointy spotkania. – Miło się nam rozmawiało. Nie chciałbym pana dłużej zatrzymywać, ma pan zapewne sporo obowiązków.

– To prawda, dzisiaj mam bardzo napięty grafik.

– Myślę, że wcześniej czy później los nas jeszcze z sobą zderzy i znowu pogawędzimy co nieco.

To rzekłszy mój rozmówca oddalił się pośpiesznie.

Poldek patrzył mi w oczy uważnie bawiąc się pustym kieliszkiem. Po wysłuchaniu mojej szczegółowej relacji ze spotkania z nieznanym pokiwał z niedowierzaniem głową.

– I to wszystko?

– Powiedziałem jak było.

– Nie pominąłś niczego? Tu się liczy każdy drobiazg. Może coś ci umknęło?

– Poldek, było tak jak powiedziałem.

– To prawie niemożliwe – Poldek kręcił głową z niedowierzaniem. – Wychodzi na to, że ta rozmowa nie miała najmniejszego sensu.

– Jak to?

– A tak to. Przecież on mógł uzyskać tę listę bez trudu od kogoś innego. Nie musiał szukać kontaktu z tobą. To po prostu nie w ich stylu.

– Nie w ich stylu? O kim ty mówisz?

– Krzychu, nie rozśmieszaj mnie. Przecież tu na kilometr pachnie bezpieką, co on chciał ci zresztą dać wyraźnie do zrozumienia.

– To znaczy, że na tej rozmowie mu nie zależało?

– Jestem tego pewien.

– Nic nie rozumiem.

– To, że ty nic nie rozumiesz, to małe piwo, gorzej, że ja również nie widzę w tym żadnego sensu, chyba że...

– Chyba że, co?

– Że to tak właśnie miało być, pozornie bez sensu.

Patrzyłem na Poldeka jak sroka w kość.

– Bez sensu?

– Powiedziałem, pozornie – sprostował Poldek i przedstawił mi swoją, w każdym calu logiczną teorię.

W największym skrócie brzmiała ona tak. W środowisku, w którym od lat panował spokój, potulnym i cichym, nagle zaczynają się dziać rzeczy zaskakująco śmiałe, wykraczające poza regionalny grajdołek. Imprezy, taka, siaka, owaka, konkursy, wreszcie najazd młodych gniewnych. To nie mogło ująć uwadze właściwych służb. Spotkanie ze mną było ostrzeżeniem, by nam nie przyszło do głowy pohasać nieodpowiedzialnie. Pogrozili palcem, dyskretnie, ale stanowczo. Żadnych, panowie młodzi, przekraczających dopuszczalne normy wyskoków. Małe skandaliki obyczajowe, proszę bardzo, wódczane biesiady, dlaczego nie, byle jak najdalej od polityki. Uznali, że taki sygnał wystarczy, tym bardziej, że odbyli rozmowę nie z kontrewolucjonistą, lecz swoim, sprawdzonym w różnych sytuacjach człowiekiem.

– Jesteś w końcu członkiem partii, piastujesz w ruchu odpowiedzialną funkcję, Warszawa ci zaufała, to wszystko sprawia, że nie ogłoszono żadnego alarmu. Uznano, że takie niewinne upomnienie wystarczy.

– Wciąż jednak czegoś nie rozumiem. Mówisz, że ta dziwna rozmowa-nierozmowa była sygnałem. Konkretnie czego?

– Żebyśmy wiedzieli, że oni tam będą.

– Na naszych imprezach?

– Oczywiście.

Tymczasem środowisko krzepło. Członkowie klubu publikowali coraz częściej, kolekcjonowali prestiżowe laury i, co najważniejsze, nawiązywali osobiste kontakty z liderami młodej literatury. Tym samym wychodzili z anonimatu, stawali się z każdym dniem widoczni, rozpoznawalni. To już nie były jakieś imprezki lokalne, druczki w piśmiennicach przygodnych, ale prawdziwe turnieje w rodzaju gdańskiej „Czerwonej Róży”, „Łódzkiego Festiwalu Poezji”, „Oleśnickiego Maja Poetyckiego”, któremu matkowała wrocławska „Odra”, publikacje w „Poezji”, „Nowym Wyrazie” i innych liczących się periodykach. W pewnym momencie na Śląsku pojawił się i osiadł na stałe prozaik młody, uzdolniony i płodny, który piękny Wrocław na prowincjonalny w sumie Bytom zamienił, wzmacniając tym samym w sposób istotny miejscowe środowisko pisarskie. Starając się wyjść naprzeciw zwiększonej aktywności młodych, miejscowa rozgłośnia radiowa zaczęła ogłaszać konkursy na poezję, prozę i słuchowisko. Te wkrótce zaowocowały niezwykle udanie, ujawniając twórców oryginalnych, których nazwiska pojawiać się zaczęły w ogólnopolskim życiu literackim. W takiej to, dynamicznej i perspektywicznej, jak mówił Szat, atmosferze szykowaliśmy się do zaplanowanego z rozmachem sympozjum, które miało się odbyć w gościnnym, luksusowym i zarazem na obrzeżu miejskiego centrum usytuowanym Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Lokalizację podpowiedział sekretarz „Przeglądu” Borsuczek, który z ową instytucją od lat miał bliskie kontakty robocze. Szat projekt kupił natychmiast.

– To genialny pomysł – przekonywał mnie z ogniem w oczach. – W centrum i równocześnie na uboczu. Słowem pełny luz i niezbędna dyskrecja. Będziemy gospodarzami na swoim, bez wścibskich amatorów sensacji.

W przededniu inauguracji obrad i licznych imprez towarzyszących do Chorzowa zjechały dziesiątki gośnych



nazwisk, budzących największy respekt. Poldek, Szat, no i ja, oczywiście, konstatowaliśmy z satysfakcją, że impreza nasza potraktowana została jak najpoważniej. Świadczyła o tym nie tylko obecność liderów młodego pisarstwa, lecz także garnitur pisarzy znanych i uznanych, wśród których zwracał uwagę naczelny krytyk „Tworzywa”, czołowego miesięcznika literackiego, na łamach którego druk był szczytem marzeń. Benedykt Bolenda był prawdziwym gigantem. Znakomity znawca literatury polskiej i światowej, autor wielu fundamentalnych książek i przede wszystkim twórca nowej szkoły pisarskiej, był jednocześnie w kontaktach codziennych człowiekiem niezwykle ciepłym, bezpośrednim, otwartym na każdy nowy, oryginalny talent. Poldek nie odstępował go na krok. W wiadomy sposób znalazł się w jego najbliższym kręgu znajomych i przyjaciół, a że potrafił odezwać się sensownie, jakąś myśl celną rzucić w odpowiednim momencie, pan Benedykt spoglądał nań łaskawym wzrokiem i w dialog merytoryczny wdawał się chętnie. Miało to po latach zawoocować drukiem w najpoważniejszym wydawnictwie w Polsce, którego wewnętrznym recenzentem był Bolenda. Powiedzmy jednak szczerze, nie był to efekt zadziergniętej w Chorzowie znajomości, lecz autentycznego pisarskiego talentu naszego oryginała, którego proza zachwycała znanego krytyka. Wyrazem owego zachwytu był druk na łamach „Tworzywa”, co środowisko przyjęło z najwyższym uznaniem. No, tak, polecałem w dygresję, a tu rzeczywistość napiera i o swoje prawa upomina się natarczywie. Więc przede wszystkim rozstrzygnięcie konkursu, które było kulminacyjnym punktem naszego maratonu. Za stołem dostojni członkowie jury, Bolenda, zaprzyjaźniony ze Śląskiem powieściopisarz, autor poczytnych powieści i scenariuszy do głośnych filmów, Włodzimierz Piórkowski i matkujący od pewnego czasu młodym Pieczonka. Głos zabiera Piórkowski, który o wyjątkowo obfitym plonie konkursu mówi błyskotliwie i kompetentnie, chwali młodzież uzdolnioną, lecz nie zapomina o mądrym mecenacie organizacji tutejszych. Z niecierpliwością oczekujemy na werdykt, lecz Piórkowski zwleka, moment najważniejszy oddala, anegdoty mnoży. Tu i ówdzie pomruki mało życzliwe słyhać, Bolenda reaguje subtelnie, co Piórkowski wychwytuje nieomylnie i głos mu oddaje mówiąc.

oryginalną, językowo odkrywczą, nie stroniącą od udanych eksperymentów formalnych. Patrzyliśmy na Poldka z nieukrywaną dumą, a Weronika obdarzyła go po raz pierwszy spojrzeniem nadzwyczaj ciepłym, obiecującym, czym wzbudziła widoczną zazdrość Jasia, przeżywającego dotkliwą gorączkę konkursowej porażki. Sukcesu przyjaciela nie zmylił natomiast fakt, że pozostałe nagrody w dziedzinie prozy powędrowały w odległe rejony kraju.

– To dobrze – skonstatował rzeczowo Szat. – Nikt nas nie posadzi o manipulację, która mogłaby nasz prestiż podważyć.

I tak było w istocie. Najbardziej nawet krytycznie nastawienie do konkursów liderzy młodoliteracy nasz profesjonalizm podkreślali, co nas łechtało niepomiernie. Spotkania były interesujące, publiczności dopisała nad podziw. Wszystko zapowiadało sukces niekwestionowany, gdy niespodziewanie, podczas imprezy finałowej, zazgrzytało nieprzyjemnie. Mianowicie Andrzej Słowikowski, poeta, filozof i dramaturg atmosferę prawdziwie sielską zmaćił skutecznie. Do wypowiedzi Piórkowskiego nawiązując, zarzucił znanemu pisarzowi, że uprawia nie poważną, odpowiedzialną krytykę, lecz lakiernictwo, pomijając w historii naszego pisarstwa fakty bolesne i nieprzyjemne. Pewnych pisarzy, stwierdził, że świadomości czytelniczej wyrzuciliśmy całkowicie, w szkolnych programach nie ma nie tylko autorów emigracyjnych, których twórczość jest integralną częścią naszego narodowego dorobku, lecz również wielu pisarzy krajowych. Tu padły nazwiska Wojciecha Bąka, Jerzego Brauna, Stanisława Rembeka, Jerzego Szaniawskiego i kilku innych. Marginalizowanie ich Słowikowski nazwał hańbą polskiego środowiska literackiego, które przechodzi nad tą bolesną i wstydliwą sprawą do porządku dziennego, zabiegając wyłącznie o swoje partykularne interesy. Piórkowski wił się jak w ukropie. Jego swada nie zdała się na nic, Słowikowski triumfował. Sytuację próbowali ratować Bolenda i Pieczonka, podejmując problemy ściśle literackie, ale nie przyniosło to spodziewanego efektu. Niesmak pozostał. Dopiero kilka godzin później, w atmosferze spotkań kulturalnych alkohol złągodził napiętą atmosferę. Słowikowski uspokoił się, wdając się nawet z Piórkowskim w miarę przyjazny dyskurs, co, jako organizatorzy, przyjęliśmy z ulgą największą. ■

Festiwalowe życie – z Krynicy-Zdroju do Białej Podlaskiej

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI



foto: Jurek Sobieszczuk

Bogusław Kaczyński

Bogusław Kaczyński był dyrektorem Festiwalu im. Jana Kiepury od 1984 do 2011 roku. Pięć lat później zmarł. Festiwal bez tego charyzmatycznego człowieka już nie jest taki sam. Po kilku latach dziwnych prób zmian formuły i rozład na stanowiskach dyrektorów oraz organizatorów został przekazany Centrum Kultury w Krynicy-Zdroju i jego dyrektorce Julii Dubec-Dudycz, która powierzyła artystyczną dyrekcję profesorowi Tadeuszowi Pszonce, związanemu z Akademią Muzyczną we Wrocławiu. Tegoroczny program był bardzo urozmaicony. Podczas wspaniałej gali inauguracyjnej wystąpili wybitni śpiewacy o międzynarodowej sławie: Małgorzata Walewska, Andrzej Dobber, Tadeusz Szlenkier i Ewa Tracz, która dopiero rozpoczyna wielką karierę, ale z pewnością będzie o niej głośno przez wiele lat. Tracz jest związana z NOSPR i Akademią Muzyczną w Katowicach, została laureatką I miejsca w Międzynarodowym Konkursie Muzycznym im. Karola Szymanowskiego (25 tysięcy euro i nagroda specjalna 6 tysięcy euro za najlepsze wykonanie utworu Szymanowskiego), a jury przewodniczyła Jadwiga Rappé.

Dwukrotnie wystąpiła na krynickim festiwalu orkiestra Filharmonii Krakowskiej, której dyrektorem jest od 2 lat Mateusz Prendota, sprawny menedżer kultury i śpiewak chóru, prezes stowarzyszenia Passionart, organizator koncertów w Polsce i wielu krajach świata. Dzięki niemu Filharmonia Krakowska występuje w wielu miejscowościach województwa małopolskiego. Oprócz inauguracyjnej gali operowej pod dyrekcją Zbigniewa Gracy, orkiestra bravurowo zagrała pod dyrekcją Sławomira Chrzanowskiego w gali operetkowej poświęconej pamięci Bogusława Kaczyńskiego. Oklaskiwano solistów, którzy znakomicie sprawdzają się w takim repertuarze: Ewelinę Szybilską, Dorotę Wójcik, Łukasza Gaja i Jacka Jaskułę, a z ekranu przemówił sam pan Bogusław: „Dobry wieczór Państwu z Krynicy. Usłyszmy za chwilę piękne operetkowe przeboje. Rozpoczynamy nasz muzyczny maraton”.

Finał 54. Festiwalu im. Jana Kiepury należał do Teatru Muzycznego w Lublinie, którego pozium do dyrekcji Kamili Lendzion poszybował w górę. Artyści przedstawili „Krainę uśmiechu”

Franza Lehara w wersji półscenicznej. Czterdziestoosobowa orkiestra pod dyrekcją Przemysława Fiugajskiego brzmiała jak duża orkiestra operowa, dzięki znakomitej grze i bardzo dobremu nagłośnieniu. Sławomir Naborczyk jako Su-Czong zaśpiewał pięknie arię „Twoim jest serce me” i pokazał swoją klasę wokalną, choć od strony aktorskiej mnie nie zachwylił. Zabrakło mu stopniowania emocji i prawdy scenicznej. Świetnie wokalnie i aktorsko wypadli pozostali soliści: Anna Barska jako dumna Liza, Jakub Gąska w roli zmiennego w nastrojach Gustawa i Paulina Janczaruk jako zabawna Mi. Dzięki pięknym kostiumom Marty Góźdź Elbruzdy, czterem parom baletu i grze aktorskiej mieliśmy bliższy kontakt z dziełem Lehara.

Opera Śląska pokazała „Callas. Master Class” ze znakomitą aktorsko i wokalnie Joanną Kściuczka-Jędrusik i uwielbianym Adamem Sobierajskim, w reżyserii Roberta Talarczyka. Mazowiecki Teatr Muzyczny im. Jana Kiepury wystawił zachwycającą inscenizację „Wesołej wdówki” z Grażyną Brodzińską i Oskarem Jasińskim, w reżyserii i choreografii mistrza Henryka Konwińskiego. Przypomniały mi się czasy, gdy w Gliwicach mieliśmy premierę tej operetki w reżyserii Marii Sartovej, a w główne role wcielali się: Grażyna Brodzińska na zmianę z Anitą Maszczyk oraz Michał Musioł i Oskar Jasiński. Musioł wydobywał z operetkowej roli o wiele więcej emocji. Cieszy mnie, że ten wspaniały śpiewak i aktor operetkowo-musicalowy wraca na estradę i mam nadzieję, że będzie również znowu gwiazdą festiwalu.

Zakończył się tygodniowy Festiwal im. Jana Kiepury, a już niedługo rozpocznie się III Festiwal im. Bogusława Kaczyńskiego w Białej Podlaskiej, którego jestem dyrektorem artystycznym i serdecznie zapraszam Państwa na to wydarzenie, organizowane w mieście urodzenia wybitnego popularyzatora muzyki operowej i operetkowej. 18 września w Amfiteatrze w Białej Podlaskiej pokażemy spektakl „Ordonka. Miłość ci wszystko wybaczy” z wielką gwiazdą musicalową Marią Meyer, związaną przez wiele lat z chorzowskim Teatrem Rozrywki. Zaprezentujemy też spektakl „Być jak Charlie Chaplin” z nagradzonym na festiwalach Mateuszem Deskiewiczem, aktorem Te-

atru Muzycznego w Gdyni oraz premierę koncertu inscenizowanego „Gdybym był bogaczem. Benefis Zbigniewa Maciasa”, przygotowanego z okazji 40-lecia pracy artystycznej tego wybitnego śpiewaka i reżysera. Podczas gali polskiej piosenki „Od Opola do Sopotu” wystąpią: Kasia Moś (która rozpoczęła karierę wokalną, występując z zespołem Lotharsi i Żorską Orkiestrą Rozrywkową Lothara Dziwoki) i wspaniali artyści Teatru Muzycznego w Lublinie: Kamila Lendzion (reżyser widowiska), Paulina Janczaruk, Dorota Szostak-Gąska, Jakub Gąska i Patryk Pawlak, band i artyści chóru.

Na finał festiwalu 26 września reżyseruje spektakl muzyczny „Wielka sława Bogusława. Bogusław Kaczyński – świat opery i operetki” z udziałem mastry Małgorzaty Walewskiej, Aleksandry Kubas-Kruk, Kamili Lendzion, Sławomira Naborczyka i solisty Opery Lwowskiej – Mykoly Kornutyaka. Wystąpią też artyści baletu i orkiestra Teatru Muzycznego w Lublinie pod dyrekcją Przemysława Fiugajskiego. Festiwal odbywa się pod patronatem prezydenta Białej Podlaskiej Michała Litwiniuka, a organizacją zajmują się: Białskie Centrum Kultury z dyrektorem Zbigniewem Kapelą i Fundacja ORFEO im. Bogusława Kaczyńskiego z dyrektorem zarządu Anną Habrewicz. Przystanki muzyczne Festiwalu będą się odbywać w różnych częściach naszego kraju. Na przykład 12 września zaprezentujemy w kościele w Sarnakach nad Bugiem piękny koncert „Miłość to niebo na ziemi” z maistrą Anitą Maszczyk, Nairą Ayvazyan, Magdaleną Marcinkowską-Łamacz, Przemysławem Łamaczem i Aureliuszem Rysiemi oraz kwintetem muzycznym Orfeum. 19 września wystąpimy z Małgorzatą Długosz i skrzypaczką Kamilią Wąsik-Janiak w Serpelicach, ulubionej miejscowości uzdrowiskowej Bogusława Kaczyńskiego. Mam nadzieję, że pojawimy się też na Śląsku. ■

Szczyrk – kurort nad Żylicą

ZBIGNIEW LUBOWSKI



fol. Z. Lubowski

W długoletniej i zaciętej rywalizacji turystycznej Szczyrku i Wisły – dwóch atrakcyjnych kurortów Beskidu Śląskiego – cenny sukces odniosło w ostatnich latach sześciotysięczne miasteczko w dolinie Żylicy, bystrego i kapryśnego dopływu Soły. W ocenie ekspertów Szczyrk zdobył palmę regionalnego pierwszeństwa w sportach zimowych. W okresie letnim stał się natomiast wymarzone dla wielu ludzi miejscem uprawiania pieszej i rowerowej turystyki górskiej.

Malownicza miejscowość rekreacyjno-wypoczynkowa w powiecie bielskim może to zawdzięczać Słowakom, którzy od roku 2014 są gospodarzami dawnego Szczyrkowskiego Ośrodka Narciarskiego. Słowacka spółka TATRY MOUNTAIN RESORTS, zaliczana przez fachowców do grona najważniejszych operatorów turystyki górskiej w Europie Środkowo-Wschodniej, zakupiła SON, przekształcając go w rozległy – i wyjątkowo popularny – beskidzki kompleks sportów zimowych. Od kilku lat nosi on nazwę Szczyrk Mountain Resort (SMR) i jest jednym z wielu europejskich ośrodków zarządzanych przez słowacką korporację (m.in. w Karkonoszach i w Tatrach).

A jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku nikt zapewne nie przypuszczał, że Szczyrk zrobi w przyszłości taką międzynarodową karierę turystyczną. Na początku XIX wieku była to przecieź cicha, maleńka wieś, w której mieszkało

niespełna 200 tzw. „zarębników” (osadników uprawiających nadaną im ziemię). Atrakcyjne walory miejscowości położonej u stóp **Skrzycznego** (1257 m n.p.m.) – najwyższego szczytu Beskidu Śląskiego, należącego do tzw. Korony Gór Polski – dostrzeżono dopiero po kilkunastu latach od zakończenia II wojny światowej.

W roku 1958 zbudowano wyciąg krze-



Dyr. Michał Słowiołek w gondoli

sełkowy na Skrzycznym. 15 lat później Szczyrk uzyskał prawa miejskie. Dziś jest to – bez cienia przesady – renomowany kurort beskidzki o turystyczno-wypoczynkowym obliczu. W zimie przeobraża się zaś w tętniące wielojęzycznym gwarem skupisko miłośników białego szaleństwa.

Słowacki zastrzyk pieniędzy

– Słowacy tchnęli nowe życie w szczyrkowski ośrodek. Wyasygnowali 60 milionów euro na realizację inwestycji in-

frastrukturalnych, oddanych do użytku w latach 2017-2018. Dzięki tym nakładom miasteczko wzbogaciło się o: gondolową kolej linową na Halę Skrzyczneńską (1000 m n.p.m.), trzy nowoczesne wyciągi krzeselkowe z Hali Skrzyczneńskiej na Zbójnicką Kopę (1205 m n.p.m.) oraz z Soliska na Halę Skrzyczneńską i na Wierch Pośredni (1000 m n.p.m.), a także wyciąg orczykowy na Małe Skrzyczne (1211 m n.p.m.) – mówi **Michał Słowiołek**, dyrektor SMR ds. marketingu.

Warto odnotować, że turystyczne innowacje w Szczyrku mają dogodny dla użytkowników charakter. Obszerne parking przy dolnej stacji gondoli na Halę Skrzyczneńską jest nieodpłatny dla zmotoryzowanych, a cichobieżne, nowoczesne 10-osobowe gondole, startujące z Górnego Szczyrku, są przystosowane do transportowania rowerów górskich.

Nowe wyciągi krzeselkowe z 6-osobowymi kanapami zapewniają wszystkim chętnym niepowtarzalne widoki, w tym zwłaszcza efektowne pejzaże beskidzkie, które przy ładnej pogodzie można podziwiać podczas wjaz-



fol. Z. Lubowski

Górskie schronisko na Skrzycznym cieszy się sporą popularnością.



Dolna stacja historycznego wyciągu krzeselkowego na Skrzyczne

du na szczyt Zbójnickiej Kopy.

Słowacka spółka jest właścicielem 98% akcji szczyrkowskiego ośrodka. Zarządza ona nie tylko gondolową atrakcją linową i lokalnymi wyciągami krzeselkowymi, lecz również miejscowym hotelem „Gronie”, usytuowanym w niewielkiej odległości od siedziby SMR w sąsiedztwie dolnej stacji kolei gondolowej, przy uczęszczanej trasie drogowej ze Szczyrku na Przełęcz Salmopolską. Wszyscy goście hotelowi otrzymują w pakiecie bilet uprawniający do skorzystania z wyciągów.

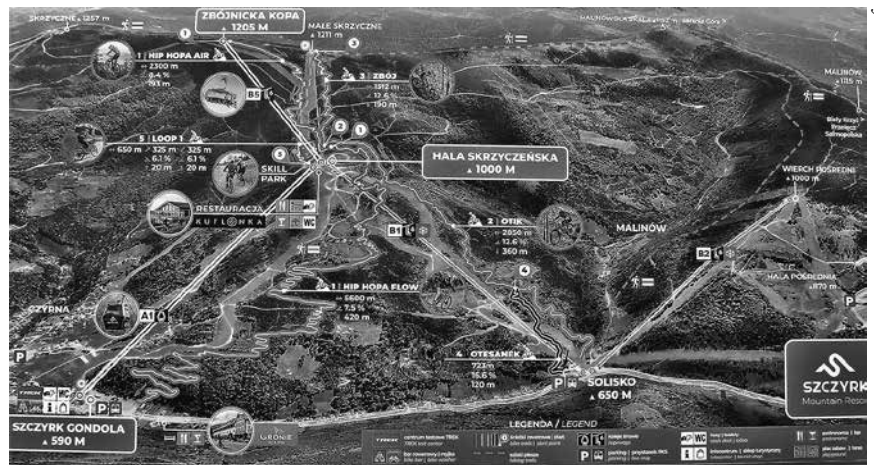
W sezonie letnim, obejmującym okres od maja do października, funkcjonują tylko dwa linowe środki transportu – gondola na Halę Skrzyczeńską i „kanapa” na Zbójnicką Kopę. Pozostałe kursują wyłącznie w zimie. Dane frekwencyjne nie pozostawiają jednak najmniejszych wątpliwości – zimowe zainteresowanie turystów Szczyrkiem jest prawie pięciokrotnie wyższe od letniego. Chętni mają wówczas do dyspozycji 40 km narciarskich tras zjazdowych o różnych stopniach trudności (trasy utworzono na terenie trzech różnych ośrodków).

Pieszno lub rowerem

Latem nie brakuje natomiast miłośników górskiej turystyki rowerowej. Dla nich przygotowano w SMR (przypominajmy: Szczyrk Mountain Resort)

specjalne tablice z dokładnymi mapami ponad 13 km tras rowerowych w rejonie Małego Skrzycznego.

– W masywie najwyższego wierz-



Mapa górskich tras rowerowych w masywie Małego Skrzycznego

chołka Beskidu Śląskiego współpracujemy ściśle z Centralnym Ośrodkiem Sportu, który jest operatorem dwuodcinkowego (z przesiadką na Jaworzynie, 920 m n.p.m.) – wyciągu krzeselkowego na Skrzyczne. Oferujemy zainteresowanym wspólny karnet letni o nazwie „Pętla szczyrkowska”. Z takim całodziennym karnetem w rękę można wjechać gondolą i wyciągiem na szczyt Zbójnickiej Kopy, następnie przejść półgodzinnym szlakiem wędrownym na Skrzyczne, a stamtąd zjechać w dół czteroosobowymi kanapami do centrum Szczyrku. Karnet kosztuje 69 zł od osoby, podczas gdy za pojedynczy bilet za przejazdkę na jednym z czterech odcinków pętli trzeba zapłacić 19 zł – informuje Michał Słowiozek.

Z pożytkiem dla turystów

Beskidzki kurort nad Żylicą wydaje się interesującym przykładem polsko-słowackiej współpracy biznesowej dla dobra przyjezdnych turystów, z których ok. 50% dociera do Szczyrku z Górnego Śląska. Sporą część letnich przybyszów stanowią ponadto miesz-

kańcy Mazowsza, Małopolski i Wielkopolski. Pojawiają się również Cze- si i Słowacy.

Wielu z nich ma swoje ulubione miejsca w trakcie wędrówek w paśmie Beskidu Śląskiego. Przy słonecznej pogodzie tradycyjnie oblegana jest restauracja na Hali Skrzyczeńskiej (fot. obok). Korzystają z niej pasażerowie wyciągów podczas przesiadek przed dalszą podróżą.

Ze szczytu Zbójnickiej Kopy kierują się nierzadko w stronę **Malinowskiej Skały** (1152 m n.p.m.), oddalonej o ok. dwie godziny marszu zielonym szlakiem turystycznym przez Małe Skrzyczne. Jej wierzchołek nęci piechurów i rowerzystów swym niezwykłym kształtem, stanowiąc rzadko spotykany pomnik przyrody nieożywionej. Przez wieki wiodła tędy

granica między Śląskiem i Małopolską. Obecnie Malinowska Skała jest charakterystycznym punktem na trasie wędrówki ze Skrzycznego na **Baranią Górę**, na której zboczach ma swój początek Wisła, najdłuższa rzeka w naszym kraju. Takie cuda natury warto zobaczyć z bliska!

KOLEJE I WYCIĄGI / LIFTS		
1	A1 SZCZYRK GONDOLA - HALA SKRZYCZEŃSKA	1434m (6 min)
2	B1 SOLISKO - HALA SKRZYCZEŃSKA	1574m (6 min)
3	B2 SOLISKO - WIERCH POŚREDNI	1348m (4 min)
4	B5 HALA SKRZYCZEŃSKA - ZBOJNICKA KOPA	1690m (6 min)
5	C1 CZYRNA - HALA SKRZYCZEŃSKA	1379m (7 min)
6	C2 CZYRNA - HALA SKRZYCZEŃSKA	1379m (7 min)
7	C3 HALA SKRZYCZEŃSKA - MAŁE SKRZYCZNE	1200m (5 min)
8	M1 MAXILAND - SZKOŁA NARCIARSKA	

TRASY NARCIARSKIE / SKI SLOPES	
1	SPORTOWA 1667 m
1A	MIŁAKI 240 m
2	SWIERKOWA 1350 m
3A	KOPA 1000 m
3B	SZCZYRKOWSKA I 2095 m
3C	ZBOJNICKA 709 m
3	SZCZYRKOWSKA II 2810 m
3D	ZWALISKO 950 m
4	SZUMARZANKA 2014 m
4A	SUCHE 396 m
5	BIERKULA 1535 m
6	TURYSTYCZNA 1900 m
7	MALINOWA 1820 m
8	SIELSKA 1350 m
9	JULIANY 850 m
9A	POŚREDNIA 670 m
10	SALMOPOLSKA 1813 m
11	GOLGOTA 800 m

COS - KL SKRZYCZEŃSKIE		
1	B5 SZCZYRK - JAWORZYNA	2460 m
2	B4 JAWORZYNA - SKRZYCZNE	1260 m
3	C10 DOLINY II	1940 m
4	C11 DOLINY III	2800 m
5	21 ONDRASZEK	2460 m
6	22A KASKADA	1260 m
7	22B KASKADA	1940 m
8	23 F I S	2800 m
9	25 WIDOKOWA	2320 m

Tablica z informacjami o długości poszczególnych odcinków wyciągów i dokładnym czasie napowietrznej podróży



Widok ze stoków Zbójnickiej Kopy



Koleją gondolową ze Szczyrku docieramy na Halę Skrzyczneńską (z restauracją w stylu alpejskim). Kolejnym wyciągiem wjeżdżamy na atrakcyjnie położony szczyt Zbójnickiej Kopy.



fol. Tomasz Bienek



Letnie burzowe chmury nadciągają nad torowiska za stacją PKP Katowice Ligota. Właśnie gdzieś tutaj pociąg pancerny „Groźny” uzupełniał zapasy by ponownie wrócić do boju na żelaznym szlaku.

fol. Tomasz Bienek



Główny hall dworca PKP w Tychach z umieszczoną w nim pamiątkową tablicą upamiętniającą pociąg pancerny „Groźny” i jego dzielnego dowódcę.

Polskie pociągi pancerne w obronie Śląska 1939

Wrześniowi bohaterowie z fortec na szynach

TOMASZ BIENEK

Od kilku lat podróżni wysiadający z pociągów lub udający się do kas biletowych na głównym dworcu PKP w Tychach mijają tablicę poświęconą dzielnemu oficerowi Wojska Polskiego – kapitanowi Janowi Rybczyńskiemu, dowódcy pociągu pancernego „Groźny”, poległemu w bitwie pod Wyrami. Epitafium tego żołnierza przypomina też mało znany aspekt wojny obronnej 1939 roku, jakim jest użycie przez stronę polską specyficznego oręża – pociągów pancernych, a to właśnie na terenie Górnego Śląska i szerzej – obecnego województwa śląskiego, odegrały one istotną rolę w walce.

W stereotypowym i krzywdzącym polskich żołnierzy obrazie walk we wrześniu 1939 roku, niestety podtrzymywanym w dalszym ciągu przez niektóre filmy, powtarza się pewnego rodzaju kalka – niedozbrojone, choć dzielne polskie oddziały zawsze cofają się dziesiątkowane przez nowoczesne niemieckie samoloty i wozy bojowe. By przekonać się, jak daleko idącym wypaczeniem jest taki obraz, wystarczy przyjrzeć się choćby bitwom z udziałem polskich pociągów pancernych, a to właśnie w obronie Śląska i ziem obecnego województwa śląskiego oraz na ościennych terenach stoczono kilka z nich.

„Potwór!”, „Potwór zbliża się”, „Słychać już sapanie jego lokomotywy”, „powietrze stało się ścianą ognia i stali”, „żegnamy się z życiem” – to krótkie fragmenty wspomnień niemieckich żołnierzy, biorących udział w jednej z najważniejszych bitew września 1939 na Śląsku, czyli bitwy po Wyrami (1–3 września), którzy przeżyli spotkanie z polskim pociągiem pancernym. To właśnie w trakcie tych walk, polskie oddziały wspierał ogniem pociąg pancerny o nazwie „Groźny”. Podczas bitwy manewrował na odcinku linii kolejowej między Wyrami, Tychami i Kobiórem, prowadząc ostrzał Niemców w rejonie lasu między Wyrami a Żwakowem. Pole bitwy opuszczał jedynie w celu pobrania amunicji oraz wody i węgla dla lokomotywy, udając się w tym celu na stację w Katowicach Ligocie, zabierając przy okazji z pola walki rannych żołnierzy, którzy otrzymywali pomoc w katowickich szpitalach lub byli ewakuowani dalej na tyły. Jak podają źródła, ostrzał „Groźnego” przysporzył nieprzyjacielowi ciężkich strat zwłaszcza w rejonie Tychów. Wobec takiej aktywności polskiego pociągu pancernego

Luftwaffe otrzymała rozkaz jego zniszczenia, jednak losy wojny były dla „Groźnego” o tyle łaskawe, że żadna z bomb nie trafiała nawet w tor. Bolesny cios nadszedł jednak z innej strony – podczas patrolu w lekkim czołgu, spuszczanym z kolejowej platformy, późnym popołudniem 2 września pod Wyrami zginął dowódca pociągu, kpt. Jan Rybczyński. Po tym zdarzeniu dowodzenie nad pociągiem przejął zastępca poległego dowódcy, kpt. Józef Kulesza (później, odniósłszy obrażenia w wyniku walk, pomimo doznanych poparzeń pozostał na pokładzie i nadal sprawnie dowodził składem).

Aby dokładniej zrozumieć, czym w dobie przełomu lat 30. i 40. był rodzaj broni zwany pociągiem pancernym, przyjrzyjmy się, z czego składał się „Groźny”. Nazwa składu trafnie odpowiada jego strukturze (choć zestawienie to jest typowe dla innych polskich pociągów pancernych tamtego okresu). Sercem pociągu był ciężki opancerzony parowóz z tendrem, zawsze umieszczany w środku składu, w celu ochrony przed zniszczeniem. W tendrze za lokomotywą, poza zapasem wody pozwalającym przebyć trzysta kilometrów i rezerwą węgla, umożliwiającą pokonanie osiemdziesięciu kilometrów bez zatrzymania, znajdowała się pancerna wieżyczka obserwacyjna dowódcy składu, wyposażona w radiostację krótkiego zasięgu oraz telefon (wszystkie wagony podłączone były do wewnętrznej sieci telefonicznej w ramach składu, pozwalało to dowódcy na błyskawiczne wydawanie rozkazów dla każdego z wagonów niemal w tej samej chwili). W przypadku „Groźnego” lokomotywę stanowił parowóz Ti3, przeznaczony w cywilnej roli do obsługi ciężkich pociągów towarowych, w tym wypadku przystosowany do wojskowych potrzeb, z których najbardziej zauważalną było dokonanie pełnego pancerna lokomotywy i tendra. Za lokomotywą znajdował się pancerny wagon szturmowy dla oddziału piechoty, która mogła dokonać desantu z pokładu pociągu. Wagon ten wyposażony był w ciężką broń maszynową oraz radiostację dalekiego zasięgu. Następnie po obu stronach lokomotywy umieszczano wagony artyleryjskie z działami w obrotowych wieżach. Dalej w obu kierunkach jazdy w skład pociągu wchodziły specjalne platformy z lekkimi czołgami, które mogły szybko zjechać z wagonów i wejść do walki, by następnie

powrócić do pociągu. Skład „Groźnego” dysponował łącznie siedmioma wozami bojowymi: pięcioma lekkimi tankietkami TKS (na jednej z nich poległ pierwszy dowódca pociągu) oraz dwoma czołgami Renault FT-17, które – choć przestarzałe w momencie wybuchu wojny – dysponowały działem 37 mm, mogącym wyrządzić znaczne szkody przeciwnikowi i do wspierania pociągu nadawały się znakomicie, poza tym – wozy te także mogły strzelać z platform w trakcie jazdy, uzupełniając wagony artyleryjskie. Ponadto w skład pociągu wchodziły drezyny pancerne, uzbrojone w ciężki karabin maszynowy. Ich celem, po odłączeniu od składu były misje patrolowe na żelaznym szlaku, głównie rozpoznanie stanu torów na dalszej trasie – ewentualnych zniszczeń torowiska, stanu mostów, urządzeń stacyjnych itp. W zależności od potrzeb do składu polskich pociągów pancernych włączano inne wagony – towarowe, platformy itd.

Koniec końców, kapitan Jan Rybczyński, ruszając w bój w swoim pancernym kolosie, miał pod sobą załogę złożoną ze 180 ludzi, dysponujących haubicą kal. 100 mm, trzema armatami kal. 75 mm oraz dwudziestoma ciężkimi karabinami maszynowymi. To jednak nie wszystko, bo choć pociąg zabierał na swój pokład zapas bojowy amunicji wynoszący 20 ton, to pod rozkazami dowódcy znajdował się zawsze drugi skład – pozostający w bezpiecznym oddaleniu kilku do kilkunastu kilometrów, ale zawsze podążający jak cień za główną jednostką skład gospodarczy, przewożący dodatkowe zapasy, ale też materiały kolejowe, jak szyny czy podkłady służące do naprawy zniszczonego toru, a także (co oczywiste) dysponujący drugą lokomotywą, która w razie sytuacji krytycznej mogła zostać przyłączona do składu bojowego.

Ogromna siła ognia, połączona z niezwykłą mobilnością, czyniła pociąg pancerny tej klasy śmiertelnym zagrożeniem dla każdej ówczesnej armii. Był on na lądzie mniej więcej tym, co okręt klasy niszczyciela na morzu. Należy podkreślić – sprawnie manewrujący pociąg pancerny posiadał potencjał pozwalający zatrzymać całą niemiecką dywizję pancerną.

Dalsze losy „Groźnego” niestety wpisują się w tragiczny przebieg wrześniowych walk. Pomimo heroicznej postawy załogi i realnych

możliwości dalszej walki, 3 września, wobec przełamania przez Niemców frontu pod Pszczyną i groźby okrążenia, pociąg otrzymał rozkaz wycofania się. Skład przejechał do stacji w Szczakowej, a stamtąd do Krakowa. Dał znać wskazywany przez wielu historyków fatalny w skutkach brak w środkach łączności – w Krakowie przez wiele godzin pociąg stał bezczynnie na opuszczonym dworcu. Wieczorem 5 września przetoczył się do Krakowa Płaszowa. Następnie podjął marsz do Brzeska, gdzie otrzymał rozkaz wycofania się do Rzeszowa linią przez Tarnów. 7 września w mieście tym, wobec zniszczonego mostu kolejowego i braku możliwości obrania alternatywnej trasy wobec nadchodzących jednostek niemieckich, załoga wysadziła w powietrze własny skład i w małych grupach podjęła próby dotarcia do własnych oddziałów.

Na obecnych ziemiach województwa śląskiego, piękną kartę zapisała także załoga innego pociągu pancernego o nazwie „Śmiały”. Od końca lat 20. stacjonował on w tej samej bazie pociągów pancernych co „Groźny” – w 2 dywizjonie pociągów pancernych w Niepołomicach. „Śmiały” wziął udział w bitwie pod Mokrą w okolicy Częstochowy. Dowódcą pociągu był kpt. Mieczysław Malinowski (przeżył kampanię wrześniową, zasilił szeregi Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, jako oficer 1 Dywizji Pancernej generała Maczka poległ 9 sierpnia 1944 roku pod Falaise we Francji). 1 września, z rejonu skrzyżowania linii kolejowej z drogą z Mokrej do Miedźna, pociąg wsparł ogniem pododdziały 21 pułku ułanów – odpierając skutecznie atak hitlerowskiej 4 Dywizji Pancernej. 2 września pociąg w rejonie wsi Czarny Las i Wola Kiedrzyńska ostrzelał kolejny związek taktyczny Wehrmachtu – 1 Dywizję Pancerną.

Więcej światła na aktywność pociągu pancernego w bitwie pod Mokrą rzuca historyk Apoloniusz Zawilski, w książce *Bitwy polskiego września* (Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1989):

„Kapitan Malinowski, który wraz ze swoim pociągiem pancernym stał na stacji Miedźno (o 6 kilometrów na północ od miejscowości Miedźno) w oczekiwaniu na zapowiedziane ukazanie się czołgów wzdłuż Liswarty, otrzymał rozkaz powrotu do głównej bitwy na południowym odcinku. Po przebyciu 2–3 kilometrów oczom jego ukazała się na ducie leśnym kolumna pancerna, jak się okazało, napełniająca z cysterne paliwo. Załoga pociągu otworzyła do czołgów ogień ze wszystkich środków i zadała im straty, ale i pociąg otrzymał cztery pełne trafienia. W rezultacie jednak swoim ogniem rozstrzygnęła starcie na polską korzyść i niemieckie czołgi powstrzymały swój dalszy marsz na Izbiska. Niemcy bali się pociągu pancernego, który, jak wynika z relacji, trzymał ich w ryzach przez wiele godzin”.

Podobno Niemcy ściągali w alarmowym trybie dywizjon artylerii ciężkiej, aby wyeliminować groźnego przeciwnika. Wtedy „Śmiały” umknął, opuszczając też obec-

ne tereny naszego województwa, pozostawiając za sobą pobojuwisko, na którym dopalały się wraki kilkudziesięciu niemieckich wozów bojowych. Przez Łódź dotarł do stacji w Koluszkach. Podobnie jak wycofany ze Śląska „Groźny”, bezczynnie oczekiwał tam na dalsze rozkazy. Niestety efektem tego bezruchu była utrata składu gospodarczego „Śmiałego”, zniszczonego przez niemieckie lotnictwo. Pociąg pancerny podjął marsz w kierunku Warszawy, przez którą przejechał 8 września. Jego dalsza marszruta wyglądała następująco: 10 września osiągnął Siedlce, 14 września dotarł do Brześcia nad Bugiem. Tam ogniem swojej artylerii zatrzymał natarcie jednostek niemieckiej 10 Dywizji Pancernej, ale wobec zajęcia przez Niemców dworca głównego w Brześciu dokonał odskoku na Kowel (wraz z pociągiem pancernym „Bartosz Głowacki”, z którym wspólnie przemieszczał się już od stacji w Koluszkach). Po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski 17 września 1939 roku, oba pociągi podjęły marsz do Lwowa, który osiągnęły 18 września. „Śmiały” operował głównie w okolicach Dworca Łyczakowskiego, dokonując licznych wypadów po żelaznych szlakach odchodzących ze Lwowa.

W obliczu kapitulacji Lwowa 22 września oba pociągi zostały porzucone przez załogi.

O ziemię dzisiejszego województwa śląskiego niemalże otarł się też pociąg pancerny „Pierwszy Marszałek”. Dowodził nim kpt. Leon Cymborski, który 2 września został ranny i zastąpił go kpt. Zdzisław Rokossowski. Był to tzw. pociąg pancerny manewrowy – utrzymywany w gotowości bojowej nawet podczas pokoju. W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku stacjonował na dworcu w Skawinie, po wybuchu wojny wspierał polskie oddziały na linii Żywiec – Rabka. Już tylko w sferze domysłów pozostanie, jak mógłby potoczyć się bój pod nieodległą Węgierską Górką, który rozpoczął się 2 września, gdyby „Pierwszy Marszałek” został skierowany w ten rejon (przez Węgierską Górkę przechodzi linia kolejowa Żywiec – Zwardoń). Dla załóg polskich schronów bojowych, które na dwa dni zatrzymały natarcie całej niemieckiej dywizji, ogień dział stalowego potwora byłby z pewnością ogromnym wsparciem, a dystans między stacją w Żywcu a okolicą Węgierskiej Górki pociąg ten mógłby pokonać w ciągu kilkunastu minut. Niestety dla obrońców „Westerplatte południa” – czyli dowodzonych przez kpt. Tadeusza Semika załóg polskich fortyfikacji wokół Węgierskiej Górki, „Pierwszy Marszałek” otrzymał zadania gdzie indziej (wspierał m.in. polskie oddziały w walkach pod Jordanowem).

Tak samo, jak różne były wojenne losy żołnierzy z załóg pociągów pancernych brojących ziem naszego regionu, tak samo



Tablica ku czci kapitana Jana Rybczyńskiego ukazuje także potężną sylwetkę pociągu pancernego, którym dowodził.

niesamowite, a czasem zdumiewające były dalsze dzieje taboru, na którym służyli. Wysadzone przez własną załogę wagony „Groźnego” wyremontowali Niemcy, włączając je w skład któregoś z swoich pociągów pancernych, ale ich dzieje nikną gdzieś w chaosie wojny. Jeszcze bardziej zawiłe są losy taboru „Śmiałego”; opuszczony przez załogę pociąg zajęła Armia Czerwona i był on używany przez pograniczne wojska NKWD aż do 22 czerwca 1941, kiedy to po hitlerowskiej agresji na ZSRR skład ponownie zmienił gospodarza – tym razem był nim hitlerowski Wehrmacht, w którego szeregach, jako pociąg pancerny nr 10, w czasie ostatniej, wielkiej letniej ofensywy na wschodzie, dotarł wspierając lądowe oddziały niemal nad Wołgę i brał udział w bitwie o Stalingrad. Choć wagony dawnego „Śmiałego” uniknęły losu okrążonej 6 Armii, w wyniku licznych uszkodzeń i wyeksploatowania wojenną służbą, losy pociągu urywają się latem 1944 i zagadką pozostaje, co stało się z nimi później. Podobna jest historia wagonów pociągu „Pierwszy Marszałek”. Po opuszczeniu Żywiecczyny systematycznie przesuwano się na Wschód, i porzucony przez załogę wpadł w ręce Sowieców. W służbie pod czerwonym sztandarem pozostawał przez dwa lata, gdy po agresji Niemiec na ZSRR został celowo uszkodzony przez radziecką załogę, jednak tabor ten był dla Niemców na tyle cenny, że wagony szybko wyremontowano. W służbie niemieckiej pociąg pozostał aż do stycznia 1945, gdy zaskoczony sowiecką ofensywą styczniową, wobec braku możliwości odwrotu, został zniszczony przez własną załogę w rejonie miejscowości Chęciny na Kielecczyźnie. W latach powojennych porzucone wagony wraz z dużą ilością wraków sprzętu pancernego, zalegających w tym rejonie, zostały pocięte na złom.

Meluzyna. Fenomen wiecznego trwania

JAN MALICKI

Oglądając karty kalendarza w *Bardzo bogatych godzinkach księcia de Berry*, naszą uwagę przykuwa marzec. Karta ta przedstawia zamek Lusignan, siedzibę rodową potężnego rodu francuskiego, spośród którego wywodził się i król Jerozolimy, i król Cypru; nota bene państwa odkupionego od templariuszy. Jednak nie ów zamek jest najciekawszy, lecz fruująca nad nim Meluzyna.

Ale od zachwytu nad dziełami średniowiecznych twórców, o wiele większe było moje zaskoczenie fenomenem atrakcyjności tego motywu dla współczesnych twórców, inspiracji nim oraz kreatywnych przekształceń opowieści o pani z wiatru, a może pani z wody. A wszystko za sprawą Małgorzaty Ostrowskiej, która dla pokoleń lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych, dziewięćdziesiątych XX stulecia nagrała piosenkę *Meluzyna, czyli historia podwodnej miłości*.

Piosenka ta stała się częścią filmu z roku 1985 zatytułowanego *Akademia Pana Kleksa*. Przypomnijmy, że tekst napisał Krzysztof Gradowski do muzyki Andrzeja Korzyńskiego. Wtedy dzieci śpiewały pierwszą zwrotkę, zaczynającą się od słów: *Piękna pani Meluzyna pokała Pustoraka, Tak opowieść się zaczyna Jaka? Taka Jaka? Taka.*

Ale w październiku ubiegłego roku podczas Strajku Kobiet śpiewano już inną zwrotkę: *Meluzyno, Meluzyno, Porzuć płonne swe nadzieje, Odpłyn własną limuzyną, Świat się śmieje, świat się śmieje.*

Te dwa jakże odległe czasowo od siebie punkty w przestrzeni „długiego trwania” opowieści o Meluzynie – prawie początek i jeszcze nie koniec, bo zapewne ciąg dalszy nastąpi

– każą nam przyrzeć się niezwykłości tej historii. Szczególnie iż jej u powszechnieniu zarówno w kręgu kultury niemieckiej, jak i kultury polskiej odegrali dwaj Ślązacy. Jeden to Gotard Oswald Marbach (1810–1890), drugi to Józef Lompa (1797–1863).

Nieprzypadkowo w tytule posłużyłem się też określeniem „fenomen wiecznego trwania”, bo też opowieść o tej postaci odnaleźć można w przekazach folklorystycznych, klechdach domowych, tekstach literackich. Na stałe zadomowiła się też w badaniach naukowych różnych dziedzin humanistyki. Nic dziwnego, że w *Słowniku polskiej bajki ludowej*, wydane go pod redakcją Violetty Wróblewskiej, poświęcono jej osobne hasło, którego autorką jest Iwona Rzepnikowska.

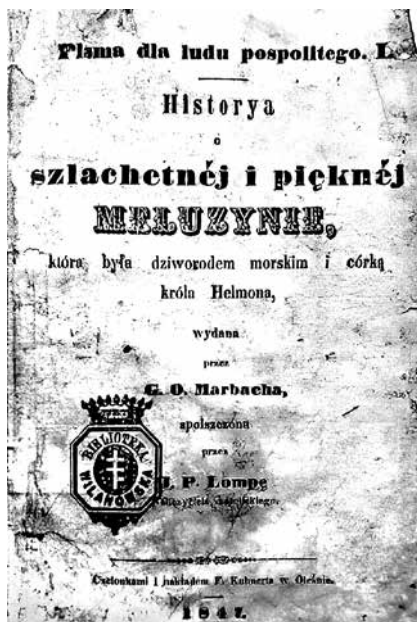
Meluzyna zatem – pisze autorka hasła – to *niezwykła istota wyobrażana w postaci kobiecej, od pasa w dół wyposażona w smoczowężowe atrybuty. W średniowieczu, jak i w wiekach późniejszych należała do bardzo popularnych bohaterów legend oraz romansów dworskich, zarówno prozatorskich, np. Jeana d'Arras z 1387 roku (*Melusine ou la noble histoire de Lusignan*), jak i wierszowanych, m.in. Coudrette (*Couldrette*) z Poitiers (*Le roman de Melusine, ou de Partenay, ou de Lusignan, 1401*). Znała we Francji co najmniej od XII w.; w innych krajach, w tym w Polsce, występująca sporadycznie, głównie w romansach jarmarcznych, np. «*Historia wdzięczna o szlachetnej i pięknej Meluzynie*» z 1569 roku». Dodajmy, że jego wydawcą był Marcin Siennik; postać niepospolita, niespokojna, niezwykajna. Swoją twórczość translatorską i z dziedziny medycyny niekonwencjonalnej wydawał głównie w latach 60. XVI wieku. Publikuje: *Lekarstwa doświadczone... któremu są przydatne lekarstwa końskie, Herbarz, to jest ziół tutecznych... opisanie, Koncilium trydentskiego nowo skończonego wyroki i ustawy*. Potem następuje przerwę; podejmuje pracę w kopalniach olkuskich. I ukazuje się *Historia o Meluzynie*.*

Niestety, nie zachował się żaden egzemplarz tego wydania. Działalność edytorska nie przysporzyła mu majątku. Procesował się więc z księgarzem krakowskim, znalazł się w więzieniu, a w roku bitwy pod Byczyną zmarł. W sto lat później ukazała się jej druga edycja. I ona nie wzbudziła wielkiego szalu czytelniczego. Dopiero pierwsze lata panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego spowodowały, iż ogromnie wzrosło zainteresowanie Meluzyną. Ja znam cztery edycje tego dziełka. Było ich jednak więcej. Co ciekawe, wszystkie one szły z duchem czasu; imitowały model wypowiedzi naukowej, a nie literackiej. Zmiany przyniósł dopiero wiek następny.

Pomińmy dalsze, polskie edycje, a przenieśmy się na Śląsk, do Lubczy. Jest rok 1843. W rękopiśmiennych *Rozmaitościach śląskich*, będących czymś w rodzaju pamiętnika Lompy, czy raczej diariusza, znaleźć można takie oto zdanie: *U Akermana w Opolu i u innych księgarzy śląskich jest dzieło „Walter”. Godno by dzieło na polskie przełożyć*. To pierwszy moment zainteresowania tym kręgiem literatury popularnej. A jak głęboko były one utrwalone, świadczy „Wezwanie do subskrypcji” zamieszczone w szóstym numerze „Tygodnika Polskiego”. Lompa pisał: *Wziętość powszechna, z którą piśma niemieckie dla ludu pospolitego przeznaczone przez Marbacha wydane w Niemczech pozyskały, wymaga koniecznie przetłumaczenia tychże na język polski, zwłaszcza w czasie niniejszym, kiedy i u nas skutek błogosławiony Towarzystw Wstrzemięźliwości widzieć się daje i coraz bardziej zabawy i biesiady ludu naszego, języka polskiego w karczmach ustawiają, a zamiast zmysłowych chęci pragnienie do czytania książek zabawnych i pożytecznych się wzmagają. Tą myślą powodowany, ośmieliłem się „Książki dla ludu” przez Marbacha ułożone, wiernie podług tekstu oryginalnego na język polski przełożyć. Zaczynam więc: „Historią o pięknej i szlachetnej Meluzynie”. Księgarz Pan A. Kelles w Gliwicach na Śląsku Górnym podjął się wydania tychże przekładów i będzie się o piękne ich wyposażenie starać.*

A poniżej księgarz doda: *W sierpniu r.b. na pięknym białym welinowym papierze z obrazkami litograficznymi spod prasy wyjdzie, a że reszta zeszytów od 8 (sic! – JM) do 8 tygodni następować ma. Dla subscyberentów będzie za zeszyt każdy tylko 3 sgr wynosić, ci zaś, którzy się podejmą subskrypcji otrzymają na 10 – jeden egzemplarz bezpłatnie. Lompa niezwykle intensywnie pracuje. Sądzę, że tak czynił przez całe swoje życie.*

W latach poprzedzających Wiosnę Ludów wydaje trzy tomiki *Książek dla ludu*. Ukazuje się wtedy *Hirlanda czyli niewinność uciśniona*; dalej – opartą o fabułę przejętą z Boccaccia *Historię o Gryzeldzie i margrabi Walterze*, wreszcie *Historię o szlachetnej i pięknej Meluzynie, która była dziwowodem morskim i córką króla Helmona* – utwór, który został dosłownie zacytowany. A potwierdzi to już w roku 1913 Konstanty Prus: *dalej przedrukowywane, mają pokup nie tylko na Śląsku. Bezsprzecznie był to bestseller, po latach ogromny kłopot historyka literatury.* ■



Roman Stopa, „Spod chłopskiej strzechy na katedrę uniwersytetu”

MARIAN SWORZEŃ

O profesorze Romanie Stopie od dawna wiedziałem, że był badaczem języka mlaskowego, a to stąd, że ojciec mojego przyjaciela, Mariana Kudelki, utrzymywał z nim regularne kontakty. Potem doszła jeszcze wzmianka, że przed wojną profesor uczył krótko w Mikołowie. I tylko tyle...

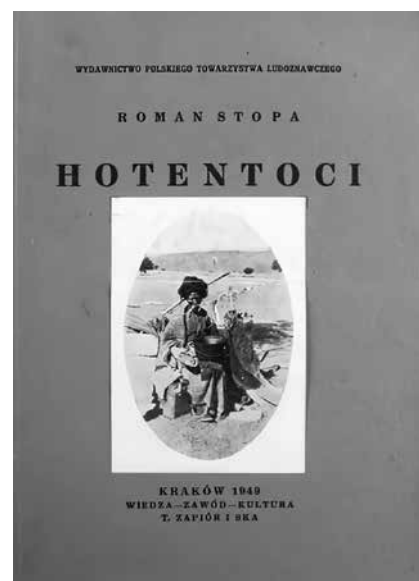
Całkiem niedawno Marian znalazł w papierach po zmarłym ojcu książeczkę ze wspomnieniami profesora i dał mi ją do przeczytania. Wydana skromnie, w nakładzie 400 egzemplarzy, stanowi precyzyjną całość, niezwykle interesującą od strony poznawczej. Jej tytuł odnosi się do życiowej drogi odbytej przez autora, który na wstępie pytając siebie: „Czy w czasach pańszczyzny mógłbym dość do pozycji profesora UJ?” odpowiada (nie tylko sobie!), że: „Stałe ograniczanie znaczenia bogactwa, pieniędzy w osiągnięciu szczęścia – to także ważny element postępu”. Spróbuję teraz – w oparciu o książkę – przedstawić pokrótce koleje życia jej autora.

Roman Stopa urodził się w rodzinie chłopskiej w roku 1895 w podkrakow-

skiej Woli Batorskiej. Szkołę podstawową rozpoczął w rodzinnej wiosce, a zakończył w pobliskich Niepołomicach (uczono po polsku, wszak była to Galicja). Potem był pobyt w gimnazjum klasycznym w Bochni, gdzie mieszkał na stacji i dorabiał, udzielając korepetycji – maturę zdał latem 1914 roku. Gdy krótko potem wybuchła wojna, jako tzw. „jednoroczny ochotnik” został skierowany do służby w okolicach morawskiego Nowego Jiczina. Nie brał udziału w walkach, zaś w kwietniu 1915 roku z powodu astygmatyzmu został zwolniony do cywila. Powróciwszy w rodzinne strony, zatrudnił się w kopalni soli w Wieliczce oraz podjął w Krakowie studia z zakresu filologii klasycznej. Pośród jego wykładowców byli m.in. profesorowie: Morawski, Sinko, Chrzanowski, Rozwadowski. O ostatnim z nich, wybitnym językoznawcy, Janie Rozwadowskim, wyrażał się z niezwykłą wdzięcznością („Z pochodzenia arystokrata, mnie syna chłopskiego traktował jak syna własnego”). Po uzyskaniu dyplomu w lutym 1920 roku, przez krótki czas był guwernerem u Popielów w Kurozwękach, a potem rozpoczął – jak sam to określił – „tułaczkę po gimnazjach”, odbywaną wraz z rodziną w różnych częściach Polski.

Pierwszym miejscem była Częstochowa, gdzie w szkole prowadzonej przez paulinów na Jasnej Górze uczył tamtejszych alumnów. Kolejnym miastem były Skierniewice, gdzie osiadł na kilka lat w skromnych warunkach. Z uwagi na ofertę wyższych o 25% nauczycielskich poborów wypłacanych na Śląsku, a także obietnicę przydziału mieszkania, zdecydował się na kolejną przeprowadzkę. „Kiedy przenieśliśmy się do Mikołowa i tu nasze sprawy mieszkaniowe ułożyły się kiepsko – po prostu obiecane mieszkanie nie otrzymałem. Mikołów zapisał się w mojej pamięci, tak jak to bywa w życiu, wydarzeniami przykrymi i przyjemnymi.

Do przykrych należało to, że wskutek żywienia się w śląskich restauracjach nabawiłem się ostrego nieżytu żołądka”. A dobre wspomnienia? Tak, są, jakże piękne... Roman Stopa tak napisał o swym nauczaniu w męskim gimnazjum w roku szkolnym 1927/28: „Młodzież była tu zdolna”, więc – po doktoracie poświęconym powstawaniu mowy ludzkiej – „mogłem znaleźć czas, by z chłopcami przebić się przez załame meandry »Kratylosa« Platona”, mając do dyspozycji egzemplarze dzieła sprowadzone specjalnie z Niemiec (obietując sobie lekturę tego klasycznego tekstu o istocie języka). Do tego dodane zostały chóry z greckich tragedii, fragmenty „Odysei” oraz horacjanckich „Ód” i z takiego połączenia powstało widowisko słowno-muzyczne wystawione w maju 1928 roku, którego opis zachował się w „Kwartalniku Klasycznym” (nr 2/1928). Ktoś, kto dotrze w Internecie do pełnego tekstu, zwróci zapewne uwagę na wzmiankę, że prof. Stopa był również autorem muzycznego opracowania całości – dodajmy więc, iż od dzieciństwa kochał skrzy-



ce i całe życie grał na tym instrumencie (jak wiadomo z opowiadań, bywali jeszcze przed wojną nauczyciele greki, którzy oczekiwali od uczniów deklamacji zgodnej z pociągnięciami smyczka – nie mogą wykluczyć, że należał do nich prof. Stopa...).

Z Mikołowa przeprowadził się do gimnazjum w Nowym Targu, a stamtąd – do Żywca. Żmudnej pracy w szkole towarzyszyły intensywne lektury związane z poznawaniem wszystkiego, co dotyczy wyjątkowego języka afrykańskiego, który zachował się na niektórych obszarach tego kontynentu uważanego za pierwotną ojczyznę rodzaju ludzkiego. A skoro rodzaju, to i jego mowy... Profesor Stopa właśnie wtedy napisał po niemiecku rozprawę o języku mlaskowym („Die Schnalze”), dzięki której mógł z powodzeniem, głównie dzięki wsparciu ze strony prof. Rozwadowskiego, ubiegać się o stypendium naukowe w Niemczech (1933 r.) i wyjazdowe do Afryki (1935 r.).

Jak stwierdził we wspomnieniach, „człowiek pierwotny obok mlasków używał gestykulacji, zaś „mlask był skrótem odnośnego gestu ręki”, „o tym zaś [...] łatwo można przekonać się obserwując małe dzieci” – i to chyba najkrótsze z możliwych wyjaśnienie „ogniwa pośredniego między mową małp czelkokszałtnych a mową człowieka pierwotnego”. Owszem, w książeczce są również zestawienia rozróżniające owe mlaski na podniebienne czy lateralne, inaczej boczne, powstałe podczas odrywania języka od zębów trzonowych, etc. Nam powinna wystarczyć wiedza, iż mowa w tym kształcie istniała (i pewno nadal istnieje) u Buszmenów, Hotentotów i Zulusów zamieszkujących na obszarze Afryki Południowo-Zachodniej. Tam właśnie dotarł Roman Stopa z małżonką Marią jako jego asystentką, wykonując zapisy i notacje w kontaktach z miejscowymi, z którymi w dodatku bez trudu się porozumiewał. Kiedy wrócił do kraju, miał kłopoty z... celnikami (użył nawet słowa „ciężka przeprawa”). Gdzie? Ano w Katowicach. Przemyt? W żadnym wypadku! Poszło o przywiezione zbiory o znaczeniu etnograficznym. Skończyło się na tym, że ostatecznie trafiły do muzeów w Krakowie i Warszawie.

Plonem wyjazdu były „Teksty hotentockie” stanowiące jego pracę habilitacyjną – zostawszy docentem UJ, uczył nadal w szkołach średnich. Uczestniczył nadto w rozlicznych kongresach naukowych w całej Europie. Miarą jego dokonań było chociażby to, że prof. Bronisław Malinowski pisząc w roku 1938 hasło do Encyklopedii Brytyjskiej, nazwał Stopę światowym ekspertem od języka mlasków („The world expert on clics”).

Wybuch wojny zastał go na kongresie w Brukseli, skąd wrócił okrężną drogą przez Rumunię do Lwowa, a stamtąd



Roman Stopa

SPOD CHŁOPSKIEJ STRZECHY NA KATEDRĘ UNIWERSYTETU

Kartki z życia człowieka
opętanego muzyką, poezją, wsią i Buszmenami

szczęśliwie do Krakowa (od połowy `39 roku tam właśnie przeniósł się z rodziną). Uniknął aresztowania w dniu 6 listopada – nie poszedł na inaugurację roku akademickiego tylko dlatego, że nie znalazł zastępcy na przypadającą w tym czasie lekcję łaciny w gimnazjum. Okupację przebiegował w Krakowie, ucząc na kursach dla przyszłych przedszkolaków. Po wojnie uczył w szkołach średnich i na uniwersytecie, gdzie wykładał języki afrykańskie. W roku 1950 roku przeszedł do Instytutu Orientalistyki UJ. Pełną profesurę uzyskał w roku 1963. Zmarł w roku 1995.

Na koniec zostawiam jego słowa, które sumują nie tylko życie całego pokolenia, ale i odnoszą się do naszych „cyfrowych” czasów: „Śmiem twierdzić, że wskutek dzisiejszego wychowania, dzisiejszego

tła, przeżywamy nasze doznania estetyczne, etyczne, poznawcze szerzej, ale płycej. Moje pokolenie, a więc ludzie urodzeni u schyłku poprzedniego stulecia, może nie doznawało tak szerokiej gamy przeżyć, ale ludzie ci doznawali głębiej, może naiwniej i prościej, ale w sposób jaśniejszy. Żyliśmy mocno i zdecydowanie”.

Obyśmy umieli podobnie opisać nasze życie i naszą epokę...

Roman Stopa, *Spod chłopskiej strzechy na katedrę uniwersytetu*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1987, str. 78.

O Śląsku: str. 30-31, 54.

Matka Boska z Guadalupe

IWONA ŻELAZOWSKA

Po południu przyjeżdżamy do miejsca świętego, miejsca kultu i cudownych objawień, miejsca masowych pielgrzymek i pątników modlących się pod mistycznym wizerunkiem Matki Boskiej z Guadalupe. Jej kult jest wszechobecny i autonomiczny – mówi Ewa. – W Meksyku nie trzeba być wierzącym, by czcić Matkę Boską z Guadalupe. Jest ona kimś więcej niż patronką kraju. Paradoksalnie, przywieziona przez Hiszpanów, stała się dla Meksykanów „La Madre Libertadora” (Matka Wyzwolicielka). Mediatorka i opiekunka Indian, Metysów, Kreoli, których przez lata prowadziła do wolności. Wyniesiona na sztandarach w czasie rewolucji 1810 roku była patronką wyzwolenia i niepodległości. Dziś jest opiekunką całego narodu meksykańskiego i symbolem jedności narodów latynoamerykańskich, jak i przenikania, a nawet nałożenia się kultury hiszpańskiej na dawną kulturą indiańską. Odzwierciedla wierzenia zarówno katolickie, jak i prekolumbijskie. Jest uosobieniem kościoła synkretycznego, którego przejawy niejednokrotnie dziwią, a nawet szokują.

Hiszpanie przybyli do Ameryki z misją ewangelizacji i nawracania Indian, która była tak naprawdę jedynie pretekstem do poszerzenia strefy swoich wpływów, pozyskania nowego terytorium wraz z jego zasobami, bogactwem i mieszkańcami, traktowanymi jako tania siła robocza. W tym celu na tereny dzisiejszego Meksyku (wtedy Nowej Hiszpanii) oprócz wojska, sprowadzeni zostali misjonarze. Przybyło około 380 franciszkanów, 210 dominikanów oraz 212 augustianów. Później dołączyli do nich jezuita, zakon o bardzo surowych rygorach. Proces ewangelizacji przebiegał w dwóch etapach. Na początku XVI wieku cechował go wielki optymizm, tolerancja, a nawet niejednokrotnie zachwyty rdzenną kulturą. Indian traktowano życzliwie, postrzegano ich jako osoby którymi należy się zaopiekować i nową wiarę wytłumaczyć... Postulowano stosowanie metod łagodnej perswazji i dobrego przykładu. Wprowadzono także Teatr Ewangelizacyjny. Pod koniec XVI wieku pojawił się pesymizm i frustracja. Zorientowano się, że dotychczasowe metody nie przynoszą oczekiwanego skutku, a wiara w nowego boga jest jedynie pozorna. Hiszpański kler ostro skrytykował działania misjonarzy w wyniku czego Filip II zarządził zmianę polityki chrystianizacji. To-

warzyszyły jej postawy antyindiańskie. Wprowadzono metodę „koniecznego przymusu” i „świętobliwej przemocy”. Wypowiedziano bezwzględna walkę bałwochwalstwu i idolatrii. Pojawił się nie tylko przymus, ale także przemoc... prześladowania, upokorzenia, kary cielesne, chłosta, okaleczanie, przykładowe wieszanie, a nawet palenie żywcem... Niszczono też figurki bogów i palono księgi. W odpowiedzi na te działania, Indianie zaczęli coraz skrytniej ukrywać swoje wierzenia. Ceremonie i rytuały odprawiali w ukryciu i wielkiej tajemnicy. W takiej otoczeniu narodził się synkretyzm religijny, nowa jakość, która powstała w wyniku przenikania się, łączenia, nakładania elementów nowej religii katolickiej na dawne, prekolumbijskie wierzenia, rytuały i obrzędy. Był wynikiem stosowanej przez Indian taktyki obronnej, formą adaptacji, przystosowaniem się do nowych warunków społeczno-religijnych.

Synkretyzm religijny stworzyli oczywiście Indianie, ale w dużym stopniu do jego powstania przyczynili się także Hiszpanie. Po pierwsze, nie docenili siły prekolumbijskiej kultury. Zbagatelizowali ją. Zlekceważyli mocno zakorzoną tradycję i wierzenia mieszkańców ziem, które podbili. Po drugie, buńczucznie, jako symbol zwycięstwa, wznosili katolickie kościoły na ruinach pogańskich świątyń. W dodatku kościelne budynki powstawały z tych samych kamieni, z których wcześniej wybudowane były prekolumbijskie piramidy świątynne. Indianie przychodzili więc w to samo miejsce, a nawet w te same mury. Zmieniło się jedynie imię boga, którego przywoływali i do którego wznosili swoje modły. I tak na przykład Pana Jezusa utożsamili z Quetzalcotlem (Pierzastym Wężem), a katolicy święci zastąpili im pogańskich bogów, do których kiedyś modlili się o deszcz, urodzaj i inne ziemskie sprawy... W przeszłości modlili się o deszcz do Tlaloca (Chaca), a teraz, w nowej religii nazywali go np. Świętym Pawłem... Podobnie było z Matką Boską z Guadalupe, która jest symbolem meksykańskiego synkretyzmu religijnego. Podczas oblężenia Tenochtitlanu Hiszpanie rozbili swój obóz u podnóża góry Cerro del Tepeyac. Na jej szczycie stała świątynia azteckiej bogini Matki – Tonantzin... Gdy świątynia została przez Hiszpanów zburzona, a na jej miejscu wybudowano kaplicę Matki Boskiej z Guadalupe, Indianie natychmiast utożsamili ją z Tonantzin i szybko zaadaptowali na grunt swojej religii. Ślady tych silnych skojarzeń przetrwały do dziś. W prekolumbijskim świecie 12 grudnia to dzień, w którym obchodzono święto bogini Matki – Tonantzin. Dziś w tym dniu cały współczesny Meksyk celebrować uroczystości ku czci Matki Boskiej z Guadalupe.

Dochodzimy do placu, przy którym stoi monumentalna, XVIII-wieczna Bazylika, a przy niej pomnik Jana Pawła II. Wmurowana jest też tablica upamiętniająca Papieża Polaka.

To właśnie tutaj – mówi Ewa – w 1979 roku przyjechał Jan Paweł II ze swoją pierwszą pielgrzymką! Z drugą udał się do Polski. Nie wszyscy z pewnością wiedzą, że Jan Paweł II przyjechał wtedy tutaj prywatnie... Nie przybył jako przedstawiciel państwa watykańskiego... Co prawda uczestniczył w zjeździe biskupów meksy-





kańskich, ale wziął w nim udział jako osoba prywatna... Był to okres zimnej wojny pomiędzy meksykańskim rządem a Watykanem. Wojny, która rozpoczęła się już w 1857 roku. Wtedy to na mocy II Konstytucji rozpoczął się proces, w wyniku którego Kościół zaczął tracić swoje przywileje. Była to tak zwana reforma ówczesnego prezydenta Benito Juárez. Kolejna, III Konstytucja, ogłoszona w 1917 roku okazała się jeszcze bardziej radykalna... Była skrajnie antyreligijna i antyklerykalna. Aż dwanaście jej artykułów było dedykowanych instytucji kościoła. Przede wszystkim odbierała mu osobowość prawną i obecność w życiu politycznym. Zabierała majątek, czyli wszystkie nieruchomości i ruchomości, i przekazywała go państwu. Odbierała księżom prawo wyborcze i zakazywała wypowiadania się w sprawach państwowych. Ponadto, na jej mocy obowiązywał zakaz urzędowania pielgrzymek i publicznego używania symboli kościelnych. Zakazywała także tworzenia jakichkolwiek organizacji, stowarzyszeń, których nazwy nawiązywałyby do kościoła lub religii. Nakazywała natomiast deportację duchownych pochodzących z innego kraju. Dopiero w 1929 roku, po trzyletniej wojnie domowej podpisana została umowa pomiędzy rządem a episkopatem, na mocy której doszło do drobnych ustępstw. Co prawda nadal obowiązywała Konstytucja z 1917 roku, lecz zawieszono realizację kilku jej artykułów. Pozwolono działać zakonem, przywrócono nauczanie religii i możliwość zakładania szkół i organizacji katolickich, zwrócono kościołowi niektóre nieruchomości... W takiej to właśnie sytuacji do Meksyku przyjechał Jan Paweł II. Przybył tu na pewno z misją mającą na celu polepszenie stosunków. Do minimalnego ocieplenia pomiędzy władzami rządowymi Meksyku a stolicą Apostolską doszło dopiero w latach 1990–2000. Wtedy kościół otrzymał kolejną, aczkolwiek niewielką część dawnego majątku. W odpowiedzi na to, w 2002 roku kanonizowany został Juan Diego, którego postać jest nierozwalnie związana z tym miejscem...

Pewnego ranka, 9 grudnia 1531 roku nowo ochrzczonego Indianin, Juan Diego spiesząc się na mszę w Tlatelolco usłyszał piękną muzykę przy Cerro de Tepeyac. Zatrzymał się i nagle zobaczył jasną postać, młodą, piękną panią. Usłyszał także jej głos. Powiedziała mu – w języku náhuatl – że jest dziewczicą Maryją, Matką prawdziwego Boga i że chce, aby w tym miejscu zbudowano jej kaplicę. Poleciała też, aby przekazała tę wiadomość biskupowi Meksyku, Juanowi de Zumárraga. W zamian obiecała nie tylko opiekę nad Juanem Diego, ale także nad całym indiańskim ludem. Juan Diego przybył do Katedry w Meksyku, przekazał wiadomości biskupowi, nie został jednak przez niego wysłuchany. Wydawał się mało wiarygodny ze względu na swo-

je pochodzenie i ubóstwo. Jednak cud powtórzył się jeszcze kilkakrotnie. Następnego dnia, gdy Juan przechodził koło Cerro de Tepeyac, znów ukazała mu się Matka Boska i nalegała, by wypełnił jej wolę. Biskup jednak po raz kolejny zlekceważył słowa Indianina. Po trzecim objawieniu, biskup zażądał od Juana jakiegoś dowodu na to, że mówi prawdę. Czwartego dnia, 12 grudnia 1531 roku, Juan Diego wybrał się do Tlatelolco, by sprowadzić księdza do swojego ciężko chorego, umierającego na dżumę wuja, Juana Bernardino. Mimo że nie miał czasu by spotkać się z Panią, ta zeszła do niego i poleciła mu, by wspiął się na szczyt wzgórza Tepeyac i zerwał kwiaty, które tam wyrosły, zawiązał je w swoją tilmę i zaniósł do Katedry. Juan wdrapał się na szczyt i zobaczył tam piękne czerwone róże – kwiaty nieznanne w tej okolicy, które Juan zobaczył pierwszy raz w swoim życiu... Zebrał je w swoją indiańską tilmę, utkaną z włókien agawy i zaniósł arcybiskupowi, jako dowód mistycznego spotkania. Kiedy rozwinął ją u stóp dostojnika kościelnego, pojawił się na niej wizerunek Maryi, Matki Boskiej w świetlistej poświacie. Arcybiskup ukląkł... Na miejscu objawień wkrótce wybudowano kaplicę... W tym czasie Matka Boska ukazała się także wujowi Juana Diego, Juanowi Bernardino, którego wyleczyła z choroby. Powiedziała mu również, że jej kult będzie znany jako kult Najświętszej Pani Dziewicy z Guadalupe.

Zwiedzamy plac... Pod zadaszeniem stoi „Papa mobile”, samochód, którym Jan Paweł II poruszał się w trakcie swojej wizyty. Jak widać, wszystkie pamiątki po Janie Pawle II są w Meksyku niezwykle cenne – fotografie również. Obecne są nie tylko w miejscach religijnego kultu, ale także widnieją na kolorowo ukwieconych ołtarzykach, ustawionych w przydrożnych barach, w manufakturach, a nawet w miejscach produkcji tequili i mezcalu... Meksykanie kochają „naszego” Papieża. Polska to po prostu „Papa”... Nasz kraj kojarzy im się głównie z Nim.

Wchodzimy do środka Bazyliki. Jest okazała. Panuje w niej półmrok i przepych... Piękne, bogate wnętrza... Złocenia... Zapierający dech ołtarz... Malowidła, rzeźby świętych... Ukrzyżowany Chrystus... Jakże odmienny od naszego. Jest ciemnoskóry. Ma długie, naturalne włosy. Obok stoją dwie wazy. Na nich znajdują się różnokolorowe malowidła. Jest też aniołek z trójkolorowymi skrzydłami. Motyw ten zaczerpnięty jest z cudownego wizerunku. To właśnie u stóp Matki Boskiej leży anioł o czerwono-zielono-białych skrzydłach. Dziś kolory te są kolorami flagi meksykańskiej. Spaceruję po bazylice. Panuje tu przyjemny chłód, spokój, cisza. Atmosfera zadumy i refleksji. Popołudniowe ciepłe światło wpada pojedynczymi promieniami poprzez kolorowe witraże... Opuszczamy stare mury





bazyliki i idziemy do stojącej tuż obok, nowej bazyliki. Tam czeka na nas słynny wizerunek Matki Boskiej z Guadalupe...

Wybudowanie współczesnego obiektu stało się koniecznością. Stary okazał się zbyt mały, by pomieścić wszystkich odwiedzających to miejsce. Nowa bazylika powstała w 1976 roku.

Wchodzimy do środka. Wystrój tego miejsca niczym nie przypomina wystroju starej świątyni. Pełno tu współczesnych witraży, żyrandoli, marmurowe schody, sufit z polerowanego drewna... Jak na mój gust architektoniczny chaos i... totalne bezguście. Groch z kapustą albo jeszcze gorzej. Atmosfera też jest zupełnie odmienna od tej panującej w starej bazylice. Nabożeństwa odbywają się tutaj prawie bez przerwy. Otwarta przestrzeń dużego, kolistego wnętrza może pomieścić jednorazowo nawet do 10 tysięcy wiernych. Budynek jest pełny. Tłumy stoją również przed budynkiem. Ludzie nieustannie wchodzą i wychodzą... Rozmawiają, robią zdjęcia... Potrącają osoby modlące się... Niektórzy wierni siedzą na podłodze... Brakuje ciszy i skupienia. Dominuje tłok i hałas.

Uczestniczymy w mszy koncelebrowanej. Przy ołtarzu stoi około 15 księży. Dochodzimy do cudownego wizerunku Matki Boskiej. Wisi on wysoko. Pod nim zbudowany jest mechaniczny chodnik... Wolno przesuwaną się taśmą, przewożącą codziennie tysiące wiernych. Każdy może „bezkolizyjnie dojechać”, oddać hołd Meksykańskiej Madonnie i zrobić zdjęcie. My też... Takie rozwiązanie, co prawda, nie powoduje tłoku, ale pozbawia to miejsce atmosfery niezwykłości. Wprowadza element przyziemnej komercji.

Z ulgą opuszczam nową bazylikę. Na przykościelnym dziedzińcu tańczą Indianie. Dookoła rozlega się jednostajny, rytmiczny dźwięk bębnów. Indianie poruszają się jak w transie. W barwnych strojach i pióropuszcach na głowie wykonują swój rytualny taniec... U podnóża Cerro del Tepeyac, proszą Boginię Matkę – Tonantzin o deszcz i dobre plony...

Nie wiem czy wiecie – mówi Ewa – że meksykańska konstytucja z roku 1917, o której wam wcześniej mówiłam, obowiązuje tutaj do dziś i gwarantuje całkowitą rozdzielność państwa od Kościoła. W myśl tego wszystkie akty religijne muszą odbywać się jedynie w miejscach do tego przeznaczonych i wyznaczonych wyłącznie przez państwo, np. w Kościołach. Do dziś, na mocy tej konstytucji, aktualny pozostał też zakaz publicznego manifestowania swojej wiary. Rząd, co prawda, wyraża zgodę na niektóre procesje uliczne, ale są one mniej liczne i okazałe niż u nas. W związku z tym np. święto Bożego Ciała tutaj w Meksyku, jest świętem mniej uroczystym, a na ulicach prawie niezauważalnym. Wynika to z pewnością w dużej mierze z faktu, iż w Meksyku obowiązuje kalendarz świecki, a nie kościelny... W związku z tym święta kościelne nie są dniami wolnymi od pracy.

– A święta Bożego Narodzenia? Jak one tutaj przebiegają? – pyta ktoś z grupy.

– Obchodzi się je zupełnie inaczej niż u nas – mówi Ewa. Nie mają tego nastroju, nie obowiązują nasze świąteczne potrawy... I, co ważne, celebrowana jest tutaj tylko Wigilia. Rodzina zasiada przy świątecznym stole, podawana jest odświętna kolacja, np. indyk, a później rozmawia się, słucha muzyki. Często bożonarodzeniowa fiesta kończy się tańcami. No, a w pierwszy dzień świąt wszyscy idą do pracy.

– W Meksyku – dodaje Ewa – na skutek reformy Juáreza ani Kościoły, ani cmentarze nie są własnością Kościoła. Są państwowe. W parafii funkcjonuje jakaś spółka tzw S.A., albo Sp. z o.o., albo jeszcze jakaś inna spółka i zarządza danym terenem. Poza tym, w związku z zakazem manifestowania swojej wiary w miejscach publicznych, ani księża, ani zakonnicy i zakonnice nie chodzą po ulicach w habitach lub sutannach. Nie widać też koloratek. Nawet Jan Paweł II, gdy tutaj przyjechał w 1979 roku został ukarany, ponieważ drogę z lotniska do hotelu pokonał ubrany w sutannę. Co prawda karę zapłacił za niego któryś z ówczesnych biskupów meksykańskich, ale jak widać pod tym względem prawo tutaj jest rygorystycznie przestrzegane i egzekwowane. Także w myśl tej konstytucji, w Meksyku obowiązuje całkowita wolność wyznania... Nie ma jednej odgórnie narzuconej i obowiązującej religii. Każdy może wierzyć w to, co chce... Można też być ateistą. Meksyk, co prawda, jest postrzegany jako kraj katolicki, bo statystyki wskazują, że jest tutaj aż 80–90% ludzi ochrzczonych, ale mało kto wspomina o tym, że tylko 10%, to katolicy praktykujący. Pośród tych 80% a 10% dzieje się „wszystko”...

Zwiedzamy okolicę. Dochodzimy do schodów, porośniętych arkadami bujnej roślinności. Prowadzą one na szczyt Cerro del Tepeyac. Postanawiamy wejść na górę... Jest gorąco...

Od czasu do czasu siadamy na kamiennych ławeczkach... Obserwujemy ludzi. Są w różnym wieku, reprezentują różne grupy społeczne. Widać, że jedni to mieszkańcy, inni przybyli z odległych wiosek. Wśród nich są też rodzice prowadzący swoje pociechy w pierwszokomunijnych ubrankach... Pątników są tysiące. Niektórzy wchodzą na schody kłęcząc... Modlą się, a ich kolana ociekają krwią...

Docieramy na szczyt. Niegdyś stała tu świątynia bogini Tonantzin, dziś – wybudowana na miejscu objawień, stara kapliczka pod wezwaniem Matki Boskiej z Guadalupe, pamiętająca czasy Indianina, Juana Diego...

Rozpościerający się stąd widok jest boski... ■

Fragment książki pióra Iwony Żelazowskiej pt.: KRAINA WIELU BOGÓW przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”. Literackie reportaże z podróży po Meksyku, Gwatemali, Kostaryce ukażą się w 2021 roku.



Konrad Swinarski Czy mogło być inaczej?

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Domu Liczbińskich i młodych Swinarskich pograżyły się w przewlekłej żalobie. Czteroletni Konrad oraz sześciolatek Henryk – niewiele z tego zapamiętali. W ich podświadomości pozostał jakiś bliżej nieokreślony smutek przypominany w okolicznościowych retrospekcjach rodziców i krewniaków pochylonych nad rodzinnymi albumami.

Traumatyzujący i jeszcze bardziej dolegliwy cios spada na Irmgardę Swinarską i dwu jej chłopców w następnym roku. W warszawskim szpitalu na Ujazdowie, po gwałtownym ataku choroby nowotworowej, umiera płk Karol Swinarski. Jego trumna na lawecie, z wojskowymi honorami i jedzie do Krotoszyna przypominającego czasy młodości i dom rodziców. Na cmentarzu parafialnym przy ulicy Raszkowskiej rozlega się salwa pożegnalna. Doczesne szczątki swego dowódcy oficerowie składają do grobu.

Spізową podobiznę pułkownika Podhalańczyków zdobi charakterystyczny kapelusz z trzema gwiazdkami i dwoma galonami oficerskimi. Nagrobkowy relief dopełniają plakiety – Krzyża Wojennego Virtuti Militari oraz Krzyża Walecznych – najwyższych odznaczeń, jakimi był nagrodzony.

Cmentarna kwatery płk. Swinarskiego to pomnik w rejestrze Miejsc Pamięci Narodowej Polaków.



Od kilku dziesięcioleci na kamiennej pokrywie grobowca znajduje się inskrypcja o treści:

„Tu spoczywa ojciec Konrada Swinarskiego, sławnego reżysera Teatru Starego w Krakowie”.

Tego, który w latach duchowego przebudzenia rodaków oczarował ich zdumiewającą wizją „Nie-Boskiej komedii” Krasińskiego, „Wyzwolenia” Wyspiańskiego i „Dziadów” Mickiewicza.

Do tajemniczej i dramatycznej legendy międzywojennych Katowic przeszły, wciąż jeszcze niedośpiewane dzieje sentymentalnej przygody Irmgardy i Karola – jaką tych dwoje przeżyło w popularnej cukierni domu handlowego przy Mickiewicza 2. Dokończenie z numeru lipcowego.

Wieliczka i Kraków

Osamotnionej wdowie w wieku balzackim, matce ośmioletniego Henryka i sześciolatek Konrada pozostało już tylko rodzeństwo: w Katowicach Marian Liczbiński oraz mieszkający w Berlinie junior Ksawery Liczbiński, a także zamieszkiwane tam dwie zamężne siostry, Prakseda Seyffert i Helga Zimmermann; rodzice kilkorga kuzynek i kuzynów Konrada. Jako siostra i ciocia pragnęła, aby jej synowie byli im tak bliscy i kochani jak oni całej familii Swinarskich. Jeszcze po wojnie w ich towarzystwie Konrad świętował w uroczystości rodzinne i spędzał z nimi wakacyjne urlopy.

W 1937 roku odwiedziła Irmgarda kupiła okazały modrzewiowy dwór na willewim osiedlu w Wieliczce. Znajdował się przy ulicy Poniatowskiego 20. Honorowe miejsce w salonie zajmował portret płk. Karola Swinarskiego. Wnętrze reprezentacyjnego livingroomu i pozostałych pomieszczeń wypełniły stylowe meble, zakupione przez młodych Swinarskich do domu w Róźnie. Potem towarzyszyły im codzienności w Równem i Sanoku.

Przeprowadzkę zapamiętała pokojówka pułkownikowej Swinarskiej:

„Dom w Wieliczce był duży, z budynkami gospodarczymi. Mieszkania na parterze i na piętrze, przestronny korytarz. Meble były ciężkie, te skórzane fotele. Jechał z nimi ordynans Janek. A Irmgarda z chłopcami, pani Purzycka i jeszcze jakiś franciszkanin jechali wielkim buickiem, ośmioosobowym”.

W Wieliczce Konrad rozpoczął karierę szkolną. Tutaj ukończył cztery początkowe klasy polskiej szkoły powszechnej. To był ważny etap w jego życiu.

Po 1939 r. Irmgarda ulokowała swoich synów na stacji w Krakowie. Uczyli się w niemieckiej szkole. Matka zapewniła Konradowi opiekę Marii Kansy, przed wojną nauczycielki języków obcych w katowickim Gimnazjum Żeńskim. Pochodziła z polskiej rodziny od pokoleń mieszkającej w Szczepanowicach na Opolszczyźnie. Po wkroczeniu Niemców do Katowic nie przyjęła propozycji wpisania jej osoby na listę niemiecką. Oświadczyła, że czuje się

Polką. Zrezygnowała z przynależności do „Herren-volku”.

Okupanci eksmitowali ją z katowickiej willi przy ul. Kościuszki 62 i wysiedlili do Generalnej Guberni. Pracowała jako preceptorka synów Irmgardy.

Przetrwiała we wdzięcznej pamięci Konrada.

O niej to powie w swoich wspomnieniach do żony, że dramaty, które opowiadała mu jako chłopcu, były dla niego najpiękniejszymi baśniami. „...Pani Kansy kochała Strindberga i opowiadała mu jego sztuki jako bajki, gdy był jeszcze małym chłopcem...” – wspomina autorka „Opowieści o szkole przy placu Wolności” (Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1992).

W tamtych latach Irmgarda zabierała synów i odwiedzała swoich krewnych w Berlinie. Po drodze wstępowała do Wrocławia. Spacerowali ulicami dziadków Liczbińskich. Oglądali krajinę dzieciństwa i młodości swojej mamy. Po zakończeniu wojny, w liście do berlińskich ciotek i kuzynów, Konrad wspominał wrocławskich znajomych matki, ulicę obecnie nazywaną Żytnią, dworzec Świebodzki i dom towarowy przy ulicy Świdnickiej.

„Otoczony świerkami modrzewiowy dom” w Wieliczce przetrwał długie lata. Swinarski naszkicował go tuż przed śmiercią. Nie miała to być pamiątka, ale tylko projekt częściowej przebudowy garażu. Było to: „Jedynym może miejsce, do którego wracał przez całe życie. Jeszcze w latach siedemdziesiątych widziało, jak czasami przyjeżdżał tam wieczorem taksówką z Krakowa i krążył wokół tego domu.” – odnotowała prof. Joanna Walaszek (J. Walaszek, „Konrad Swinarski i jego krakowskie inscenizacje”, PIW, Warszawa 1991).

Swinarscy mieszkali w sąsiedztwie państwa Włodyków. Konrad zaprzyjaźnił się z ich synem Andrzejem. Serdeczne koleżeńskie więzi łączyły ich aż do śmierci. Andrzej pracował w Ministerstwie Obrony Narodowej. Był specjalistą w zakresie lotnictwa. Mieszkał na wojskowym osiedlu Bielany w Warszawie. Przed pechowym odlotem do Teheranu Konrad wpadł do przyjaciela na kumpelską po-



Konrad Swinarski

gawędkę. Nie wiedzieli, że jest to ich ostatnia rozmowa. Podczas pogrzebu na warszawskich Powązkach, płk Andrzej Włodyka, w galowym mundurze polskich sił powietrznych, stał nad symbolicznym grobem przyjaciela i rzucając garść ziemi, przypominał, że jest to „Ziemia przywieziona z Wieliczki!”

Mieszkańcy podkrakowskiego miasteczka – *frau* Swinarską mieli za Niemkę. Nie umieli jej zapomnieć, że we wrześniu 1939 r. na kolacjach w swojej wili podejmowała nazistowskich oficerów wkraczających do Krakowa i Małopolski. Nie przez wszystkich była akceptowana. Tamtejszy katolicki duszpasterz ks. Śliwa, w 1945 roku, spotkał ją w wyzwolonych Katowicach i o jej budzących zastrzeżenia uczynkach poinformował tutejszy Urząd Bezpieczeństwa.

Po wojnie pułkownikowa Swinarska miała też swoich polskich obrońców:

„Mieczysław Kłapa (powojenny wiceprezydent Katowic) złożył podpisaną przez wiele osób petycję w obronie Irmgardy Swinarskiej, wskazując wyraźnie, że nie tylko nie szkodziła Pola-

kom w czasie wojny, ale im pomagała. W swoim domu w Wieliczce udzielała gościny żołnierzom AK, którzy odbywali tam zebrania. Profesor historii UJ, Stanisław Gawęda, żołnierz Polski Podziemnej, związany w czasie wojny z Wieliczką, jest w każdym razie zupełnie pewien, że zachowanie pani Swinarskiej nie budziło żadnych zastrzeżeń Polski Podziemnej” – odnotowała prof. Walaszek w cytowanej powyżej monografii.

Cybińscy

W styczniu 1945 roku, gdy do Małopolski zbliżała się Armia Czerwona, Irmgarda wróciła do Katowic i przyjęła zaproszenie do domu Anety i Mietka Cybińskich. Mietek był ciotecznym bratem jej męża Karola Swinarskiego. Naza jutrz, do wuja Mietka samopas z Wieliczki dotarł 14-letni Konrad.

Mariana Liczbińskiego, brata Irmgardy już nie było w Katowicach. Pozostali krewniacy ewakuowali się na Dolny Śląsk lub jeszcze dalej. W dawnym mieszkaniu dziadków kwaterowali obcy

ludzie. Nad lokalem Liczbińskich pojawił się nowy sztyld.

U Cybińskich swoją sąsiadkę z Wieliczki wypatrzyli „dobrzy znajomi” i zawiadomili Urząd Bezpieczeństwa. Irmgarda i Konrad trafili do obozu UB w Mysłowicach. Chłopiec, jako niepełnoletni, już nazajutrz został uwolniony i wrócił do wuja Mietka. Irmgardę zatrzymano. W grudniu 1945 roku zmarła na tyfus.

Konrad został sierotą bez domu.

Po wyzwoleniu Aneta i Mieczysław mieszkali na pierwszym piętrze, w domu nr 4 przy ulicy dziś nazywanej Żwirki i Wigury. Z okien salonu mogli oglądać katowicki drapacz chmur. Pod jednym z okien ich nastoletni Kondzio każdego wieczora rozkładał łóżko polowe i zasypiał. W kącie stał fortepian, a na ścianach wisiały dziesiątki fotografów wykonanych przez wujka Cybińskiego. Znał je na pamięć. Studiował je każdego poranka; ledwie tylko otworzył oczy.

W jego domowej bibliotece Konrad trafił na księgę fotograficzną Alberta Renger-Patzscha z 1928 roku *Die Welt ist schön* (Świat jest piękny). Autor wstępu, Carl Georg Heise napisał tam: „Fotograf oddziela część charakterystyczną od mnogości pozorów, sięga po samą esencję i rezygnuje z uwodzenia widza”. Już wtedy Konrada zafascynowała idea „czystości” języka wizualnego. Bliski sercu nastolatka, skłonny do nonkonformizmu był krytycyzm wobec „nadmiernej dekoracyjności, burżuazyjnej pruderii i sformalizowanej biurokracji”, co niebawem zaprowadziło go do samego Bertolda Brechta. Esencjonalności środków wyrazu pozostał wierny do ostatnich scen swego reżyserskiego rzemiosła.

Przed wojną, w domu przy Zielonej mieli drogerię, a nad nią mieszkanie Serafina i Waślaw Cybińscy – rodzice Mieczysława. Mietek poszedł w ślady ojca. W 1928 roku uzyskał certyfikat dyplomowanego drogerzysty i otworzył własny skład z medykamentami, ziołami, chemikaliami itp. W latach 30. prowadził go w wynajętym lokalu kamienicy Alojzego Hoppena przy ulicy Kościuszki 35; mieszkał po sąsiedzku – pod 37.

Drogerzystą był z zawodu, a fotografem z zamiłowania. W ofercie swego sklepu miał aparaty i materiały fotograficzne. Był częstym gościem zakładu optyczno-fotograficznego Rajnolda Domina przy Dyrekcyjnej 4 (tuż obok hotelu „Monopol”). Zaprzyjaźnił się z nim, a jeszcze bardziej z jego siostrą Anetą. Została jego żoną.

W 1934 roku w salach ekskluzywnego Domu Oświatowego przy Francuskiej 12, podczas pierwszej katowickiej wystawy prac fotografików śląskich M. Cybiński zaprezentował autorskie zdjęcia i był jednym z założycieli Śląskie-

go Towarzystwa Miłośników Fotografii, któremu przewodniczył Józef Hawliczek. O jego aktywności artystycznej świadczył udział w kolejnych wystawach, a dzisiaj także liczne prezentacje jego prac na stronach internetowych. Również i po wojnie Cybiński był postrzegany jako jeden z liderów i autorytetów środowiska śląskich fotografików.

Jego zapal twórczy i pomysły na życie miały znaczący wpływ na rozbudzenie zamiłowania Konrada do rysunku, scenografii i sztuk pięknych, które niespodziewanie objawiły się na progu katowickiego okresu pierwszej młodości artysty Swinarskiego.

W 1945 roku Aneta Cybińska przejęła prowadzenie składu fotograficznego przy ulicy Dyrekcyjnej 4, do końca okupacji należącego do jej tragicznie zmarłego brata Rajnolda Domina. Duszą i gospodarzem tego przybytku został oczywiście Mietek Cybiński. Po lekcjach w gimnazjum Mickiewicza 16-letni Konrad biegał do magicznego atelier. Był zafascynowany fotografią i towarzystwem nieco starszych od niego entuzjastów, którzy tam przychodzili. Sztuka fotografowania pasjonowała go nie mniej niż sekrety malowania i rysowania.

W niedzielę jeździli do pobliskich Paprocian. Tam znajdował się stylowy pałacyk i urocze jezioro z fauną i florą zachęcającą do filmowych i reżyserskich eksperymentów.

„Konrad brał kamerę i coś zawsze kręcił. Jakieś kwiaty, latające ważki. Najpierw filmował czeską Admirę ośmiomilimetrową – wspominał Edward Poloczek, który wtedy zajmował się filmem amatorskim – później niemiecką Agfą. Na początku były to jakieś scenki rodzinne i przyrodnicze”.

Cybińskim Konrad zawdzięcza nie tylko rozbudzenie zamiłowania do twórczości artystycznej, ale także inspirację i wsparcie jego ambitnych starań o świadectwo dojrzałości, a może i determinację, z jaką walczył o swoje miejsce w świecie teatru, sztuki, a potem kultury narodowej. Nie bez ich aprobaty w 1945 roku został uczniem klasy III a w Gimnazjum i Liceum Męskim im. A. Mickiewicza w Katowicach. Rok później został uczniem klasy IV, a 26 czerwca 1946 roku dyrektora liceum wydała świadectwo wtedy uznawane za małą maturę. Jego oryginał ocalał w szkolnych archiwach, a odpis w monografii prof. J. Walaszek.

W liście z 1948 roku Swinarski napisał: „W gimnazjum miałem wiele trudności – zaczęli wymagać papierów. Postanowiłem zatem ukończyć jedynie czwartą klasę i wynieść się. Tak też się stało. Otrzymałem tzw. małą maturę i poszedłem sobie”.

Po konsultacji z wujem Mietkiem wybrał swoją pierwszą szkołę artystyczną.

W 1947 r., w katowickiej PWSSP prof. Aleksandra Raka zaliczył 2 semestry. Tam zaprzyjaźnił się ze studentami. Byli zafascynowani awangardowym malarstwem i teoriami Władysława Strzemińskiego. Utrzymywał z nimi koleżeńskie kontakty, również wtedy, gdy kontynuował studia w Sopocie.

Po kilku latach założyli grupę artystyczną o nazwie „St-53”. Należała do niej malarka Urszula Broll (1930–2020), później twórczyni grupy Oneiron i jedna z pierwszych polskich budystek pochowana w Centrum Buddyjskim Bencien Karma Kamtsang w Grabniku na Mazowszu. O swoim koleędzie ze szkoły plastycznej wspominała:

„Poznałam Konrada z Kladiuszem Jędrusikiem, który zdobywał skądś literaturę francuską i pożyczal kolegom, przez to tworzyła się nieformalna grupa. Konrad nie był jej organizatorem, lecz przez swoją fascynację Strzemińskim nadał jej profil. Był z nas najbardziej wybijającym się umysłem, można powiedzieć – teoretykiem grupy. Jak coś mu się podobalo, to miał takie swoje określenie: «uczciwie namalowane”.

Po zaliczeniu pierwszego roku w szkole prof. Raka, przy ulicy Stawowej, Konrad zmienił uczelnię. Przeprowadził się do Sopotu, gdzie podjął studia na Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Tam zaliczył II rok, a jednocześnie otrzymał „półdyplom, zostając równocześnie zwykłym studentem zatwierdzonym przez Ministerstwo”. Tym sposobem, uzyskał formalne uprawnienia i stypendialne zabezpieczenie dla realizacji planów życiowych związanych z doskonaleniem swoich bliżej nierozpoznanych jeszcze talentów i predyspozycji artystycznych.

Wciąż poszukiwał.

Nawet gdy w Łodzi zdał do Wyższej Szkoły Filmowej, to nadal jednak kusily go wykłady i ćwiczenia na Wydziale Plastyki Sceny przy tamtejszej PWSP. Za swoich mistrzów i nauczycieli uważał: Władysława Strzemińskiego, a jako student wydziału reżyserii PWST w Warszawie – Leona Schillera, Bohdana Korzeniewskiego i Erwina Axera.

Po latach wyznał:

„Uważam po prostu, że los mnie rzucił do teatru, a jest on sprawą żywą, dziejącą się między żywymi ludźmi. Gdybym miał talent pisarski, prawdopodobnie byłbym pisarzem; gdybym miał talent plastyka, zostałbym nim z pewnością. Uważam, że teatr był ostatnią możliwością, jaka zaistniała w moim życiu”.

Resume

Katowicki epizod w biografii Swinarskiego trwał niespełna dwa i pół roku.

Edek Poloczek zapamiętał projekcję krótkometrażówki nakręconej przez Konrada Swinarskiego. Była filmowym reportażem z uroczystości zaślubin Edwarda z jego wybranką Krystyną. Odbłyły

się w 1947 roku, w kościele Mariackim.

Gdy rozmawiali o scenariuszu, Konrad zwierzył się przyjacielowi, że dokładnie 20 lat wcześniej w 1927 roku, w tej samej świątyni odbył się ślub jego rodziców Irmgardy i Karola Swinarskich.

W jego ekranizacji wierzchołek dachowej wieży kościoła dwukrotnie dotyka wysokiego nieba. To pełen poezji, reżyserski skrót, wymowna metafora i dyskretna ezoteryczna aluzja rozpoznawalna tylko przez przyjaciół umiających zrozumieć metafizyczną nadbudowę i podglebie zdarzeń, myśli i emocji.

W świadomości Konrada Katowice zaistniały na zawsze.

Po 1945 roku nastoletni Konrad często przechodził obok narożnej kamienicy Froelichów na roku Rynku i Mickiewicza. Wiedział, że przed wojną mieściła się tam kawiarnia dziadka Liczbińskiego. Z jej okien roztaczał się widok na fasadę teatru zwieńczoną greckim rydwanem zaprzężonym w mityczne rumaki a powożonym przez boskiego Apollina – patrona olimpijskich Muz i artystów.

To tutaj, naprzeciwno, za szybą lokalu pachnącego cukrowanymi owocami, kawą i gorącą czekoladą tata spotkał mamę.

Czy kiedykolwiek marzyła o Parnasie dla swego syna?

Z okien panińskiego pokoju nad kawiarnią oglądała fronton gimnazjum Mickiewicza. Nie przypuszczała, że jej beniaminek będzie kiedyś uczniem tej szkoły.

Po wojnie nad wejściem do cukierni, teraz należącej do Franciszka Cwiękały, znalazł się nowy szyld – „Wiedeńska”. W mieszkaniu nad lokalem zadomowili się obcy ludzie. ■

PS. O przyjęcie podziękowań za konsultacje i odkrywcze kwerendy autor prosi: panią dr Barbarę Maresz z Biblioteki Śląskiej, siostrę Krzysztofę z parafii NPNMP w Katowicach oraz pana Krzysztofa Ślusarczyka, studenta wydziału prawa UŚ!



Grób Konrada Swinarskiego, Powązk

Leonard Neuger

2 kwietnia 1947 – 9 lipca 2021

Kadisz sierocy

MARIAN KISIEL



1 Jedno z pierwszych moich wspomnień jest takie: aula przy ulicy Bieruta 11, słynna „ósemka”, wypełniona po brzegi studentami i wykładowcami zagłębiowskiej polonistyki. Fotele zajęte, schodami nie da się przejść, wielu stoi pod ścianą. Wykładowców właściwie nie powinno tu być, bo od 23 listopada 1981 roku budynek był okupowany przez Niezależne Zrzeszenie Studentów, trwał strajk solidarnościowy z Wyższą Szkołą Pożarnictwa w Warszawie. Ale był to strajk odmienny od innych strajków. Studenci uznali, pewnie za czynią podpowiedzią, że okupacja okupacją, ale wartością strajku nie powinien być bunt *per se*, i że należy budować wspólnotę intelektualną, o ile to możliwe, i o ile kto chce.

Tego dnia więc „ósemka” była wypełniona po brzegi. Leonard Neuger czytał *Bankiet* Witolda Gombrowicza. Czytał, śmiał się (a my z nim), cieszył się lekturą tak, jakby to było pierwsze zetknięcie z opowiadaniem wielkiego prześmiewcy, który – jak Gogol – uświadamiał nam, że śmiejemy się sami z siebie. Zapewne ten interpretacyjny popis, koncert charyzmatycznego lektora, który nie chciał ujawniać swojej wyższości nad słuchaczem, zapadł w pamięci wielu uczestnikom tamtego spotkania sprzed czterdziestu lat. Podobnie jak o kilka dni późniejsza lektura *Armii konnej* Izaaka Babla.

A teraz, stojąc nad trumną Leonarda Neugera na Nowym Cmentarzu Żydowskim na Grzegórkach, patrząc na twarze jego przyjaciół z różnych stron świata, skupionych, wzruszonych, ale też uśmiechniętych (bo Umarły powiedział do zebranych słowami Córki, że cieszy się z tego spotkania, ale powinniśmy wrócić

do swoich spraw, bo przecież mamy coś do roboty), znów miałem przekonanie, że jestem na Spotkaniu, które nie jest *per se*, ale właśnie cementuje wspólnotę. Jaka ona jest, taka jest, ale bez niej tylko, wyłącznie i bezbrzeżnie byłaby – pustka.

2 Nie umiera się „na zawsze”, umiera się tylko „na chwilę”. Parafrazując w ten sposób Horacego, chciałbym odwrócić myśl Emila Ciorana, że istnienie jest plagiatem. Nie, to śmierć jest plagiatem; nie do zaakceptowania; tak samo kategoryczna, jak bezwstydnie pewna swego. Istnienie jest pełnią, upomina się o swoje i wtedy jaśniej potężniej, kiedy wydaje się, że wszystko zapadło w nieprzebraną ciemność. Wspominając Leonarda Neugera, nie mogę o nim myśleć w kategoriach domkniętego istnienia. Był zbyt jasną postacią, zbyt wiele dawał nam słonecznej nadziei, byśmy mogli uznać, że oto dokonało się coś, co zamyka na wieczność. Zamyka, to pewne. Ale nie na wieczność, tylko na chwilę. Przynajmniej, póki starczy naszego życia i naszej pamięci, albo naszej woli pamiętania.

Przetłumaczył kiedyś wiersz Tomasza Tranströmera, którego wielkiego przyjaciela. Wiersz nosi tytuł *Wspomnienia mnie widzą*. Widać w nim tę samą dobrą ironię, jaką nas Leon obdarzał na co dzień: „Ranek czerwcowy gdy za wcześniej / by wstać ale za późno by znów usnąć. // Muszę wyjść w zieleń przepelnioną / wspomnieniami; śledzą mnie spojrzeniem. // Nie widać ich, całkiem się stapiają / z tłem, kameleony doskonałe. // Są tak blisko, że słyszę ich oddech, / choć pieśń ptasia jest ogłuszająca”.

3 Leonard Neuger był ujmujący w swojej niechęci do wielkości, potrafił spojrzeć na siebie z oddalenia. Rosyjskie przysłowie mówi: „Twarzą w twarz nie zobaczysz twarzy”. Tym, którzy weszli na piedestał i z zadowoleniem się na nim umościłi, radził, by z niego zeszedli. Przypominał, że to wszystko jest na chwilę i że do próżności świata należy podchodzić z dystansem, albowiem Stwórca – jak uczył Syrach – „odda człowiekowi według jego czynów, dzieła zaś ludzi osądzi według ich zamiarów”. Ale, oczywiście, był w tym pouczeniu, jak zawsze, delikatny i wyrozumiały.

Umiał tłumaczyć ludzkie wybory i starał się je zrozumieć. Jako Polak i polski Żyd doświadczył upokorzenia po roku 1968, ale nigdy nie uległ radykalnej i nienawistnej mowie, jaką zaczęto wtedy upowszechniać. Napisał w ważnym, choć ciągle słabo znanym szkicu *Żydzi w powojennej poezji polskiej*, który był także jego rozliczeniem się z dwoma swoimi płucami, polskim i żydowskim: „Myślę, że tak jak holocaust był momentem różnicy losu, był odnajdywaniem symboli podziału, tak 1968 rok to był początek doświadczonej wspólnoty losu”.

Po 1968 roku, wyrzucony ze studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim, ukończył je później za sprawą Kazimierza Wyki, a potem wszedł był w zawód nauczyciela języka angielskiego. Nic nie dzieje się bez powodu. Ten język pomógł mu później, kiedy wyrzucony z Uniwersytetu Śląskiego w stanie wojennym, poniekąd bez nadziei na kontynuowanie zawodu, odnalazł się w środowisku slawistów szwedzkich, stając się rychło ich niekwestionowanym men-

torem. Nie zachował do nikogo urazy, „wspólnota losu” nie może opierać swojego bytu na urazach.

4

Był wybitnym eseistą. Nie był uczonym w myśl polskich standardów, które nakazują czernić papier i powoływać się na jakieś metodologiczne nowinki. Był uczonym w starym stylu, gdzie nie trzeba wykazywać się znajomością zagranicznych prac, by udowodnić swoją uczoność. Jego eseje napisane polszczyzną najwyższej próby, jakby zostały obrobione w mistrzowskim zakładzie jubilerskim, przykują do siebie prostotą wyśłowienia i błyskotliwością skojarzeń. Traktują one o wierszach, których odczytania opatrywał skromną etykietą: „pomysły do interpretacji”, ale i o ważnych kwestiach natury ogólnej. Literatury nie dzielił podług gatunków ani podług idei. Neuger umiał czytać i uczył czytać innych. Profesor Henryk Markiewicz powiedziałaby pewnie z iskierką w oku, że u tego uczonego ucznia widać wszystkie pokłady ergografiki. Tak widać. Albowiem Neuger chciał zadołować się w takich dyskursach, które odkrywają w polszczyźnie mądrość i uniwersalnej to, co ważne dla pojedynczego losu i dla wspólnoty.

Czytał więc polskich romantyków (Mickiewicza, Słowackiego, Norwida), Sienkiewicza (jako pierwszy pochylał się nad „ciałem męskim” w *Potopie*), Gombrowicza, Skamandrytów, Broniewskiego, Miłosza... Nie szukamy w jego wyborach spójności. Neuger cieszył się lekturą, wielokrotnością lektury, a nie tym, że uda mu się z pisanych esejów złożyć spójną i nudną książkę. To go nie interesowało, dlatego *Pomysły do interpretacji* (1997), *Ćwiczenia z wrażliwości* (2006), czy też wyjątkowej urody zbiór *Z perspektywy tłumacza* (1997), są poniekąd nieuporządkowane, ale też pozabawione postmodernistycznej dezynwoltury.

Neuger był hermeneutą. Lektura hermeneutyczna, do której przyznaje się tak wielu, że już czasami nie wiadomo, co kryje się za tym określeniem, ujawniła się w przywołanych zbiorach pod postacią ważnego czytania. Czytało nieuważnie, pobieżnie w ogóle nie ma sensu. Wiemy, że wszyscy nakładają do uważności – zwolennicy krytyki warsztatowej, przedstawiciele Szkoły Genewskiej itd. Neuger wyprowadzał wszakże swoje czytanie z rozsądku strukturalistów, nakazujących patrzeć na formę i z szaleństwa genetyków, przypominających o wartości źródeł. Twierdził przy tym, że literatura poza strukturalno-genetycznym porządkiem skazuje się na samotność i banał. Tradycja – nawet niemądra i denerwująca – zawsze daje nam ja-

kieś oparcie w pewności, a struktura – nawet powtarzalna i nudząca – nadzieję, że jesteśmy w świecie znanym, więc bezpiecznym.

Tę hermeneutyczną perspektywę widać w sztuce portretu. A Leonard Neuger lubił portrety. Nie polskie, ale szwedzkie. Pisząc o Bellmanie, Martinsonie, Tranströmerze, Södergran przybliżał nie tylko ich poezję, ale również ich postacie. Szkic o Eriku Johanie Stagneliusie zaczął słowami; „Wiemy o nim niewiele. A i to, czym dysponujemy budzi wątpliwości [...]”. A potem – już z perspektywy tłumacza – napisał: „Stagnelius mówi oczywiście nie swoimi słowami, mówi moimi... Czytelnik raczy wybaczyć pychę i szaleństwo przedsięwzięcia – alternatywą jest bezgłos”.

Bezgłos jest w ogóle alternatywą dla podejmowania myślenia o literaturze. Neuger miał świadomość, że tłumacząc poezję, tłumaczy ludzi. Mówił o tym wielokrotnie i pięknie tę jego cechę utrwalili w nekrologu przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego”. Tłumaczenie poezji koncentrowało się najpierw na języku, potem na tradycji, a – w ostateczności – na domu. Czy ten model tłumaczenia słów i ludzi brał się ze starej szkoły krytycznoliterackiej Wyki, czy z nowszej szkoły Janion, czy z praktyk hermeneutycznych Kerenyi’ego? Nie wiem. Każda z nich jakoś kształtowała myślenie egzegetyczne w latach młodości Neugera. I pewnie ona doprowadziła go do przekładu – ze szwedzkiego na polski – *Pochwały nicości* Marcii Sá Cavalcante Schuback.

Tłumacz eseista podpisałby się pod jej słowami: „Gdy to, co obce w tym, co znane traktowane jest serio, powstaje moment, kiedy w życie – bezsłownie i cicho – wkracza niewiedza, jak dzieje się to w chwili, gdy patrzymy na coś po raz pierwszy. Ta momentalna otwartość albo cezura nie jest stanem, lecz raczej punktem zwrotnym, w którym może powstać nowe znaczenie i rozumienie. Owa obecność nicości jest mocą odnawiającą świat [...]”.

5

Neuger nie bał się przyznać do tego, że coś mu sprawiało lekturowy kłopot, ale też bawił się interpretacyjną niezgodą. Interpretacja – w jego rozumieniu – była jedną z form debaty, rozmowy, dialogu; repetycją głosów dawnych i przywołaniem głosów nowych; tez jasnych i tez ciemnych. Czytając jego eseje, jesteśmy włączeni w ich mowny charakter, hermeneuta nie spuszcza z nas oczu. Jego styl pisany jest stylem rozmowy. Wskaźniki tego stylu zawierają się w takich zwrotach: „Jeśli moje rozumowanie jest słuszne, to [...]”; „Czy [...]? Myślę, że nie do końca”; „To prawda”; „Owszem”; „Muszę przyznać, że [...]”.

Jakbyśmy z perypatetykiem zwiedzali ogrody mądrości.

Jasność była właściwą nauczycielskiej (hermeneuta jest nauczycielem) pasji Leonarda Neugera. Chociaż pytał o teksty dawne, romantyczne, o wiele bardziej interesowała go współczesność. Wiek XX był jego światem, a eseista był przekonany, że mógł on rozjaśnić to, co zdarzyło się w przeszłości i to, co jeszcze może się zdarzyć, kiedy przestaniemy być czujni. Dlatego nie tylko czytał „wywalającego Polaka z Polski” Gombrowicza (niezwykły esej *Polskość jako cel*), ale także książki zbójcekie Andrzejewskiego, Brandysa, Strykowskiego i Konwickiego. Interesowała go zależność między gestem i unikiem, postawą otwartą i kompromisem, buntem i zgodą. Te opozycje tylko pozornie są literackie. Dla Neugera były wyjęte z jego życia, okupionego wyborem tożsamościowym, politycznym i ludzkim. Przejmująco aktualnie brzmią, napisane przed trzydziestu laty, jego słowa o Gombrowiczu – „pisarzu środkowoeuropejskim”:

„Naturalnym dla niego kontekstem jest kultura posiadająca w pamięci i/lub w realiach represję i opresję, i która w swym funkcjonowaniu wyzwala ze zniewalającą siłą swe własne represywno-opresywne pierwiastki: nacjonalizm, totalitaryzm, prowincjonalizm czy anachonizm, jako środki prewencyjne, zbawcze, czy tylko jako środki umożliwiające ucieczkę od wolności, jak ją rozumiał Erich Fromm. Kultura dążąca do zamknięcia i produkująca ideologie zamknięcia. W dyskusjach nad Europą Środkową ta demoniczna jej twarz pojawia się jako spychane na margines *memento*. Gombrowicz przywraca tej Europie jej demony, by je spożytkować. Dlatego *potrzebuje* centrum świata. Przechadza się po tym centrum i pokazuje, jak łatwo i naiwnie, i kłamliwie próbujemy te demony uspić. Jak bardzo chcemy o nich zapomnieć”.

6

Wtorek 20 lipca był słoneczny, nawet upalny. Szliśmy na cmentarz przy ulicy Miodowej atakowani z zewsząd najeżdżającymi koparkami, spychaczami. Kraków nie próżnował w dążeniu do upiększania miasta. Odbierało to powagę ostatniego pożegnania. Tak myślałem wtedy. Ale teraz myślę inaczej. Bo co buntuje się przeciwko śmierci? Życie. Koparki, pneumatyczne młoty, które zakłócały uroczystość pogrzebową, głośzące rozmowę w kondukcie żałobnym – były po stronie życia.

Dlatego nad trumną Leonarda Neugera powtarzaliśmy za rabinem kadysh sierocy: „Niech będzie wywyższone i poświęcone wielkie Imię Jego, w świecie, który sam stworzył według Swej woli”.



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Wilno – część „Kresowej Atlantydy”

Owo metaforyczne pojęcie to oczywiście tytuł wielotomowego dzieła autorstwa Stanisława Sławomira Nicieji. Lektura „Kresowej Atlantydy” zawsze wywołuje u czytelnika wiele skojarzeń. Pobudza wyobraźnię, zmusza do refleksji. Natomiast u byłych mieszkańców wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej nasuwa różnorodne wspomnienia. Dziś już coraz bardziej są wydobywane z mroków zapomnienia. Coraz częściej mgliste; bywa, że i nostalgiczne, rzewne. Natomiast u pozostałych czytelników zaspakajana jest wiedza o tych ziemiach. Nieraz rodzą się niespotykane konteksty; niekiedy nawet swoisty nowy namysł. Również u mnie praca Profesora wywołuje wiele skojarzeń i to nie tylko związanych z lekturą dzieła, ale i opowiadanymi mi reakcjami czytelników. Zatem na początku odwołam się do pewnego zdarzenia sprzed trzech lat. Wtedy to miałem możliwość czytania zapisów z rozmów córki z ojcem; ojcem rodem z Sambora. On to wspomina, jak przed laty szedł w Katowicach ulicą 3 maja i dotarł do znajdującej się tam księgarni: „Wszedłem i zobaczyłem książkę o cmentarzu Łyczakowskim – wyjaśnijmy, iż narrator odwołuje się do pracy wspomnianego Profesora „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” wydanej w 1990 roku – a ręce mi drżały. Przypomniałem sobie, jak tam chodziłem za tamtej Polski z moim ojcem i bratem Zbyszkciem. Książki nie kupiłem. Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Jak wyszedłem? Nie pamiętam”. A dalej wspomina, że zadzwonił do znajomego i opowiedział o swojej przygodzie. „On do mnie powiedział, że książkę już ma i każdego dnia modli się za jej autora”. I jeszcze moje wieloletnie przypadki z Wileńszczyzny, w tym te z 2015 roku. Wtedy moi znajomi i przyjaciele, a nade wszystko ci moich ukochanych Rudnik Królewskich z utęsknieniem czekali na książkę Ni-

cieji o swoim mieście; mieście Matki Boskiej Ostrobramskiej. I oto niedawno spełniło się ich marzenie. W serii „Kresowa Atlantyda” ukazał się tom XV. To tom o Wilnie. Jak zawsze także w tym przypadku jesteśmy zaproszeni przez Autora do udziału w niezwykłej podróży. Od czasów dawnych, w tym tych pięknych jagiellońskich, i późniejszych – i ich różnorodnych konsekwencji – aż do terażniejszości. W tym pejzażu, także swoistej kulturowej perspektywie „ciągłości i zmiany”, wiedzie nas Autor po traktach znanych i nieznanym; poznaje nas też z osobami wybitnymi i mniej znanymi. Także postaciami, które w tej przestrzeni przyszły na świat, ale po 1945 roku – z wyroku historii – żyli już w innych.

A wszystko to dzięki kompetencji Nicieji, intrygującym skojarzeniom, a wreszcie barwności języka, poznajemy w urozmaiconej perspektywie kulturowej, szerokiej panoramie dziedzictwa i tradycji polskiej i regionalnej. Poznajemy także znaczenie ludzi z tych terenów w dobie PRL-u i współczesnej. I dodajmy, że oczywiście po 1945 roku to miasto żyło już kategorią inną, innym życiem, wszak poddane zostało wieloaspektowej sowietyzacji. Także inaczej żyje Wilno obecnie; już w wolnej Litwie. Teraz dominują już tylko dwie kultury, czyli litewska i polska. Żydowska została zamordowana, a kres jej nosicieleli następował w Ponarach. A przecież Wilno zawsze było przestrzenią dialogu. Warto w tym miejscu odwołać się do Włodzimierza Paźniewskiego – znakomitości w polskiej eseistyce – na którego Nicieja także się powołuje, a pisze: „Wilno pozostanie znakiem tej europejskiej kultury, która nigdy nie spała szafców, ale raczej otwierała bramy. Odmienność nie była dla niej zniechęceniem, jeśli wszystko, co znalazło się w zasięgu jej światła, fermentowało i podlegała jej jakiejś wyjątkowej sublimacji, stając się

niewidzialnym pomostem”. Ale i dziś jest to miasto otwarte, czego dowodem jest choćby wileńska Republika Zarzecze, do której wchodzimy przez most miłości, co symbolizują zawieszona tam masowo kłódki, dowód trwałości uczucia. A czy do rangi symbolu nie urasta to, że trzej nobliści, czyli Czesław Miłosz, Wisława Szymborska i Günter Grass właśnie w Wilnie odsłaniali w 2000 roku tablicę kolejnego noblisty – Josipa Brodskiego?

Niezwykła uroda, atmosfera tego miasta prawdziwie zawiera się w tym, że wszelka odmienność nie była tu dramatem, ale wartością; po prostu trwałym elementem rozwoju. Niezwykły duchowy wymiar miasta zawiera się także w sferze materialnej, w jego architekturze, religijnej – tej bajecznej, barokowej, świeckiej – tej wybitnej, jak i zwykłych domach. A ulice, zaułki to już czar niepowtarzalny. Bo Wilno urzeka w każdym wymiarze. Wszak już Władysław Syrokomla pisał o tym mieście, że to „pieszczota pięknej natury”. Wilno urzekało i urzeka. I tak największy miłośnik miasta, marszałek Józef Piłsudski w czasie zjazdu legionistów w Wilnie w 1928 roku, mówił: „Miasto-symbol naszej wielkiej kultury, ongiś potęga”. Miasto było od dawna mitologizowane, niezależnie od narodowości. Dla wielu było i jest, nie tylko dla Tadeusza Konwickiego, swoistą „obsesją”. A dziś dla wielu typowa jest – jak dowodzi Nicieja – charakterystyczna nostalgia, po prostu „wileńska nostalgia”. Bo przecież dla ludzi rodem z Wilna lub z nim związanych pozostanie w ich sercu do „ostatniego tchnienia”, co mówiła zawsze znakomita fenomenolożka i pani premiera profesor Cezaria Anna Baudouin de Courtenay-Ehrenkreutz-Jędrzejewiczowa. A to ustawicznie powtarza jej wnuczka Marta Ehrenkreutz, przyjaciółka naszego domu.

A najważniejsze jest to, aby czytać „Kresową Atlantydę”.

Nasłuchiwanie natury; ogród japoński

ANNA KORUSIEWICZ, MARIA KORUSIEWICZ

Należy najpierw ułożyć głaz główny, tzn. ten posiadający najwyraźniejsze cechy, a potem ustawić każdy następny tak, by zadowolić główny głaz.

Sakuteiki, japoński traktat o sztuce zakładania ogrodów

Ogród – przestrzeń spotkania

Zastanawiając się nad tajemnicą sławnych japońskich ogrodów, szczególnie tych wyrastających z tradycji buddyźmu zen, warto przypomnieć krótko, czym jest „ogród” w tradycjach kultur; co oznacza dla tych, którzy go na rozliczne sposoby „użytkują”. Takie pytanie jest możliwe, ponieważ niezależnie od geografii, czasu, czy też specyfiki kultury ogród jest miejscem, w którym natura bezpośrednio styka się z tym, co ludzkie. Jest więc przestrzenią mediacji, gdzie natura podlega wpływowi estetyki, filozofii, religii, ale także relacji społecznych, zwyczajów, czy po prostu chwilowej mody i możliwości finansowych swoich twórców. W rezultacie to właśnie w ogrodzie najwyraźniej uwidacznia się stosunek człowieka do otaczającego go świata, jego wizja własnego miejsca pośród innych bytów, czy to będzie dopuszczenie do głosu sosen, kwiatów i wody, czy też ścisła kontrola każdego źdźbła trawy, któremu nigdy nie pozwolimy dorosnąć, tnąc i kosząc, wyrwijając te niepokorne, póki nie uzyskamy jednowymiarowej planszy, już bez żadnej Tajemnicy.

Lecz w naszych wyobrażeniach, ogród to nieprzypadkowo zawsze miejsce zakłete, przestrzeń święta. Historia ogrodu to historia Raju, gdzie Bóg przechadza się z człowiekiem, a lew odpoczywa obok jagnięcia. Przez blisko trzy tysiące lat Żydzi, a później także chrześcijanie, uważali przekaz z Księgi Genesis za historyczny dokument mówiący o cudownym ogrodzie Edenu. Słowo „raj”, które tłumacze Septuaginty przełożyli poprzez wyraz *paradeisos*, odwołuje się do hebrajskiego *pardes*. Z kolei oryginalne brzmienie tego, obcego dla Hebrajczyków, słowa to perskie *apiri daeza*, które opisuje obszar wydzielony otoczony murem; jego mglisty obraz sięga więc okresu niewoli babilońskiej, jak przywołuje autor *Historii Raju*, Jean Delumeau. Ten cudowny ogród, królestwo nieśmiertelności, obfitujący w wodę i bogactwo zwierząt i roślin powstał na podobieństwo bajecznych ogrodów dawnego Wschodu, a jego opisy

biegną wstecz do sumeryjskich opowieści o bogu Enki i Gilgameszu. Dopiero później grecko-rzymską wyobraźnią, która do dziś nam towarzyszy, zawładnęły ogrody Wysp Szczęśliwych, tematy wieku złotego, natury przyjaznej i otwierającej się na przyjęcie człowieka jak pachnący kwiat. Pozostał więc nam niemal strukturalny związek pomiędzy szczęściem a ogrodem.

Ogród to miejsce rozkoszy; malowany przez Hieronima Boscha, łączony z ustronnymi haremami Arabii, z erotyzmem i tajemnicą kobiecości. Jest to także *hortus inclusus*, ogród zamknięty, dostępny tylko dla nielicznych, dla wybranych, jak ulubienica z *Pieśni nad pieśniami*. To także renesansowy, a potem barokowy *giardano segreto*, przeznaczony dla doznań intymnych. Dla nas, po doświadczeniach psychoanalizy, może łączyć się z wyprawami do głębin własnej jaźni, z jungowską próbą odnalezienia samych siebie. Bo przecież ogród to także staropolski Ogrójec, piękny ogród, w którym Anioł podaje kielich goryczy Chrystusowi, dalekie zwierciadło Raju, miejsce wyboru Dobra lub Zła.

W kulturze zachodniej ogród to miejsce, które otwiera się przed nami na początku i na końcu naszej egzystencji, to nie tylko raj Wysp Szczęśliwych, nagroda za cnotliwe życie, ale także zaczarowana kraina dzieciństwa, do której klucze leżą zagubione pod bramą, co zniknęła w gęstwinie ‘dorosłych’ spraw. Powrót może jednak przywrócić nam zdrowie i radość życia jak Colinowi i Mary, bohaterom powieści *Tajemniczy ogród*.

W tradycji europejskiej odwiedzamy rygorystyczne ogrody francuskie, nastrojowo-sentymentalne ogrody angielskie, ogrody neogotyckie usiane romantycznymi ruinami. Chodzimy po zagrabionych ścieżkach, biegamy na bosaka po trawnikach, przedzieramy się przez gąszcz różanych krzewów. Zawsze w słońcu, zawsze dążąc do światła. Ogrody Europy są wrazem tęsknoty za światłem, za pełnią dnia, pełnią lata. Wtedy rozkwitają. Inaczej ogrody Japonii.

Pochwała cienia

Tanizaki Junichiro, autor sławnej książki o kulturze i architekturze japońskiej, pisał: „Tacy już jesteśmy, że piękno znajdujemy nie w rzeczach, ale w smugach cienia, które powstają poprzez oddziaływanie rzeczy na siebie, w grze światła i cienia. Nie ma piękna bez cienia”. Po czym zapytuje: „Dlaczego skłonność do szuka-

nia piękna w ciemności występuje z taką siłą tylko u ludzi Wschodu? [...] Sądzę, że istnieje w naszym usposobieniu skłonność do godzenia się z zastaną rzeczywistością, że szukamy zadowolenia w otoczeniu, w którym przyszło nam żyć. Ciemność nie budzi więc naszego protestu. [...] Zanurzeni w mroku odkrywamy w nim, na przekór, szczególnie piękno”.

Jak więc opisywać i interpretować ogrody japońskie, szczególnie z perspektywy naszych przyzwyczajzeń? Wiadomo, że najbliższe są europejskim ogrodom krajobrazowym, wykorzystującym motywy naturalnego pejzażu, ale to podobieństwo jest powierzchowne. Podstawą różnicy pomiędzy nimi jest ogólna wizja świata, podejście do więzi łączących ludzi, a naturą, typem duchowości i ścieżki filozofii. W przypadku Japonii będą to przede wszystkim nakładające się na siebie tradycje animistycznego shinto, bogactwa koncepcji buddyźmu, w tym buddyźmu zen, i doktryn konfucjanizmu. Japonia, kraj odizolowany na swoim archipelagu, czerpiąc inspirację z kultur Chin, czy Korei wypracowała własną sztukę ogrodów stanowiącą niezwykle ważny i trwały element życia jej mieszkańców. Ogród jest tu miejscem przenikania się wewnętrznego świata psychiki i tego, co – tylko pozornie – jest wobec człowieka zewnętrzne. Jest więc otwarciem na akceptację i zrozumienie jedności rzeczy, otwiera furtkę do oświecenia poprzez wyrefinowaną, ścisłą formułę piękna, ulotnej urody przemijania w nieustannym trwaniu istnienia ospującego się w nieistnieniu.

Harmonia przeciwieństw

Ogród japoński to przestrzeń, w której, jak w oku cyklonu, rodzi się harmonia przeciwieństw i tak też często bywa odbierany przez gości z krajów zachodnich i to niezależnie od typu ogrodu. A jest ich wiele. Są ogrody prywatne, publiczne, przyświątynne, czy też pałacowe, ogrody związane z ceremonią herbaty, czy dedykowane kontemplacji. Dwa podstawowe style ogrodów to *tsukiyama* z małymi pagórkami, głazami, wodą i roślinnością oraz *karesansui* – styl suchego ogrodu ze zwirem przedstawiającym wodę, głazami wyobrażającymi wyspy i grabionym piaskiem sugerującym fale. Można też dzielić je na ogrody zwojowe, projektowane tak, by można było je podziwiać, jak niemal dwuwymiarowy zwój (obraz), z wnętrza domu lub tarasu, oraz spacerowe, zachę-

cające do oglądania podczas przechadzki lub wycieczki łódką.

Sama zasada ogrodu pozostaje jednak podobna. Kolejne cechy dopełniają się mimo swej sprzeczności: harmonia spotyka się z asymetrią, prostota z wyrafinowaniem, czy wręcz malowniczością, fragmentaryczność z elegancją całości projektu, miniaturyzacja z rozmachem. Ogród to miejsce, w którym natura zachowując swoją czystość i bezpośredniość, staje się jednocześnie kulturowym autotelicznym znakiem samej siebie. Natura staje się więc kulturą, a jednocześnie – sztuką. Naśladownictwo natury nigdy nie jest jednak prostym kopiowaniem. Już XI-wieczny traktat *Notatki o Urządzaniu Ogrodów (Sakuteiki)* zaleca pobierać nauki u natury, ale nigdy jej nie kopiować.

Zgodnie z powyższym, wśród reguł projektowania ogrodu najbardziej cenną była, i nadal jest, umiejętność odkrywania kompozycji i „nastroju” (*fuzei*), który sugerują same elementy naturalne umieszczone lub odnajdywane w jego obrębie, jak naturalne ukształtowanie terenu, typ roślinności, bieg wody. Słowo *fuzei* odzwierciedla świadomość oddziaływania ogrodu, jego kompozycji, użytych materiałów i powstających na jego widok asocjacji, na psychikę człowieka. W tym kontekście można wskazywać na związek pomiędzy ideą podążania za „duchem” miejsca, a wierzeniami animistycznymi *shintō*. Właściwe rozpoznanie natury danego miejsca możliwe jest tylko poprzez bezpośrednie i głębokie doświadczenie angażujące wszystkie zmysły, intelekt i serce człowieka, czyli wspomniane już wcześniej „wniknięcie” w krajobraz.

Słuchać głosu kamienia

Wśród obiektów, dla których to człowiek znajduje miejsce w ogrodzie, atencją otaczane są przede wszystkim większe głazy. Niewiele kultur ceni kamień tak wysoko, jak kultura japońska, w której rodzime tradycje spotęgowały wpływ kultury Chin, gdzie głazy i skały postrzegane są jako obiekty o ogromnych zasobach energii (*ki*), a ich aranżacje pojawiają się w założeniach ogrodowych już dwa tysiące lat temu. Traktaty zalecają więc „wysłuchać prośby kamienia”, postąpić tak, jak sugeruje jego kształt i charakter. Autor *Sakuteiki* odwołuje się do *ishigokoro*, a więc dosłownie do „serca/umysłu kamienia”, które powinniśmy starać się usłyszeć, kiedy układamy głazy. Natura jest tu partnerem architekta, co więcej, to ona ma prawo głosu, jako pierwsza wyznaczając drogę. Najpierw więc człowiek powinien wsłuchać się w naturę, wyczuć ukształtowanie terenu, zbadać fakturę, barwę i kształt kamieni, rozpoznać upodobania drzew i pomniejszych roślin, przemyśleć klimat, a także uwarunkowania ludzkiej percepcji. Takie postępowanie nie miałyby jednak szans powodzenia, gdyby nie wiara w szczególną łączność pomiędzy czło-

wiekiem a naturą, w możliwość głębokiej i bezpośredniej komunikacji.

Ową decydującą rolę „porządku” natury jako „porządku” kultury najdobitniej chyba obrazują *karesansui*, suche ogrody *zen*, przemawiające do odwiedzających językiem piasku, żwiru i kamienia. Gość z Zachodu, nawet jeśli znajome mu są zasady projektowania japońskiego ogrodu, staje tu przed zagadką, która w naszej tradycji prowadzi ku ogólnej idei „tajemnicy” natury. Graham Parkes, znawca kultury japońskiej, w następujący sposób opisuje sławny ogród Ryoanji, zwany również Świątynią spokojnego smoka, w mieście Kioto: „Czy istnieje język kamienia? Kilka nieociosanych głazów rozrzuconych na przestrzeni żwiru – czy to możliwe, że przesyłają nam jakąś wiedzę? To jest ostatecznie pytanie, które stawia nam ogród w Ryoanji w Kioto. Nie ma tu zieleni drzew, które można by zobaczyć, nie ma zapachu kwiatów, ani ptasiego śpiewu. Ta podobna pustyni przestrzeń jest tajemnicza – surowy obszar, na którym tylko piętnaście głazów mierzy się z ogromem pustki. Ten liczący 500 lat ogród jest zadziwiająco nowoczesnym dziełem sztuki. Jest także miejscem, gdzie istota ludzka może czytać w ciemnym lustrze kamienia tajemnicę, którą nosi w sobie”.

Zadaniem japońskiego ogrodnika nie jest poszukiwanie najwłaściwszej ekspresji dla własnej idei, własnej koncepcji ogrodu, jak chociażby możliwe w ogrodach zachodnich przycinanie krzewów w fantazyjne kształty, wyrównywanie ścieżek i rabat, czy też łączenie ze sobą roślin, które nie występują razem w „dzikiej” naturze. Ogródnik powinien „usłyszeć” to, co stanowi o charakterze rośliny, kamienia, czy strumienia i wydobyć te cechy, podkreślić, ewentualnie eliminując części, np. liście lub gałęzie, które je zaciemniają.

Czego jednak możemy oczekiwać, jeśli nie pójdziemy za głosem kamienia, czy szeptem drzewa? Jeśli pogwałcimy ich naturalne inklinacje? Stare traktaty służą tu całym arsenałem przestróg sięgającym znowu ku animistycznym tradycjom *shintō*. We wspomnianym już *Sakuteiki* czytamy: „Układanie na boku kamienia, który oryginalnie stał pionowo lub stawianie pionowo kamienia, który leżał na boku, jest zakazane. Jeśli to tabu zostanie złamane, kamień z pewnością stanie się głazem mściwych duchów i ściąganie przekleństwo. Nie należy umieszczać żadnego głazu o mniej więcej metrowej wysokości na północnym wschodzie ogrodu, bo tak ustawiony może ściągać mściwe duchy, albo może stać oparciem stopy dla zła i właściciel nie pomieszka tam długo”.

Etyczność w ogrodzie

Ten stary system nakazów i zakazów odzwierciedlający wewnętrzne zasady mocy natury, ich wewnętrzny głos, dzisiaj klasyfikowalibyśmy jako postępowanie etyczne wobec natury, jako przyzna-

nie jej wewnętrznej – a więc nie tylko instrumentalnej – wartości. W przestrzeni ogrodu słuchanie głosu wszystkich istnień, z jakimi człowiek wchodzi w interakcje, dotyczy nie tylko ułożenia skał i aranżacji roślin, ale zgodnie z temporalnym charakterem każdej przestrzeni w tradycji japońskiej, także sposobu, w jaki ogród będzie się ukazywał widzom lub spacerowiczom. W przypadku wspomnianego ogrodu zwojowego, „kadrowanego” podobnie jak obraz, na który patrzymy z jednego punktu, najczęściej z wnętrza rezydencji, główną zasadą kompozycji jest „dziesięć tysięcy drzew w jednym spojrzeniu”. Inaczej mówiąc, żadna z roślin nie powinna przysłaniać innej, niezależnie od ich wielkości, czy atrakcyjności.

Z kolei w ogrodzie spacerowym zanurzamy się w przestrzeń, pływając łodzią lub po prostu spacerując, ale nie dowolnie, lecz po wyznaczonej ścieżce. Nieregularny układ kamieni ścieżki odpowiada zasadzie przeciwstawnej wobec „dziesięciu tysięcy” obejmowanych jednym spojrzeniem rzeczy; można ją określić jako „teraz widzisz, a teraz nie widzisz” (*miegakure*). Idący przez ogród nie zmierza po najprostszej linii od wejścia do wyjścia, ale wędruje poprzez kolejne zakręty i nagłe zatrzymania i utrudnienia kamiennej ścieżki, która „uczy” go coraz to nowych sposobów percepcji ogrodu, odsłania co chwilę inne, zaskakujące widoki. *Miegakure* wyrasta z właściwego dla buddyzmu *zen* przekonania o paradoksalnej naturze rzeczywistości, o tożsamości widzenia i nie-widzenia w każdym momencie naszego życia.

To ta sama zasada, dzięki której niewyraźne i nieinteresujące zarysy rzeczy zobaczone nagle z innego punktu widzenia – jak nagle dostrzeżenie urody niepozornych mchów rosnących pod majestatyczną sosną – stają się atrakcyjne i przykuwają uwagę. Ta harmonia i równowaga – wszystkie to pozwala nasłuchiwać z uwagnością tego, co jest w nas i wokół nas. I ostatecznie pozwala odrzucić hierarchiczne widzenie świata. Ogród zachęca gości, by cenili naturę w każdej jej „odsłonie”, by nie polegali na swoich ustalonych przekonaniach, ale pozwolili się nieść nurtowi życia, w którego bujności stanowią zaledwie moment. Uczy więc pokory i zachwyty, tak istotnych dla relacji z przyrodą, zwłaszcza jeśli ma ona mieć wymiar moralny.

Przypominam to sobie, ustawiając na tarasie niewielkie drewnianki i kamyczki na tacy z piaskiem przywiezionym z nad morza. Dotykam wygładzonych powierzchni, czuję pod palcami ciepło plaży i promieniujący z maleńkich ziarenek zapach chwil, wspólnego nam miejsca i czasu. Po patyczku wędruje niewielki pajaczek. Ostrożnie schodzi po brzegu tacy i zmierza w sobie tylko znanym kierunku. ■



Kioto, Złoty Pawilon (ogród)



Kioto, suchy ogród



Kioto, Złoty Pawilon (ogród)



Owce na Hali Boraczej,

Owca domowa jest jednym z najwcześniej udomowionych zwierząt, a miało to prawdopodobnie miejsce 11 tys. lat temu. Owce domowe wywodzą się od podgatunków owcy dzikiej. Są wyjątkowo wytrzymałymi i mało wymagającymi zwierzętami, hodowanymi w różnorodnych siedliskach dla mleka, mięsa, skóry i wełny. Dziś o pasterstwie, jego historii i współczesności oraz Szlaku Bacówek Beskidzkich. Na końcu artykułu zamieszczamy słowniczek pojęć, związanych z pasterstwem.

Dawno, dawno temu

W XIV wieku w polskich Karpatach pojawiła się ludność koczowniczo-pasterska, zwana Wołochami. Ich głównym zajęciem był wypas – początkowo bydła, później owiec. Uważa się, że była to ludność pochodzenia rumuńskiego, ale w swej koczowniczej wędrówce łukiem Karpat asymilowała się w międzyczasie z ludnością tubylczą, tworząc swoistą mieszankę etniczną wpływów rumuńskich, bałkańskich, węgierskich, ruskich (czyli ukraińskich), a w dalszym etapie słowackich i polskich. Trudno więc utożsamiać ludność wołoską z jakąkolwiek grupą narodowościową czy etniczną w pełnym tego słowa znaczeniu. Z czasem sama nazwa Wołoch nie oznaczała już pochodzenia etnicznego, a tylko profesję, czyli pasterza (w języku czeskim przymiotnik „valašský” – wołoski jest tożsamy z naszym „góralski”).

Wołosi trudniąc się zawodowo pasterstwem, zaszczerpili na gruncie polskim zorganizowane formy zbiorowego wypasu owiec pod wodzą bacy, specyficzne sposoby przeróbki mleka i wyrobu sera oraz charakterystyczny sprzęt i architekturę pasterską. Podobne formy gospodarki pasterskiej występują na terenie całych Karpat i Bałkanów, łącząc kulturę pasterską górali karpaccy i bałkańskich w jedną całość.

W XVI w. wołoscy pasterze pojawili się już w Beskidzie Żywieckim i Śląskim, kończąc ostatecznie swą migrację w XVIII w. na zachodnim krańcu Karpat, w Bramie Morawskiej.

Początkowo życie górali było dwusezonowe: od kwietnia do jesieni żyli z rodzinami na halach, jesienią schodzili w doliny. Z czasem na hale wychodzili już tylko sami pasterze ze stadami, rodziny zaś pozostawały u podnóża, osiedlając się na stałe i tworząc wsie góralskie.

Pasterstwo nadawało charakter życiu mieszkańców gór, jednak dla feudalnych właścicieli gruntów (Habsburgów, Wielopolskich) dzierżawa pastwisk pasterzom była mało opłacalna. Zaczęto więc usuwać pasterzy z gór i przekształcać hale w dużo rentowniejsze lasy gospodarcze, w których część górali znalazła swoje nowe miejsce pracy.

Redyk i wypas

Dzień przed redykiem gospodarze przyprowadzali swoje stada, następowało ich



Koniaków, mieszanie owiec

Kto ma owce, ten ma co chce, czyli o tradycjach pasterskich w Beskidach i Szlaku Bacówek Beskidzkich

EDWARD WIECZOREK

liczenie, ocena kondycji (czy nie ma osobników chorych, słabych), mieszanie. Owcom przypinano dzwonki. Zgodnie z wiekową tradycją na św. Wojciecha (23 kwietnia), po mszy świętej, ruszał redyk ze wsi na hale. Na czele szedł bacca (szef pasterzy), potem kierdel (stado) owiec, a juhasi (pasterze), honielnicy (pomocnicy pasterzy) i psy pilnowali porządku. Korowodowi towarzyszył wóz z dobytkiem serowarskim (kotłami, naczyniami drewnianymi, przyborami, prowiantem), a często także kapela.

Nie będę tutaj opisywał wszystkich, magicznych niemal, zwyczajów na hali: krzyżowania ciupag, błogosławienia, okadzania, rozpalania watry (ogniska) itp. Potem następowała proza życia: co-

dzienny dwukrotny (rano i wieczorem) udój owiec, produkcja sera, sukcesywne przenoszenie wypasu na nowe łąki, ochrona stada przed drapieżnikami itd. Na noc i do udoju owce zamykane były w przenośnej zagrodzie – koszarze.

Ciekawostka... Ze względu na pewne ludowe przesady (*coby owcom mleko nie uciekło*) juhasów od początku redyku do św. Jana (czyli 24 czerwca) obowiązywała wstrzemięźliwość seksualna. 24 czerwca był pierwszym dniem, kiedy kobiety mogły przyjść w odwiedziny na halę.

Do wczesnej jesieni owce pasły się na hali. Powrotny redyk, zwany też rozsadem, odbywał się zwyczajowo przed św. Michałem, tj. przed 29 września.

Po przyjeździe do wsi juhasi rozdawali dzieciom i kobietom tzw. redykołki – małe oscypki, często figuralne (koniki, kogutki), zaś bacia częstował właścicieli owiec wódką. Po św. Michale do pierwszego śniegu wypasano owce w pobliżu domostw, na łąkach i miedzach.

Oscypek

Oscypek (oszczypek) jest twardym, wędzonym serem z mleka owczego (dopuszcza się do 40% mleka krowiego), o zastrzeżonej prawem Unii Europejskiej nazwie i miejscu pochodzenia (Chronionej Nazwie Pochodzenia PDO). Jego nazwa pochodzi od rozszczepianej foremki („oscypiorki”). W woj. śląskim można go pod tą nazwą produkować tylko w gminach: Istebna, Jeleśnia, Koszarawa, Milówka, Rajcza, Ujsoły i Węgierska Górka. Ser może być wyrabiany wyłącznie w okresie od maja do września, zaś sprzedawany do końca października. Produkowany jest w postaci niedużych, wrzecionowatych bloków z typowym dla regionu zdobieniem brzegów i mieści się w przedziale wagowym od 60 do 80 dag i wielkości od 17 do 23 cm. Zdobienie odciskane jest we wspomnianej „oscypiorce” (foremce). Tradycyjnie jego wyrobem trudnią się bacowie na hali. Po wydojeniu owiec do drewnianego skopka – „gielety” mleko zlewane jest przez lniane płótno „satę” do drewnianej „pucyery” (kadzi). Następnie dodaje się podpuszczkę (dawniej „kług” – sproszkowany żołądek cielęcy), która ścina mleko na masę serową. Odciska się ją w „grudziance” (płótnie o luźnym splocie) i formuje. Podczas odciskania ser maczany jest w gorącej wodzie. Po uformowaniu sera moczy się go przez dobę w solance – „rosole”, która usuwa z niego nadmiar wody i konserwuje. Po wzmoczeniu sery leżakują na górnej półce w bacołwie i są wędzone. Tradycyjnie w bacołkach płonął ogień podsypany drewnem sosnowym lub świerkowym. Sery podczas leżakowania wędziły się w jego dymie.

Owce na wypasie, archiwum Śląskiej Organizacji Turystycznej



for. J. Michalek

Redyk w Koniakowie

Beskidzkie owce wracają na hale

Z czasem pasterstwo przestało być opłacalne. Konkurencja przemysłu, koszty dzierżawy hal, brak rąk do pracy, powodowały, że tradycyjne pasterstwo powoli zanikało. Zniknął tym samym jeden z elementów krajobrazu kulturowego gór – element multisensoryczny: bo owce było widać, słyszeć i czuć. Jeszcze w latach 80. XX wieku w beskidzkiej Trójwsi, czyli Istebnej, Koniakowie i Jaworzynce pasły się zwierzęta Rolniczej Spółdzielni Chowu Owiec. Gdy spółdzielnia została zamknięta, pojedyncze owce można było zobaczyć już tylko w przydomowych ogrodach. Hale, których nie zdążyli zadrzewić Habsburgowie, zaczęły zarastać. Zaczęły ginąć rzadkie rośliny rosnące na halach (np. storczyki).

Po kilkudziesięciu latach stopniowego zaniku wypasu, w Beskidy powrócili bacowie ze swoimi stadami owiec. Spotkać ich można na wielu beskidzkich halach: Hali Baraniej, Magurce Radziechowskiej, Ochodzitej, Żółtym Groniu, Cieńkowie, Hali Boraczej, Hali Rycerzowej, Kotarzu, Hali Miziowej, Górze Tuł, Hali Cudzikowej, Rówieńkach, Hali Cebulowej,

Krzyżowskim Groniu, Bukowym Groniu, Hali Rysiance, Redykalnej, Motykowej i wielu innych...

Tam, gdzie pasterstwo jeszcze funkcjonuje, współczesny bacia albo wypasa własne stado, albo świadczy usługę wypasową dla innych mieszkańców wsi za ustaloną zapłatą. Niegdyś rozliczano się w naturze, głównie serami.

Bacowanie a turystyka

Ze względu na konieczność ochrony wspomnianego krajobrazu kulturowego gór, ginących siedlisk łąkowych i tradycyjnych wyrobów serowarskich, a także z myślą o zainteresowaniach turystów ginącą kulturą ludową i tradycyjnym pasterstwem – pasterstwo powoli się odradza. Choć dla górali jest to zajęcie dodatkowe. Redyk wiosenny, czy rozsąd sę spektaklami, przyciągającymi w Beskidy coraz więcej gości. Ludzi interesują góralskie obyczaje, zwłaszcza jeśli są autentyczne.

Od kilku lat w województwie śląskim realizowany jest program „Owca Plus”, mający na celu ochronę bioróżnorodności i krajobrazu poprzez prowadzenie



tradycyjnego wypasu owiec na wybranych halach i polanach górskich Beskidów oraz wypasu owiec i kóz na murawach Jury Krakowsko-Częstochowskiej. W ramach programu odbywają się też festyny, eventy, wystawy, warsztaty, kampanie społeczne promujące tradycje pasterskie Beskidów.

Jednym z takich eventów był Redyk Transkarpacki w 2016 r., wiodący historycznym szlakiem Wołochów – od Rumunii, przez Ukrainę, polskie Karpaty (w Koniakowie było zakończenie polskiego etapu) – do Rožnova pod Radostem w Czechach.

Szlak Bacówek Beskidzkich

Aby przybliżyć turystom tradycje pasterskie, powstał Szlak Bacówek Beskidzkich utworzony w ramach Wojewódzkiego Programu Aktywizacji Gospodarczej oraz Zachowania Dziedzictwa Kulturowego Beskidów i Jury Krakowsko-Częstochowskiej „Owca Plus”, obejmujący bacówki na: Hali Boraczej w Żabnicy (gm. Węgierska Górka), U Boru w Jelesni, na Watówkach w Krzyżówkach (gm. Jelesnia), przy granicy na Glinnym w Korbielowie (gm. Jelesnia), na Królowej w Sobłowce (gm. Ujsoły), na Ochodzitej w Koniakowie (gm. Istebna), na Złotym Groniu w Istebnej, na Groniczkach pod Złotym Groniem w Istebnej, na górze Bucze w Górkach Wielkich (gm. Brenna), na Wielkim Cisowym w Brennej, na Bukowym Groniu w Brennej, na Trzech Kopcach w Brennej, na Malince w Brennej, na Hali Jaworowej Kotarza w Brennej, na Stecówce w Istebnej i na Postrzednim Cieńkowie w Wiśle.

Kilka bacówek powstało też w ramach projektu Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego (na Hali Przegibek w Rycerze Górnej w gm. Rajcza, na Hali Bukowina w Cięcinie w gm. Węgierska Górka, w Kamesznicy-Złatnej w gm. Milówka i na Starym Groniu w Brennej) oraz w ramach projektu realizowanego przez Centrum UNEP/GRID „Karpaty Łączą” (na Pietraszonce w gm. Istebna, na Grabce w gm. Jaworze, na Wierchu Pośrednim w Szczyrku i na Czantorii w Ustroniu). W ramach tego ostatniego projektu przygotowywana jest też kolejna bacówka na Bukowym Groniu w Brennej.

Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Śląskiego z myślą o turystach postawił też w dwóch miejscach platformy widokowe: na Dużym Rachowcu w Zwardoniu i – obok bacówki – na Starym Groniu w Brennej.

Koniakowskie Centrum Pasterskie

Aby przybliżyć odwiedzającym nasze Beskidy tradycje wypasu owiec, powstało w Koniakowie Centrum Pasterskie (Bacówka, Gazdówka, Wystawa i Sklep Góralski). Pokazuje ono typowe karpacie zwierzęta pasterskie: owce, kozy i krowy, naczynia i sprzęty pasterskie (czer-

paki, puciery, ferule, kotły, formy drewniane na sery i wiele innych) oraz ekspozycję przeróbki runa owczego i wełny starodawnymi metodami – *krymptowani, przyndzyni, zwijani oraz śtrykowani...* Centrum Pasterskie w Koniakowie oferuje udział w warsztatach produkcji sera owczego, połączonych z prelekcją i z późniejszą konsumpcją. Można tu także zakupić bundz (słodki twaróg owczy), bryndzę (solony twaróg owczy), oscypki (serki wędzone z bryndzy), sery wołoskie, korbacze (serki wędzone z bryndzy uformowane w warcocyki) oraz żętycę (serwatkę z mle-

ka owczego) oraz baraninę i jagnięcinę (tę ostatnią po wcześniejszym uzgodnieniu). W Sklepie Góralskim w Koniakowie oferowane są stroje góralskie, wyroby z wełny owczej, pamiątki regionalne, wyroby z drewna, metalu, skóry i materiałów ekologicznych.

Wspomniane wcześniej owcze produkty mleczarskie (bundz, bryndzę, oscypki, redykołki, żętycę) można kupić także w bacówkach: na Hali Boraczej, U Boru w Jelesni, na Ochodzitej, na przeł. Przegibek w gm. Rajcza, w Kamesznicy-Złatnej i na Polanie Bukowina w Żabnicy. ■

Słowniczek pasterski

Tradycja pasterska stworzyła specyficzne nazewnictwo przedmiotów i czynności, „ceprom” (nie góralom) raczej obce. Ponieważ jest to także część dziedzictwa kulturowego gór, zamieszczamy poniżej krótki słowniczek pasterski.

- baca** – pasterz kierujący wypasem
- bacówka** – szałas pasterski
- bryndza** – solony twaróg owczy
- bundz, grudka, syr** – słodki twaróg owczy
- ciupaga** – okuty kij pasterski z żelazną rączką
- cytać** – liczyć owce
- czerpak** – drewniany kubek do picia, wyrabiany z jednego kawałka drewna
- ferula** – drewniane miesadło do rozbijania ściętego mleka
- gieleta** – stożkowate drewniane naczynie z klepek używane do dojenja
- gołka** – wędzony ser z mleka krowiego o walcowatym kształcie, produkowany w sposób zbliżony do owczego oscypka
- grudzianka** – płótno o luźnym splocie do wyciskania sera
- hala** – pastwisko na łące górskiej
- honielnik** – pomocnik juhasa na hali
- jadwiga** – drewniany hak nad wiatrą do zawieszania na nim kotła
- jarka** – owca niekotna
- juhas** – pasterz, pomocnik bacy (zwyczajowo: 1 juhas na 70 owiec)
- kierdel** – stado owiec
- kłag** – podpuszczka z cielęcego żołądka ścinająca mleko na twaróg, wspólnie z chemicznymi
- koliba** – buda pasterska
- koszar** – drewniana zagroda dla owiec
- kornuta** – owca z dużymi rogami na boki
- kotlik** – kociołek do warzenia żętycy
- mira** – mierzenie mleczności owiec dla ustalenia należności po wypasie i patyczek z zaznaczonym pomiarem
- oblonka** – drewniana obręcz przytrzymująca satę podczas cedzenia mleka
- obońka** – płaska beczułka z klepek świerkowych używana do przewozu mleka, śmietany i żętycy z hal do wiosek
- oscypioriki** – drewniane foremki przeznaczone do odciskania oscypków
- ozwodnica** – zakrzywiony drąg służący do zawieszania naczynia z mlekiem
- parzenica** – starodawna forma na ser w kształcie serca
- puciera** – drewniane naczynie z klepek do zlewania mleka z udoju, przy wyrobieniu sera lub kwaśnej serwatki
- putnia** – drewniana konew do noszenia wody
- redyk** – przepędzanie stad owiec ze wsi na hale i z powrotem (powrotny nazywany jest także rozsadem)
- redykałki** – małe serki w kształcie zwierzątek rozdawane przez pasterzy powracających z hal do domu
- reguła** – owca ze złamanym rogiem
- seniora** – owca z rogami do tyłu
- sałas** – gospodarstwo pasterskie na hali
- sata** – gęste białe płótno służące do cedzenia mleka przy zlewaniu go do pucliery
- siuta** – owca bez rogów
- watra** – ogień palący się w bacówce podczas całego trwania wypasu
- zbyrcok, zbyrkadło** – dzwonek owczy
- żętyca** – serwatka pozostała po zrobieniu sera

Gdy odwrócił się pokonany od swojego marnego istnienia i stanął przed nami, przypominał pochylone drzewo. Korzenie nie były już w stanie utrzymać go dłużej w ziemi, więc zdawał się czekać na podmuch wiatru, który zmiecie raz na zawsze ten nieokreślony byt, nie zostawiając śladu. Zanim jednak miało to nastąpić, postanowił, wpatrzonym w jego sylwetkę, którą opuścił na chwilę mrok, opowiedzieć własną historię. Było tak, jakby kierowało nim przekonanie, że narracja stanie się ocalającą wartością, atrybutem większej historii, specyficzną formą doświadczenia, bo wypowiedzianą zapewne w tym przypadku po raz ostatni. Jak każda historia i ta stała się niemal od razu opowieścią na temat czasu, w którym powstała. Jej autor, Alois Pokora, urodzony w Nieborowitzi, w roku 1891, syn górnika z Górnego Śląska Antona i Pauline Pokorów, wyrwany z rodzinnego gniazda, rozpoczął samotną, tułaczą wędrówkę po obcym świecie, by 11 listopada 1918 zrozumieć, że skończył się stary świat, a on musi zacząć wszystko od nowa.

Poczytna, może najlepsza do tej pory książka Szczepana Twardocha *Pokora* to opowieść o historii i życiu, pierwszej wojnie światowej i jej konsekwencjach, człowieku, który nie wytrzymał z nią zderzenia. Niemiec, Ślązak, Polak, żołnierz, rewolucjonista, bohater, niespełniony kochanek ślący myśli do tajemnicznej Agnes, a tak naprawdę egzystencja samotna, próbujący wszystkiego, przymierzający role społeczne niczym teatralne kostiumy, używający różnych języków, odwiedzający zrewoltowany Berlin, prowincjonalne miasta, student, uczeń, nieprzynależący nigdzie i do nikogo, uciekający przed sobą i historią, która zresztą dopadła go ostatecznie i zniszczyła. A może po prostu marzyciel, taki niepoprawny, naiwny, bez właściwości, którzy za to wszystko zapłacił wysoką cenę.

Robert Talarczyk uległ zapewne uroko-



fol. Przemysław Jendroska

Miejsce na ziemi

WOJCIECH LIPOWSKI

wi oraz możliwościom interpretacyjnym kolejnego dzieła Twardocha, bo już po raz trzeci w Teatrze Śląskim obcujemy z jego utworem. W 2014 roku oglądaliśmy *Morfinę* w reż. Eweliny Marciniak, w 2018 *Dracha* w reż. Talarczyka, który obecnie znalazł w powieści Twardocha nową inspirację dla teatralnego widowiska. Bez wątpienia oglądamy na scenie bardzo atrakcyjne widowisko, dodajmy niezwykle filmowe, podobnie zresztą jak nową powieść autora *Królestwa*, której narracja przypomina filmowy montaż. Spektakl w Teatrze Śląskim zbudowany jest w sposób bliski powieściowemu. Przed widzami przesuwają się dobrze skomponowane, dynamicznie obrazy, pulsujące rytmem i muzyką,

zmiernie do kulminacji, po której następuje zmiana perspektywy historycznej, społecznej, obyczajowej. Ten spektakl przypomina nieco poprzednie inscenizacje Roberta Talarczyka, jak wspomnianego *Dracha*, czy *Wujek 81. Czarna ballada*. Przypomina, co nie znaczy, że jest taki sam. W adaptacji uczestniczył autor powieści, który później przyznał, że wersja sceniczna różni się znacząco od oryginału. Pewnym problemem dla widzów, którzy go nie czytali, może być zrozumienie znaczenia niektórych scen, ale także identyfikacji postaci, które zaludniają sceniczną rzeczywistość i samych zdarzeń historycznych. A może nie jest to takie ważne, skoro nadrzędną dominantę całości stanowi opowieść o człowieku poszukującym własnej tożsamości, miejsca na ziemi, domu. I nie chodzi w tym przypadku o proste wpisanie wszystkiego w kontekst dziejów Śląska z wszystkimi konsekwencjami, gdyż spektakl Talarczyka i Twardocha chyba w najmniejszym stopniu tego dotyczy. Odbiorcy sztuki ruszają bowiem za życiowym tułaczem, egzystencjalną pustką, próchniejącą istotą szukającą zakorzenienia w bycie, stawiającą niezmiennie jedno podstawowe pytanie: kim jestem, kim jeszcze być mogę?

Śledząc losy Aloisa Pokory, zastanawiamy się w jakiej rzeczywistości żyje. Zwykłej, onirycznej, sakralnej? Ta ostatnia wynika z tego, iż kolejne etapy jego peregracji układają się w pełne upadków oraz poniżeń stacje swoistej drogi cierpienia. A może przesuwający się przed naszymi oczami ciąg scen historii prywatnej tego

fol. Przemysław Jendroska



człowieka to dojmujące, pełne upokorzeń profanum, w każdej chwili rozpaczliwej samotności, czy to w rodzinnym górniczym domu, podczas edukacji u pilchowskiego farorza, czasów studenckich w Breslau a w końcu okopach wojennych, w mundurze oficera bijącego się za cesarza. Henryk Simon zaproszony do tej roli nie ma sobie równych. Sam pochodzący z Świętochłowic zrozumiał dylematy i doświadczenia bohatera jak nikt inny. Jest cały Aloisem Pokorą. Nawet jego wiecznie pochylona, jakby skurczona sylwetka, drżenie głosu, pełne cierpienia oczy, w których przegłąda się trudna śląska historia, składają się na osobną narrację dotyczącą świata niewinności i świata doświadczenia. Można chyba powiedzieć, że autorzy teatralnej *Pokory* ulepili z przeżyć tej postaci figurę utożsamienia, która stała się czymś na kształt metafory ludzkiego losu od dziecięcej niewiedzy po dojrzałe poznanie istoty egzystencji.

Alois odmieniec, którego mapa wędrówki, ciekawie i plastycznie pokazana w katowickiej adaptacji, prowadzi od biednego robotniczego domu z pominięciem uświęconej rodzinnej tradycją pracy w kopalni poprzez wypełnioną przemocą szkołę aż po studia i wojenne okopy; zawsze nie jest na swoim miejscu, zatem nie jest możliwe utożsamienie w jakimkolwiek obszarze. Nie pomoże rana odniesiona na wojnie, berlińska rewolucja, w którą się zanurzy przypadkiem, powrót do domu i śląskie powstanie. Pozostanie osobny, obojętny, przerażony, że tak blisko jest zawsze to od czego chce być daleko – historia.

Widowisko ma swoje prawa i wymagania zatem twórcy spektaklu zadbali, by kolejne, liczne i czasem nieczytelne dla nieznajdących powieści sceny, były obrazami atrakcyjnymi wizualnie i choreograficznie. Wykonano olbrzymią pracę, aby tak się stało. W tych rozbudowanych kompozycjach, pięknych teatralnie, czasem przypominających batalistyczne obrazy tkwi największa siła tego spektaklu. Talarczyk uwielbia sceny zbiorowe, pełne przemierzających się tłumów w perfekcyjnie dopracowanych układach choreograficznych – tu duże brawa dla Tomasza Jana Wygody, który wykorzystując możliwości ciała stworzył osobną fabułę, swoistą głosę do scen aktorskich. Niezwykle i przejmująco wypadły te opisujące znęcanie się przez kolegów szkolnych nad młodym Pokorą, manewry pruskich żołnierzy, rewolucyjne przemarsze, przemieszczanie się bohatera, właściwie zderzanie z tłumem, w znakomicie skomponowanych dekoracjach Katarzyny Borkowskiej, ale też nieco oniryczne w podejrzanym gejowskim dekadencjum lokalu, po którym przechadza się tajemnicza Baronessa. Wszystko zilustrowane pulsującą, niepokojącą, pobudzającą wyobraźnię muzyką katowickiego rapera Miłosza Pawła Boryckiego znanego jako Miuosha. Całość sprawia wrażenie nieustannego pojedynku, zma-



gania, niepewności, strachu przed światem, drugim człowiekiem. Całość zanurzona w niesamowitej aurze zmieniających się barw. Jakieś złoto, czerni, ziemia, w której unurzani są wszyscy, ziemia śląska, górnicza, a może symbolizująca przywiązanie do konkretnego miejsca w świecie?

Aktorzy Teatru Śląskiego po raz kolejny pokazali, że są w znakomitej formie. Poza wspomnianym Henrykiem Simonem, którego interpretacja postaci Pokory zapewne pozostanie na długo w pamięci, a płynne przechodzenie od mowy śląskiej do literackiej polszczyzny, będzie robić wrażenie na kolejnych widzach; warto zwrócić uwagę na ciekawe psychologiczne portrety stworzone przez znakomitego Dariusza Chojnackiego w rolach ojca i wspomnianej homoseksualnej Baronesy, ciekawą przejmującą postać matki w ujęciu Agnieszki Radzikowskiej, Michała Piotrowskiego jako Brauna-Towiańskiego, czy ujmującą Aleksandrę Przybył jako niedostępną urojoną Agnes, Marka Rachonia w roli Rechter'a, w końcu zgrany imponujący tercet braci Aloisa, który tworzą Paweł Kempa, Hubert Skonieczka, Michał Czyż. Osobne brawa należą się tancerzom, dzięki którym ten spektakl jest tak żywiołowy i energetyczny.

Ci, którzy oczekują konfrontacji z publicystyką teatralną, mając na uwadze znane powszechnie poglądy autora powieści na temat tożsamości śląskiej, mogą być za-

wiedzeni. *Pokora* to przede wszystkim pełna zasadzek podróż w głąb powieści, pod jej podszewkę, próba przełożenia na język teatru historii człowieka o symbolicznej biografii i nazwisku, pełna wątpliwości egzystencjalnych, ideowo-politycznych, pytań o tożsamość, przynależność narodową, miejsce w drabinie społecznej, ale też o celowość zdarzeń, sens istnienia. Każdy może wybrać swoją ścieżkę odczytania tego wielowymiarowego dzieła.

Zanim Alois Pokora odwróci się w końcu od nas w stronę nicości, z której na moment przybył, nim oddali do świata ostatecznych znaczeń, gdy już umilkną odgłosy wojny, znikną przesładujący go ludzie, a historia znajdzie miejsce na kartach podręczników; spojrzysz po raz ostatni w naszą stronę i skończy opowieść zwyczajnie jak rozpoczął. Nie opowiedział nam tylko tego, o czym wiedzieć nie mógł za życia. Są bowiem rzeczy, które sprawdzić można po drugiej stronie. W innym porządku znaczeń pisze się bowiem historia zawierająca niezgłębioną wczesniej ostateczną rację istnienia. ■

Pokora
adaptacja Szczepan Twardoch
reż. Robert Talarczyk
Teatr Śląski
Premiera 12 czerwca 2021

Dyskretny urok zmierzchu

WOJCIECH LIPOWSKI

Vogler, reżyser teatralny, u kresu drogi artystycznej postanowił zrobić bilans minionych lat. Usiadł więc nad egzemplarzem *Gry snów* Strindberga, by bodaj po raz piąty zmierzyć się z nieprzebraną głębią tego dzieła. Kiedy ujrzeliśmy go siedzącego na okrytej mrokiem scenie zastawionej rekwizytami dawnych sztuk, czekał na Annę Egerman, młodą aktorkę mającą wcielić się w rolę Córki Indry. O czym myślał, kiedy dumał samotnie, nie przejmując się naszą obecnością? Może o cze-

kającej go konfrontacji z niedoświadczoną artystką, o złudnym powabie młodości, wielkiej niewiadomej, która poprowadzi w bliżej nieokreślone rejony. Albo wyczuł nagle w opustoszałym teatrze powiew czegoś zupełnie innego, wyraźnie obecnego za kulisami, czego bał się nazwać, wiedząc, że jeszcze czas jakiś uda mu się oszukać przeznaczenie i osłonić tłący płomień własnego istnienia.

Niezwykłe studium ludzkich namiętności, odwieczna historia o upływie

czasu i przemijaniu, fascynacja ulotną młodością, za którą czyha nieuchronna śmierć – cały ten repertuar możliwości wypełniony wątkami autobiograficznymi pomieścił Ingmar Bergman w napisanym w połowie lat 80., zrealizowanym w formie telewizyjnego spektaklu, dramacie *Po próbie* (*Efter repetitionen*). Obecnie katowicki Teatr Bez Sceny przypomina ten nieco już zapomniany utwór w nowym, współczesnym przekładzie Haliny Thylwe. Okazja jest wyjątkowa, bowiem reżyser i twórca teatru, Andrzej Dopierała obchodzi, 40-lecie pracy artystycznej zaś jego scena świętuje 25 urodziny.

Utwór Bergmana wpisuje się w znaną dramaturgii współczesnej skłonność do refleksji na temat procesu powstawania dzieła, sposobów i celów tworzenia. Znaną są przecież teksty wykorzystujące motyw teatru świata, w którym człowiek poddany jest woli przeznaczenia, Reżysera, który z wysokości układa plan ziemskiej gry w widowsku każdego poszczególnego istnienia. Calderon (*Wielki teatr świata*), Szekspir (*Hamlet*), czy bliżej nas Tankred Dorst (*Ja, Feuerbach*) to tylko wybrane odsłony ciągnącej się od wieków opowieści o teatrze, gdzie rozpaczliwa walka o przetrwanie, życie staje się najważniejszą dominantą, dramatycznym poszukiwaniem tego, co ważne i słuszne. Bardzo trafnie określił to Epiktet filozof grecko-rzymski, stoik. W *Encheiridionie* kompendium myśli spisany przez jego ucznia Arriana znajdujemy napomnienie: „Pamiętaj, że jesteś aktorem grającym rolę w widowisku scenicznym, a do tego w takim widowisku, jakie spodobało się dramaturgowi ułożyć: w krótkim – jeżeli krótkie, w długim – jeżeli długie. Jeżeli chciał, żebyś grał rolę żebraka, staraj się i tę rolę po mistrzowski odegrać. I tak samo się staraj, kiedy ci powierzy rolę chromego, monarchy albo szarego obywatela. Twoją bowiem jedynie jest rzeczą powierzoną ci rolę odegrać pięknie, sam wybór natomiast roli jest sprawą kogo innego”.

Wróćmy do Bergmana, wspomniano, że *Po próbie* zawiera także elementy autobiograficzne, w tym wypadku ściśle określone i nazwane przez autora. W znanej autobiografii *Laterna magica* możemy przeczytać, że po rozstaniu z Liv Ullmann, podczas prac nad kolejną adaptacją *Gry snów*, zakochał

fot. Krzysztof Lisiaak



się niczym młokos w młodej, pięknej aktorce. I zapewne ta fascynacja młodością stała się początkiem opisanego w dramacie próby sił między początkującą artystką a doświadczonym reżyserem, który dodatkowo chce sprawdzić, na ile możliwa jest w tej grze możliwość dominacji nad inną osobą. Do tego swoistego pojedynku pełnego emocji, miłosnych rozgrywek, namiętności, stanął właśnie reżyser kатовickiej adaptacji Andrzej Dopierała, wcielając się w rolę Voglera.

Gdy siedział pośród mroku w ciszy, którą zakłócał jedynie odgłos wprawionego w ruch metronomu, wyglądało, jakby próbował narzucić, nadać tempo wydarzeniom, a właściwie tylko zarysom scen, bowiem żadna z sytuacji dramaturgicznych utworu Bergmana nie znajdzie swojego rozwiązania. Może chciał zagłuszyć natłok myśli, które tego wieczoru przed spotkaniem musiały sprawiać mu spory kłopot. Dopierała zagrał Voglera przejmującego, lepiąc go z kawałków niepokoju, lęku przed tym, co nieobliczalne, nieprzewidywalne, gdzieś na granicy rozpaczyny płynącej z poczucia przemijania, zagrożenia, przed którymi ochronić go może już tylko własna twórczość. Albo właśnie, gra pozorów, która na początku atrakcyjna, pełna powabu, z czasem staje się pułapką dla przegranego artysty. Gdy przyjdzie wyczekiwana młoda kobieta, rozpocznie się rozmowa, pełna dystansu, niedomówień, grzebania w przeszłości, szczególnie tej związanej z matką Anny, w której przed laty zakochany był Vogler. Powiedzą sobie wszystko i nic zarazem. On jakby chciał powtórzyć jej gesty, ona z wyraźnym chłodem wysłucha opowieści, irytując się, gdy po raz kolejny przypomni jej o podobieństwie do matki, czy drażnić będzie temat związku z asystentem reżysera Peterem lub znacznie dopytywać o zgubioną bransoletkę. W końcu przynajmniej, że wielu ludzi nosi w sobie rany, które im zadał swoim zachowaniem, ale też sam jest zraniony przez innych, a tego wieczoru chciał być sentymentalny, wiemy jednak, że nie jest to prawdą.

W wypowiedzianych nad otwartym egzemplarzem dramatu Strindberga zdaniach pojawi się sporo uwagi o aktorach, reżyserach, wspólnej pracy na scenie i okaże się niebawem, że tytułową próbą jest właśnie moment tego spotkania. Nie wiadomo, jak Andrzej Dopierała swym mistrzowskim koncertem, wygrał w tym spektaklu czyste tony scenicznej magii, bo chyba tylko tak można nazwać imponującą swobodę i perfekcję w budowaniu napięcia oraz formy i treści poszczególnych sytuacji. W jego spojrzeniu nieustannie widzieliśmy: upokorzenie, pogardę, chęć dominacji, wyższość i niższość, jaką odczuwa wobec Marii



spotkanej nie za kulisami teatru, ale kulisami własnego, coraz krótszego życia.

No i ona, Anna Egerman. Debiutująca na scenie w podwójnej roli Anna Nowak. Jej Anna to kobieta piękna i pełna talentu, świadoma, że jest przedmiotem fascynacji starzejącego się artysty. Podwójnej, bo podjęła trudne wyzwanie i wcieliła się również w pojawiającą się w retrospekcji niegdysiejszą kochankę Voglera, zmarłą aktorkę Raket, starającą się uwieść reżysera w nadziei na otrzymanie roli w teatrze. Skąd wzięła tyle sił, by udźwignąć obie niełatwe postaci? Może drugie wcielenie, topiącej smutki w alkoholu wciąż atrakcyjnej kobiety, świadomej, że na jej twarzy odciska swój ślad czas, było mniej wyraziste i przekonujące, ale to tylko z powodu młodego wieku i mniejszego doświadczenia, jakiego wymagałaby ta postać będąca u Bergmana wysłanniczką śmierci, skrytej za złowieszczą zdeformowaną maską. Zagrała jednak z odpowiednim dystansem, momentami ironią, broniąc swoich racji, nie pozwalając się ubezwłasnowolnić, jej cięte, lekkie riposty budują ciekawą, przemyślaną przeciwwagę dla pewności doświadczonego antagonisty. Szczególnie w kwestii dla Voglera najważniejszej, czyli uczuć. Sama powie w końcu, budząc jego irytację: „Czy to takie ważne, by dokładnie zważać na uczucia? I na wyraz uczuć? Jeśli nie mam grać mojej małej prywatnej gry, jakże będę mogła bronić się przed otaczającym mnie światem?”

Niestety, plan się nie powiódł, bo nie mógł. Vogler dopisał tylko ostatni akt swego dramatu, gdzie mógłby wstawić słowa z *Peer Gynta* Ibsena: „Nie chcę umierać! Ja żyć muszę!” Tam, gdzie życie miesza się ze sceniczną fikcją, przegrywają uczucia i namiętności. Anna Nowak i Andrzej Dopierała w pięknym koncercie na dwa głosy uświadomili nam, w mistrzowskiej grze zabarwionej erotycznym powabem, którą tak świetnie prowadzili przed naszymi oczami,

mi, że zawsze wygrywa czas, a wszystko blednie i gaśnie niczym światła w teatrze na koniec widowiska. Próżno szukać w tym jakiejś egzystencjalnej hipotezy, która wyjaśniłaby wszelkie, może zamierzone nieoczywistości dramaturgii Bergmana. Jedno wydaje się pewne: twórcy spektaklu bardzo przekonująco opowiedzieli widzom historię o poszukiwaniu samego siebie. Jakim jest człowiek, artysta, mający w pamięci przeszłość, świadomy tego, kim będzie w przyszłości, bezradny wobec własnego przeznaczenia.

Klimat spektaklu buduje bardzo intymna, spowita mrokiem scenografia autorstwa reżysera adaptacji oraz proste, dyskretne, podkreślające charakter postaci kostiumy Ewy Dopierały i doskonałe prowadzenie światła przez Wojciecha Boruszkę, tworzące nieco tajemniczą atmosferę miejsca.

W przedmowie do ostatniego tomu dramatów Bergmana *Piąty akt*, gdzie znalazł się utwór *Po próbie*, przybierającej formę monodramu, którego bohaterem jest stary mężczyzna, stojący na zagraconej scenie teatru, możemy przeczytać wyznanie artysty: „Często myślę o Śmierci, kilka razy dziennie. Stało się to nawykiem i prawdopodobnie wiąże się z wiekiem. Czasami wpadam nieomal w paniczny strach, czasami wydaje mi się, że rozwikłałem Tajemnicę, i odczuwam nieznaną do tej pory zadowolenie, tak jakbym zawierał kruchy traktat pokojowy z istnieniem”. Henryk i Anna również otarli się o Tajemnicę, co prawda przelotnie, by później żyć już osobno, ale zawsze z poczuciem nieuleczalnej pustki. ■

Ingmar Bergman
Po próbie
reż. Andrzej Dopierała
Teatr Bez Sceny
Premiera 27 czerwca 2021

Ślązak milczący*Pamięci Jana Goczoła*

W ten luty mróz milczenia – czas jak zasiał makiem:
tak milczy odchodzący poeta Jan Goczoł;
z mozołu dni i nocy sam stał się Ślązakiem
starym. I wiecznym – z wiersza – podmiotem lirycznym.
Słowa z kory brzozonej go skryły, nim spoczął
w pamięci. Stary Ślązak do podziemia schodzi
jeszcze żyjąc, ilekroć w chwil sporze chronicznym
nic mu się z jego duszą nie zgadza, więc grodzi

siebie od świata, by snić. Kochałeś tę ziemię —
od jej środka w Rozmierzy. Tragedie pomyłek
Twoją rolę zorały, a z niej polskie plemię
plon goryczy zbierało. I nad to upartym
wzwyż idąc słowem, trwałeś, aż wielu prawd schyłek
jak dnia schyłek przedwczesny nastał. Lecz ocali
Cię piękno, co ulata nad czasem rozdartym
jako światła ptak wieczny.

26.02.2018

Anusz*Pamięci Poety – Janusza Ireneusza Wójcika*

Krasomówca już tylko szepcze. Nad posłaniem
sufit szpitalny samotności – niebo matni,
co wrogie, siną macką nad tym umieraniem
czuwa. Lecz tom swych wierszy Krasomówca trzyma:
doczekał. Bo skazaniec – posiłek ostatni
wszak otrzymać powinien, nim w kondukcje ruszą
ci, co żywi są jeszcze. Pustymi oczyma
z kąta w kąt wieczność patrzy. Lecz on ze swą duszą

rozmawia: tylko życie śle pieśni skrzydlate,
a śmierć zagłusza nawet – ptaków kołysanki.
Jednak to Pan wyznacza ostateczną datę
i zezwala, by inni zebrali owoce.
Chociaż spiekle są usta – pora stanąć w szranki
oratorskiej rozprawy z Cienia posłańcami.
Da mowę o nie-woli, że z niej ciemne moce,
lżąc, tworzą piramidę kłamstwa, co nas mami,

wieszcząc zmierzch dla poezji i piękna. Zbyt długa
cierpieniem noc, odchodząc, z nadranego nieba
błyskawicą dziś zesła. Po niej smutku smuga
i cisza nekrologów. Żegnaj, Przyjacielu.

*Sierpień 2020 zakończony dnia 28.***O Zbigniewie Zielonce
zapis serdeczny**

I tak doszedłeś kresu pod rękę z przeszłością,
Przyjacielu, lecz kto z niej – Ciebie nam wyśpiewa?
Zapełniałeś swe księgi pięknem i mądrością,
a teraz w z-grzebnym dole spocznie to, co Tobą
już nie jest i nie będzie? Jako owoc z drzewa
rodów spadają wszyscy – po nas i przed nami –
by w nowych trwać korzeniach. Toteż smutną dobą
dobywam myśl o Tobie krótkimi słowami.

Byłeś jak wartka rzeka niosąca znaczenie
z lodowca dziejów, bo dzieje bez ludzi –
karta pusta. Zaważy ciężko Twe milczenie
na szalach przemijania. Kto jak Ty opowie
dawne myśli i serca minione? Kto zbudzi
to, co się zamieniło w wieczystie nieżywe?
Dwie ojczyzny masz ducha i z obu posłowie
dziś przynoszą o Tobie żale aż żarliwie:
Twoje Śląsk i Kaszuby.

Opole, 24-31.01.2021

Piety

Gdy nieśmiertelne piękno płacze nad śmiertelnym
ciałem – wieczność pod znakiem zapytania staje,
bo ona, z przemijania tkana, choć jest niepodzielnym
stanem – trwa tylko chwilę i sprzeczność ma w sobie.
Piękno rzeźby, obrazu – do oczu podaje
błysk momentu, co wieczny, aczkolwiek chwilowy
jak wtedy: to cierpienie nieschowane w grobie –
łza Matki i korona nieśmiertelnej Głowy.



rys. Bogna Skwarzna

Podsumowania

Dopiero teraz widzę, że braknie mi życia:
już nie będę pianistą, rzeźbiarzem, fizykiem,
akrobatą ni skoczkiem, ani mistrzem bycia,
choć być niż mieć bardziej i od zawsze chciałem.
Zamiast życie pożegnać bolesnym okrzykiem,
wolałbym wziąć od serca – pracy doświadczenie:
czyńmy, dopóki można. A potem – co ciałem,
niechaj z duchem by przeszło w wieczne prze-istnienie.

30.11.2010



Psia radość bez smyczy Na środkowej łące

Szczęście aż ziaje:
czarny psyk
w uśmiechu białym –
jak po nocy poranek.
Ogon młynkiem jak śmigłem
psią duszę unosi,
a pod nią na łące cień jej –
pies czarny
buszuje wśród kwiatów:
tyle zapachów, mysich tropów,
zieleni, bieli,
żółci, czerwieni.
W kółeczko, w kółeczko,
to za wonią,
trochę za ogonem,
trochę za panem...
Na grzbiet,
na bok,
na łapy cztery
i znów –
w kółeczko, w kółeczko,
na wprost
i w tył,
i w bok,
i w skok.

I po sznureczku
za lisim tropem,
za jelonkiem, zającem,
za kretem.

Co pachnie? Co jest?
Czego nie ma?
I słom, i boczekiem,
Sznureczkiem –
pies wraca do pana,
a psia dusza – do ciała.

22.07.2017

...the eye sees the love.

Morowa niedziela

Świat jak schnące bajoro powoli obnaża
pustkę mielizn i błoto, i przestrzeń bezładną.
W czterech ścianach śmiech głuchnie i już nie zaraża,
jako wcześniej bywało. Pęcznieje od znaczeń
izolacja. I minus jeden, więc gdy wiosną zładną
rachityczny śnieg pada, zachwycasz się bielą,
pozorem oczyszczenia. A gusła tłumaczeń
nocne myśli jak włos ci aż na czworo dzielą.

22.03.2020

Wygadany wyga Szwejk. Stulecie powieści Haszka

JERZY PASZEK

Osudy *dobrého vojáka Švejka za světové války* opublikowano w latach 1921–1923. Jak wygląda to słynne dzieło czeskiego pisarza po 100 latach? Jak przebiegała jego historia u nas? Czy jeszcze narracja ta bawi, wzrusza i urzeka? Uważam, iż spokojnie można dziś o tym opowiadać, choć zdaję sobie sprawę z faktu, iż Haszek spoglądał na nas podejrzliwie, poprzez dawno utrwalony stereotyp Polaka-arystokraty (rekontra naszej postawy, opartej na szablonie Czecha-Pepika, czyli cwaniaka i piwosza). Ale są to, jak przypuszczam, nieaktualne już klisze, więc możemy je tutaj ująć w nawias lub otulić opończą milczenia (jak powiada omawiany autor).

Pierwsze polskie tłumaczenie 4 tomów tego utworu ukazało się w latach 1929–1930 pod tytułem *Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej* w przekładzie Pawła Hulki-Laskowskiego (1881–1946). Książka miała wielkie powodzenie, gdyż 30 razy – przed II wojną światową i po niej – wznawiano tę wersję, wprowadzając liczne poprawki i ulepszenia tekstu. W 1991 ukazało się następne przedsięwzięcie translatorskie: Józef Waczków (1933–2005) dał nam bardziej wyrazistą stylistycznie opcję (nie szczędząc wulgaryzmów i potocznej idiomatyki) jako *Dole i niedole dzielnego żołnierza podczas wojny światowej*. Niecałe dwie dekady później Antoni Kroh (ur. 1942), współautor z Barbarą Magierową przebojowego słownika *Z polskiego na nasze, czyli Prywatny leksykon współczesnej polszczyzny* (Warszawa 2019, Wydawnictwo Iskry), zaproponował czytelnikowi *Losy dobrego żołnierza Szwejka czasu wojny światowej* (Kraków 2009, 2015).

Tak wyglądałaby historia przekładów dzieła Haszka, gdyby nie inicjatywa bohemy Jacka Balucha (1940–2019), który namówił Kroha do przystosowania tej wersji czeskiego tekstu do serii Biblioteki Narodowej. Baluch przekonał tłumacza do zmiany tytułu powieści na takie brzmienie, jakie od 90 lat towarzyszy polskiemu czytelnikowi, czyli na powrót „przygód” i na „wojaka”. Recenzent „Rocznika Literackiego” za rok 1955, Andrzej Sieczkowski, uważał, iż „przygody”

nie są szczęśliwym oddaniem czeskiego wyrazu „osudy”, gdyż raczej powinno się powiedzieć „losy” bądź „dole i niedole”; tak samo „wojak” nie jest odpowiednikiem czeskiego „vojaka”, a gdyby już posłużyć się nim, to epitetem powinien tu być „dzielny”, a nie „dobry”. Jak widać, czytelnicy nie mają filologicznej racji, ale za to dobry słuch (paralelizmy głoskowe nagłówka, w tym perseweracja „o”) i głosują poprzez zakupy, co w tym wypadku (i interesie księgarskim) najbardziej się liczy! I tak leży przede mną dodruk z roku 2020 edycji, opublikowanej pt. *Przygody dobrego wojaka Szwejka czasu wojny światowej* jako 261 tom II serii Biblioteki Narodowej w roku 2017 (przeł. A. Kroh, wstęp i przypisy J. Balucha). Książka ma prawie 1000 stron, z czego 144 zajmują informacje bibliograficzne i bardzo interesujące bohemistyczne wprowadzenie.

Jak wiadomo, Haszek nie ukończył swej powieści, bo zmarł na samym początku 1923 roku jako niespełna 40-latek. W prezentowanej tu wersji na s. 839, po słowach porucznika Duba („Przypominam to sobie zwłaszcza dziś, gdy nasze wojska niebawem przekroczą granice”), jest przypis: „W tym miejscu urywa się rękopis Jaroslava Haška” (cytuując edycję BN, używam skrótu AK). Prof. Baluch nie posługuje się więc wersją pierwodruku 4 tomu, gdzie znajduje się niezbyt udane dokończenie tego woluminu autorstwa Karela Vaňka. Cztery tomy powieści Haszka (jak widać, nie uważam, by należało naśladować Kroha i Balucha w zapisie czeskich nazwisk!) nie zbliżają się objętościowo do BN-owskich tomów, zawierających dwutomową *Lalkę* Prusa (1322 s.) czy dwa woluminy *Popiołów* Żeromskiego (1084 s.). Czyli polscy maturzyści muszą nieco dłużej przysiądać fałdów w czasie lektury polskiego pozytywisty aniżeli ich czescy koledzy, odczytujący bliższą naszych czasów narrację o losach, dolach i niedolach wojaka Szwejka! To oznacza, że 4 tomy Haszka są krótsze od 3 tomów Żeromskiego (w wydaniu krytycznym) i 2 tomów Prusa (tylko w pierwodruku były tu 3 woluminy). Ale wcale nie są mniej skomplikowane w odbiorze niż epepe-

ja napoleońska lub epos mieszczański, dotyczący Warszawy z końca XIX wieku. Śledzenie losów Szwejka od prawdziwych koneserów wymaga kontaktu aż z dwiema encyklopediami, skierowanymi do nich w roku 1998 i 1999, a napisanymi przez Milana Hodika i Pawła Landę (zob. AK, CXXXVIII).

W Polsce odpowiednikiem czeskich encyklopedii mogą okazać się książki Kroha (*O Szwejk i o nas*, Warszawa 2002) oraz Leszka Mazana (*Wy mnie jeszcze nie znacie, czyli Prawie wszystko o Szwejk*, Kraków 2003), a także – przynosząca szersze spojrzenie na całą epokę początku XX wieku – pięknie ilustrowana libella Mieczysława Czumy i Mazana pt. *Austriackie gadanie, czyli Encyklopedia Galicyjska* (Kraków 1998), w której w oddzielnym haśle oznajmiono, iż w roku 1997 w Łańcucie powstało „C.K. Wschodniogalicyskie Umiarowane i Niedochodowe Towarzystwo Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka, Ordynansa 11 Kompanii Marszowej 11 [ma być: 91] Pułku Piechoty z Czeskich Budziejowic pod Patronatem Miłościwie Mu Panującego Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I”. W tomie tym jest oczywiście hasło dotyczące bohatera Haszkowej narracji, gdzie napisano: „Nazwisko (niem. *schweigen* – milczeć) zapożyczone od dozorczy burdelu z ul. Na Boiści w Pradze lub od posta partii agrarnej Józefa Szwejka, ewentualnie od szewca z Królewskich Winohradów w Pradze”.

Tak więc mamy tu pierwszy z dwu głównych paradoksów nagłówkowych arcy powieści: „milczący” Szwejk jest przecież tak namolnym gadułą, że prof. Baluch dwukrotnie wspomina o gargantuicznej jego gadaninie (AK, LI; LXII)! Drugi paradoks dotyczy niepodważalnego faktu, iż wojak z wojną światową ma incydentalny kontakt, gdyż jest na tyłach (tytuł I tomu), w aresztach lub szpitalach, a gdy wychodzi już na przesięgi, to zaraz przebiera się w rosyjski mundur, by móc się radośnie cieszyć (trzeci paradoks): „Dostałem się do naszej niewoli” (AK, 759). Wojna jest tylko tłem dla niekończącej się serii gagów i blackoutów tego komediowego fajtła-

py. Informuje nas Kroh, że „Pierwszy szkic, pierwszy zarys pomysłu *Dzielnego wojaka Szwejka* powstał w maju 1911 roku. Większość anegdot, znanych nam z lektury powieści, występuje już dawniej, w przedwojennych humoreskach, których młody Haszek napisał ponad tysiąc” (A. Kroh: *Szwejk stylizowany na Szwejka*, „Literatura na Świecie” 1983, nr 2, s. 396).

Jak wiadomo, na tekst tej powieści składa się wiele języków, bo wielojęzyczne było również Cesarstwo Austro-Węgierskie. Przeważa oczywiście czeszczyzna, ale oficerowie austriaccy mówią po niemiecku, żołnierze zaś znają serbski, polski, rosyjski, włoski czy węgierski. Ta gmatwanina leksykalna jest świetnym środkiem i środowiskiem wykluwania się różnorodnych gier słownych. Te pochodzą zapewne z 1000 wspomnianych humoresek. Szwejk kłóci się z chłopem węgierskim o zapłaconą kurę: „Also zehn Gulden – zwrócił się do mężczyzny – fünf Gulden Henne, fünf Auge. Ór forint, widzisz, kikiriki, ór forint kukuk, igen?”, co można przetłumaczyć jako: „A więc dziesięć guldenów, pięć guldenów kura, pięć oko. Pięć forintów, kukuryku, pięć forintów kuku” (AK, 614). Chodzi o kurę i podobne oko chłopca. Pożegnanie też jest wielojęzyczne: „Jó napot, barátom, adieu, lež do svojej baby” (AK, ib.). Po węgiersku jednak nie jest to „do widzenia” (jak francuskie „adieu”), lecz „dzień dobry, przyjacielu”!

Pięknym przykładem poliglotyzmu tamtych czasów jest historia o „starym austriackim wszarzu”. Nauczyciel cześci siedzi w areszcie, bo w swoim aluzyjnym politycznie wierszyku napisał: „Wszom w wojsku się wspaniale darzy, / przywykły także i do szarż, / z wszą pruską już się dziarsko parzy / ten stary austriacki wszarz” (AK, 435). Szwejk instruuje belfra, jak się ma bronić: „Tylko wyjaśnij im pan, że wszarz to samczyk od wszy i że na samiczkę wesz może włączyć wyłącznie samczyk wszarz. [...] a jak na samca świni mówi się knur, to tak samo na samca wszy – wszarz” (ib.). Nauczyciel żali się jednak, iż sędzia śledczy mu wytłumaczył, „że samczyk od wszy nazywa się po czesku wieszak. »Szadny fszarz«, mówił pan audytor, »fieszak«. Femininum, sie gebildeter Kerl, ist »ten fesz«, also masculinum ist »ta fieszak«” (ib.). Co można przetłumaczyć: „Rodzaj żeński, wy durna kreaturo, jest »ten fesz«, więc rodzaj męski jest »ta fieszak«” (czyli decydujący o wyroku sędzia okazuje się śmiesznym i wielkim ignorantem!).

Dla współczesnego czytelnika lingwistyczną atrakcją *Przygód* mogą być niemieckie wyrazy złożone, które mają niekiedy aż 30 liter. Na końcu powieści pojawia się jednoroczny ochotnik Marek, który zostaje odkomendero-

wany do pisania bojowych czynów batalionu, czyli na ważne stanowisko batalionsgeschichtsschreiberna (AK, 627). Jako że przytaczane są często brulionowe zapiski Marka, gdzie tylko trzeba będzie potem dodać daty i detale geograficzne, by rzecz nadawała się do druku, ten długi tytuł stanowiska historyka oddziału uderza w oczy na kolejnych stronicach (AK, 628, 652, 660, 816). A takich brzydów „longierów” jest tu kilkanaście, np.: Offiziersmenagekücheabteilung (AK, 671; ‘oddział kuchni oficerskich’), Einjährigfreiwilligenschule (AK, 455; ‘szkoła jednorocznych ochotników’), Subordinationsverletzung (AK, 493; ‘naruszenie dyscypliny’) itd., itp. Po polsku mamy jedynie możliwość trzydziestoipółcentrymetrowe (AK, 560). Tłumacz stara się poprzez szereg neologizmów wykreować nazwy kulinarnych wymyślnych rytuałów księdza Lacinia: „Niczego nie wolno przepieprzyć, przepaprykować... [...] Przegoż-dzi-ko-wać, prze-cy-try-no-wać, prze-an-giel-sko-zie-lić, prze-muszka...” (AK, 360), ale Lacinia w swych wywodach chyba nie dochodzi do teutońskich gabarytów leksyki.

Antoni Kroh w oddawaniu po polsku gier słów, a w tym kalamburów, nie jest bezradny, choć nie kroczy ścieżkami Waczkowa, który w *Tarapatach dzielnego żołnierza Szwejka* (tytuł pierwotnego przekładu w „Literaturze na Świecie” z roku 1983) dokładnie i humorystycznie kreował oryginalne nazwy ulic czeskich miast lub nazwiska i imiona bohaterów: handlarz bydłem Bulwa Brzytwosław, gajowy Siuras, inny gajowy Szeptala Pepik, doktor Pyszalik, ulice Jęczmienna i Spalona itp. Nie są to najwyższe loty komizmu, ale stosowane w dawnej literaturze popularnej. Kroh inteligentnie gra za to niedopowiedzeniami; w przyznaniu się pomocnika kowala „Dymam u Krzyża” (AK 437) nie ma nic, jak się okazuje, podejrzanego, gdyż przepytywany cywil „porusza miechem u kowala Křiža” (AK, 438). Takich żartów z podtekstami religijnymi jest tu sporo. Gdy porucznik Dub pyta Szwejka „Gdzież to ja jestem?” pada odpowiedź: „Raczy pan przebywać w burdelu, panie lejtnant. Nieodgadnione są, jak by to rzec, ścieżki Pańskie” (AK, 701). A oto inny fragment z „niewinnym wersem biblijnym” w ustach Szwejka: „Małuczko, a ujrzycie mnie, i znowu małuczko, a nie ujrzycie mnie” (AK, 638). Nie wspomnę o serbskich i włoskich frazach przekleństw, gdzie erotyka miesza się z postaciami świętych i nawet boskimi; Szwejk następująco opisuje feldkurata (polowego kapelana): „Przepiliśmy we dwóch monstrancję, a przepiliśmy nawet samego Pana Boga, gdyby ktoś nam za niego coś dał” (AK, 360; nb. chodzi o krucyfiks).

Najsławniejszy rozdział z całej powieści dotyczy „Pociechy duchowej”.

Aresztant Szwejk, prawie pewny tego, że go wkrótce powieszą za szpiegostwo, przyjmuje w celi kapelana polowego Martinca, który tam nie przyszedł, „ale w pełnym tego słowa znaczeniu wpłynął, niczym baletnica na scenę. Niebiańskie doznania i butelka starego Gumpoldskirchen czyniły go lekkim jak piórko. Marzył, że w owej doniosłej i świętej chwili zbliża się do Szwejka” (AK, 781). I tak zamiast pociechy duchowej dla ordynansa mamy fabularną „przewrotkę”, bo to on sam pociesza pijanego kapelana, który myślał, że nigdy nie natknie się na kogoś gorszego od „świntucha proboszcza”, powtarzającego „Pulchna dziewczka – to całe moje życie!” (AK, 775), a u generała Finka rozpił się i rozamorał tak dalece, iż przy tym „pulchne dziewczki jego proboszcza były niewinnym paciorkiem do anioła stróża” (ib.). Co najciekawsze, w tekście wstępu prof. Balucha pojawiają się detale ulubienic z plebanii: proboszcz miał opowiadać „o słodkich cyszczkach pulchnych dziewczek” (AK, XLI)! A może tak jest w oryginale?

W powieści Haszka walcząca ze sobą państwa i krainy utożsamiają się z odmiennymi religiami i wierzeniami; obok chrześcijan, katolików i protestantów, widzimy starozakonnych, grekokatolików i starowierców, mahometan (Turcy, Bośniacy). Już na początku narracji Szwejk słucha wywodów karczmarsza Palivca: „Czy to temu naszemu Ferdynandowi zrobił Serb czy Turek, katolik czy mahometanin, anarchista czy młodoczech, mnie tam wszystko jedno” (AK, 14). Pod koniec utworu generał Fink chwali się Martincowi: „za Lwowem udało się powiesić człowieka w trzy minuty po wyroku. To był co prawda Żyd, ale jednego Rusina powiesiliśmy pięć minut po narodzie. [...] Na szczęście obaj nie potrzebowali pociechy religijnej. Żyd był rabinem, a Rusin popem” (AK, 779). Jeśli więc jest w *Przygodach dobrego wojaka Szwejka* jakakolwiek wojna na serio, to umieszczam ją na styku ateistów (do niedowiarstwa przyznaje się wszak główny bohater: „Ja jestem niewierzący”; AK, 157) oraz wierzących chrześcijan, starowierców, izraelitów bądź mahometan. W takim tygliku krajów i religii łatwo o szerzenie nietolerancji, a „bez względu na naszą wiarę wszystkie byty religijne oprócz jednego są postaciami fikcyjnymi i dlatego – nawet jeśli nie chcemy wyznaczyć tego jednego, który ogólnemu prawu nie podlega – 99 procent bytów religijnych jest z pewnością postaciami fikcyjnymi” (U. Eco: *Na ramionach olbrzymów. Wykłady na festiwalu La Milaneseana w latach 2001–2015*, przeł. K. Żaboklicki, Warszawa 2019, s. 208). Tako rzeczce Umberto, a Jarosław Haszek pewnie by się z nim na 100 procent zgodził!

Weronika Kostyrko w pierwszej pełnej biografii Poli Nireńskiej, zatytułowanej *Tancerka i Zagłada. Historia Poli Nireńskiej*, z pietyzmem rekonstruuje życie jednej z najzdolniejszych tancerek międzywojna, a także śledzi jej poczynania w kolejnych metropoliach europejskich (Drezno, Wiedeń, Florencja, Londyn), a także w Nowym Jorku. Kostyrko większość informacji o Nireńskiej zdobyła podczas kwerendy w Bibliotece Kongresu (po samobójczej śmierci tancerki w 1992 roku jej mąż – Jan Kariski – zdeponował w niej wszystkie dokumenty żony), część z nich zawarta była w trzech nagranych z Nireńską rozmowach (pierwszą nagrał w 1974 roku w Waszyngtonie Marian Marek Drozdowski, drugą zarejestrował dziesięć lat później George Jackson, natomiast ostatnia rozmowa odbyła się 12 maja 1986 roku – jej maszynopis ma dwie wersje, niestety Kostyrko nie udało się ustalić, kto ją przeprowadził).

Na szczególną uwagę zasługuje umiejętność autorki poszerzania biograficznej perspektywy, dzięki czemu jednostkowa historia Poli (Perli, Pauli) Nirensztejn, Nirenstein, Nirensztajn została osadzona w szerszym kontekście (przemieszczała się ona między kilkoma krajami, poznając wybitne artystki, zachwycając tanecznym stylem, a także wymykając się sztywnym klasyfikacjom – zarówno tym narodowym, jak i dotyczącym upodobań seksualnych). Śledząc losy Nireńskiej, czytelnik może przekonać się, jak wiele samozaparcia potrzebne było dziewczynie z żydowskiej rodziny, w której głównym celem kobiety było poświęcić się mężczyźnie i rodzinie, w drodze do osiągnięcia sukcesu, a także jak krótko trwa kariera wziętej tancerki. Nireńska wykorzystała jednak zdobyte w Europie i Ameryce doświadczenie i zdecydowała się w udzielać lekcji tańca. Jej życie można by uznać za spełnione, gdyby nie decyzja o samobójstwie, która jest skazą na wizerunku kobiety spełnionej, kochanej i kochającej. Decyzja ta wynikała mianowicie z niepogodzenia się z faktem przymusowego przejścia na katolicyzm (teza Kayi Mireckiej-Ploss), a także upływem czasu, który odcisnął piętno na urodzie Nireńskiej i jej ruchach (teza Rimy Faber). George Jackson twierdził, że Nireńska popełniła samobójstwo z powodu nieszcześliwej miłości, natomiast Nancy Schandlmeier wskazywała na jej problemy psychiczne, być może niepoczytalność (artystka lekkomyślnie podała numer karty kredytowej człowiekowi, który obiecał, że następnego dnia pod domem będzie na nią czekał nowy samochód).

Epilog życia Nireńskiej obfitował w wydarzenia typowe dla wieku starszego, których goryczy nie neutralizowały niewątpliwe sukcesy tancerki na wielu polach (udzielała lekcji, uchodziła za autorytet, fotografowała, pielegnowała ogród). Kostyrko świadomie koncentruje się na bujnym życiu towarzyskim i zawodowym Nireńskiej, naświetlając jej niewątpliwie chwile triumfu. Decyzja o samobójstwie nie licowała z jedną z wypowiedzi Nireńskiej, udzieloną Drozdowskiemu w 1975 roku: „Na koniec gość z Polski chce się dowiedzieć od pani Karskiej, co sprawia jej przyjemność »obok działalności artystycznej, którą pani zakończyła...« – i tu Pola wpada mu nagle w sło-

Wymykająca się Nireńska

KSIAŻKI

wo najczystsą polszczyzną: »Działalności artystycznej nigdy się nie kończy – słychać jej cichy śmiech – »to znaczy – ciągnie po angielsku – że wszystko, co robisz w życiu codziennym, należy do twojej sztuki. Mój kaktus jest częścią mojej sztuki. Mój ogród jest moją sztuką. Wszystko, co robię, jest sztuką, i nie skończy się nigdy, aż do dnia mojej śmierci» (s. 385–386).

Ostatni okres jej życia opowiedziany jest oszczędnie ze względu na chęć podkreślenia zasług tancerki dla propagowania nowoczesnego tańca poza granicami Polski. Nie trudno dostrzec jeszcze jeden powód skróconego potraktowania ostatniego okresu życia Nireńskiej, który wiązał się z pamięcią o zamordowanych w czasie Zagłady członkach rodziny: biografka nie chciała podwójnie stygmatyzować Nireńskiej (jako Żydówka doświadczyła antysemityzmu, dlatego decyzję o skupieniu uwagi na aktywnościach tancerki, a nie roli niedosłej ofiary Holocaustu, trzeba uznać za właściwą strategię).

Żydzi urodzeni w pierwszej dekadzie XX wieku zmagali się z problemem antysemityzmu, zaostżaniem antagonizmów na uczelniach, pomówieniami o obcość, obserwowali narastające zagrożenie ze strony nacjonalistów. Doświadczenie bycia inną, obcą nie ominęło Nireńskiej. Jednak jej biografia świadczy o silnym imperatywie samodoskonalenia, pokonywania kolejnych przeciwności. W jej ramy wpisany jest nie tylko element *Bildungsroman*, lecz również żydowski nakaz pamiętania o zgładzonych (Nireńska opłakiwała nie tylko śmierć dalszych członków rodziny, lecz również siostry Franki).

Trudno oprzeć się sugestywnemu układowi książki świadczącemu o tym, że jedyną szansą na uchwycenie życia Nireńskiej w całym jego bogactwie, było napisanie biografii, która przyjęła formę konstelacji osobowości. Obok Karskiego, pojawiają się w niej m.in. Rosalia Chladek, Janina Mieczysłowska, Priaulx Rainer, Mary Wigman. Każdej z postaci poświęca Kostyrko osobny fragment, dzięki cze-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

mu czytelnik może rozeznaczyć się w personalnych zależnościach między poszczególnymi osobami. Liczne znajomości świadczą o tym, że Nireńska była osobą łatwo nawiązującą kontakty, zafascynowaną artystkami, jednak jej charakter nie należał do najłatwiejszych. Biografka Nireńskiej nie koncentruje się tylko na zawodowych sukcesach Żydówki, która dążyła do emancypacji i zdobycia życiowej niezależności, lecz również jej romansach i trzech małżeństwach, z których najważniejszym było to zawarte z Janem Karskim.

Sukces Perli Nirensteinównie zapewniły nie tylko niekwestionowana uroda, lecz również wytrwałość, konsekwencja w dążeniu do zdobywania artystycznego wykształcenia w kolejnych renomowanych szkołach tańca oraz wrodzony talent przejawiający się w dystynkcji ruchów: „Nie farbowała włosów, do jedwabnych sukien nosiła jednak sznur pereł »operowej długości«. Nawet w ogrodzie snuła się za nią delikatna smuga perfum. Pięknie się śmiała. Gdziekolwiek weszła, »wypełniała sobą całą przestrzeń«” (s. 13). Biografia Nireńskiej to książka oparta na rzetelnych kwerendach archiwalnych. Bez wątplenia historia utalentowanej tancerki, która uniknęła Zagłady, zainteresuje czytelników śledzących losy osób tak barwnych, jak Nireńska. Nieprzypadkowo na okładce znajduje się jej zdjęcie w jednej z tanecznych poz, na którym prezentuje swoją artystyczną wrażliwość. Gorycz starości rekompensowało jej cudowne życie znaczone jednak niekończącymi podróżami, zmianami otoczenia i ludzi. Biografia Nireńskiej pozwala na częściowe poznanie świata, który przeminał (ze względu na Zagładę) i tego, który pozostaje tajemnicą bohemy artystycznej, pełnego przepychu, blichtru, piękna i elegancji. ■

Weronika Kostyrko: *Tancerka i zagłada. Historia Poli Nireńskiej*, Czerwone i Czarne, Warszawa 2019, s. 424.

W statucie Panteonu Górnośląskiego czytamy, że jest instytucją kultury, do której zadań należy m.in. zachowywanie i upowszechnianie wiedzy w zakresie historii Górnego Śląska po zakończeniu I wojny światowej oraz upamiętnianie, zachowanie i upowszechnianie dziedzictwa poprzez czczenie pamięci osób zasłużonych dla polskości ziem Górnego Śląska ze szczególnym uwzględnieniem twórców, artystów, naukowców, polityków, żołnierzy oraz osób duchownych. Zapleczem naukowych tak pomyślanej instytucji stał się *Leksykon Panteonu Górnośląskiego*, skonstruowany jako kompendium wiedzy o ludziach zasłużonych dla Górnego Śląska. W wywiadzie dla Radia Katowice w audycji *Ślady* (emisja 19.04.2021) ks. prof. Henryk Olszar, który wspólnie z dr Aleksandrą Kłos-Skrzypczak (redaktorką publikacji) przybliżył okoliczności jej powstania, wspominał: „W połowie 2018 roku podeszliśmy z taką propozycją (Wydział Teologiczny UŚ – PS), żeby właśnie przygotować ten wkład merytoryczny do tej instytucji kultury, jaką jest Panteon Górnośląski. Przygotowaliśmy wniosek grantowy. Po pół roku ten wniosek został zaakceptowany przez Ministerstwo Nauki i od 21 lutego 2019 roku zaczęła się praca naukowa w ramach naszego grantu zatytułowanego *Panteon Górnośląski – Badania Naukowe*. Tę pracę podjęło, aż 46 autorów”. Nad leksykonem pracowali nie tylko wybitni naukowcy w randze profesorów uniwersyteckich, ale co było wymogiem grantu, także studenci, magistranci i doktoranci. Badania z zakresu szerokiej biografistyki odbywały się nie tylko w Polsce, ale także poza granicami kraju. Oczywiście największą liczbę wśród autorów biogramów stanowili uczeni z rodzimego Uniwersytetu Śląskiego, ale wśród zaangażowanych w projekt są także badacze reprezentujący Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Politechnikę Opolską w Opolu, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II w Lublinie, Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie, katowicki oddział Instytutu Pamięci Narodowej, liczne biblioteki, muzea i instytucje kultury. Tak duże spektrum, zdaniem redaktora, zapewniło rzetelność badań i obiektywizm, co przy sporządzaniu życiorysów, które z reguły podlegają różnym ocenom, nie jest zadaniem łatwym.

Układ alfabetycznie ułożonych haseł wygląda następująco: tytuł – nazwisko i imię bohatera, jego zdjęcie, imię i nazwisko autora biogramu, zasadniczy tekst not biograficznych, bibliografia, opis źródła fotografii oraz krótkie streszczenie każdego biogramu w języku angielskim i niemieckim”.

Taka koncepcja prezentacji zakłada przejrzystość i planowość kompendium, napisanego także z myślą o czytelniku z zagranicy. Ów podręcznik czy przewodnik po ostatnim stuleciu historii Górnego Śląska adresowany jest, jak piszą w przedmowie redaktorzy, do młodego pokolenia, ma więc w zamiarze walor edukacyjny i wychowawczy. Zabiegowi swoistej interaktywności, nie tylko z młodym pokoleniem czytelników, służy wyróżniona na marginesie poszczególnych biogramów myśl czy hasło, charakteryzujące ich bohaterów. Pozwala to jak w soczewce skupić przy-

KSIAŻKI

pisywane mu zasługi i pozostawia ślad w pamięci odbiorcy. Na przykład biogram Stanisława Ligonia opatrzone wpisem: „Malarz, literat, tęgą znawca folkloru, orędownik teatrów ludowych, powstaniec, dyrektor radia, poseł na Sejm, ojciec miasta i pięknych cór”, zaś bł. ks. Emila Szramka charakteryzuje zdanie: „W obozie podnosił na duchu, spowiadał, głosił kazania, w których wyrażał nadzieję na uwolnienie i odrodzenie Polski”.

To samo zadanie ma do spełnienia fotografia, chociaż przyznajmy, że jak na ponad tysiącstronicową objętość dzieła, jest ona bardzo skromnych rozmiarów. Nie wiem, czy dla młodego pokolenia taka forma prezentacji może konkurować z możliwościami Internetu, chociaż przygotowano także wersję elektroniczną w postaci ebooku. Trzeba założyć, że *Leksykon* tylko otwiera drogę do poznania ludzi tej ziemi. Trzeba będzie zajrzeć do niego zarówno przed wizytą w Panteonie Górnośląskim, jak i po niej. Nie obędzie się również bez przewodnika w postaci doświadczonego pedagoga – i to nie tylko historyka, ale także polonisty, regionalisty, nauczyciela wiedzy o społeczeństwie czy katechety. Panteon pokazuje bowiem bogactwo wynikające z różnorodności, specyfiki i wyjątkowości Górnego Śląska nazywanego „perłą w koronie” czy „szmaragdem Europy”, który im więcej ma domieszek i składników, tym jest cenniejszy i piękniejszy.

Leksykon Panteonu Górnośląskiego pomieścił w swoim obecnym kształcie biogramy aż 158 osób. Nie jest to jednak publikacja zamknięta, a liczne głosy wskazujące na potrzebę jej uzupełnienia i poszerzenia docierały do opinii społecznej jeszcze w trakcie jego tworzenia. Niemal każde środowisko pytało o osoby, które zdaniem wielu powinny znaleźć się w tak zacnym gronie. Nie dziwi zatem następujące stanowisko twórców, wyrażone w przedmowie:

„Jako redaktorzy *Leksykonu Panteonu Górnośląskiego* zdajemy sobie sprawę z tego, że dobór niektórych postaci i brak innych, przy zacho-



waniu kolegalności w podejmowaniu decyzji oraz przeprowadzeniu konsultacji środowiskowych, zawsze będzie wzbudzał kontrowersje, podobnie jak antagonizmy, dotyczące przeszłości niektórych bohaterów opracowania, które odnotowano w ich biogramach w wyniku rzetelnie przeprowadzonych badań. Ogrom dzieła, *dubium* z właściwym wyborem postaci i skuteczną próbą obrony obranego celu i jego realizacji są jednak tutaj znaczące. Ostatecznie nie jest to już zamknięte grono osób, zakwalifikowanych do przyszłego Panteonu Górnośląskiego, czyli przestrzeni kulturalnej w podziemiach katedry pod wezwaniem Chrystusa Króla w Katowicach, ale lepiej powiedziawszy: »pierwsza przymiarka«, dzięki której wytyczono ważny cel upamiętnienia znaczących rocznic, jakie przeżywamy na Górnym Śląsku”.

„Swada” w tej kwestii wydaje się dla przedsięwzięcia niezwykle owocna, jest bowiem dowodem na to, że nasza własna historia, jej korzenie i dzień obecny nieustannie nas obchodzą, że dostrzegamy ją z różnych perspektyw, pozycji i kontekstów. Na owo bogactwo, które już można dostrzec w publikacji, zwrócili uwagę również jej recenzenci. Prof. Piotr Górecki napisał: „Cieszy fakt, że w gronie zasłużonych Ślązaków znajdują się osoby nie tylko urodzone na Śląsku, ale także pochodzące z różnych zakątków Polski i Europy, zaangażowane dla dobra tego pięknego skrawka ziemi, albo też będące swoistego rodzaju ambasadorami Śląska poza jego terytorium. Otwarcie się na różne środowiska naukowe, społeczne, kulturalne i polityczne stanowi pewnego rodzaju determinantę zamierzonego dzieła. Zrobiono dobry początek i wypada żywić nadzieję, że również *bonus finis coronat opus*”.

Leksykon Panteonu Górnośląskiego.
Redakcja Aleksandra Kłos-Skrzypczak, ks. Henryk Olszar, Księgarnia św. Jacka, Katowice 2020, s. 1056.

Kilka miesięcy temu dość impulsywnie postawiłam ryzykowną, ale na swój sposób przemyślaną tezę, że książki Zofii Kossak – pisarki, która zmarła stosunkowo niedawno – w 1968 roku – wypadły z obiegu czytelniczego. Argumentowałam, że o twórczości tej autorki zapomina się, nawet odbiorca dorosły rzadko ma okazję z tą literaturą obcować, a podejmowane próby przybliżenia jej dzieł młodemu czytelnikowi są zbyt rzadkie i za mało spektakularne. Wtedy przekonano mnie, że nie jest tak źle, zaś wydanie w 2020 roku w Lublinie zbioru dwóch reportaży Zofii Kossak, czyli *Szukajcie przyjaciół* oraz *Laska Jakubowa*, jest próbą ponownego zainteresowania współczesnego młodego odbiorcy pisarstwem autorki *Z otchłani*.

Jakkolwiek rzecz się ma ze wznowieniami powieści autorki *Z otchłani*, pocieszające i napawające optymizmem są działania podejmowane przez kilka ośrodków naukowych w Polsce w zakresie pogłębiania studiów nad dorobkiem twórczym Kossak. Mam tu na myśli: Częstochowę, Katowice, Lublin i Białystok (czyli *de facto* prawie wszystkie miasta, z którymi biografia Zofii Kossak była nierozzerwalnie spleciona). Co jakiś czas środowiska literaturoznawców podejmują próbę poddania naukowemu namysłowi dziedzictwa literackiego autorki *Pożogi*.

Po ciężkim pandemicznym roku rekomenduję i namawiam, by podczas tegorocznych wakacji wybrać się do Górek Wielkich, pooddychać góreckim powietrzem i w cieniu rozłożystych drzew oddać się lekturze zwłaszcza jednego komplementarnego opracowania dotyczącego życia i twórczości Zofii Kossak. Mowa o pokłosiu senackiej konferencji w 2018 roku, publikacji *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* pod redakcją Elżbiety Hurnik, Anny Wypych-Gawrońskiej i Eweliny Dziewońskiej-Chudy, przy współudziale Artura Warzochoy. Wydaną przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza w Częstochowie w 2020 roku książkę otwierają *Słowo wstępne* Stanisława Karczewskiego, marszałka Senatu RP, oraz szkic *Dlaczego Zofia Kossak?* Artura Warzochoy, senatora RP IX kadencji, zamyka zaś *Wspomnienie o mojej Babci – Zofii Kossak* Anny Fenby Taylor.

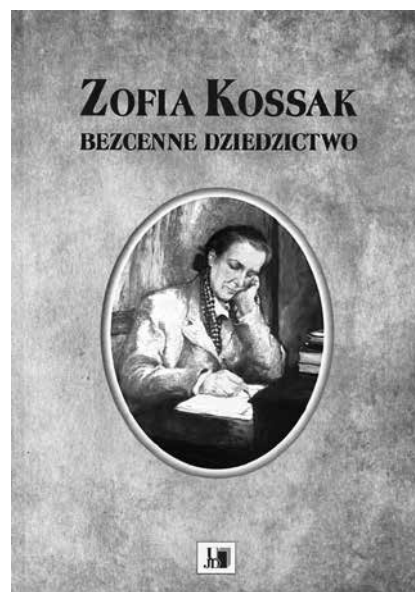
Może zastanawiać, dlaczego lekturę publikacji *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* umiejscawiam akurat na łonie natury. Po pierwsze, winni jesteśmy sobie po „czasie zarazy” czułość przyrody. Po drugie, czytać Kossak i o Kossak należy tak, jak być może ona sama i autorzy poszczególnych opracowań (a zwłaszcza, jak sądzę, Zdzisława Mokranowska, której tekst prowadzi w stronę przyrody i naszych braci najmniejszych) zawartych w tomie by tego pragnęli – w ciszy, bez pośpiechu, w otoczeniu fauny i flory, w pełnym świetle, w słońcu.

Wbrew pozorom tom *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* nie jest zbiorem luźnych, przypadkowych refleksji. Kamila Morcinek i Diana Pieczonka-Giec (przybliżając sylwetkę, jednocześnie uzupełniając portret duchowy pisarki), Elżbieta Wróbel (koncentruje się wokół zagadnienia związanego z ludźmi, których Zofia Kossak spotkała w Częstochowie), Krystyna Heskakwaśniewicz (w *Prolegomenie do Zofii Kossak* podkreśla, że wszystko, o czym autorka *Krzy-*

Zofia Kossak jubileuszowo

KSIAŻKI

żowców pisała w swoich powieściach, realizowała w życiu), François Rosset (skupia się na kodeksie wartości babci), Agnieszka Czajkowska (poświęca uwagę chrześcijańskiemu wymiarowi pisarstwa Zofii Kossak), Krzysztof Dybciak (przedstawiając miejsce pisarki w prozie polskiej XX wieku, wskazuje m.in. braki w opracowaniach syntetycznych, w których autorka *Z otchłani* była pomijana), Adam Regiewicz (interpretuje *Bez oręza*, odwołując się do instrumentarium hermeneutyki śladu), Beata Łukarska (przybliżając postać św. Stanisława Kostki, konfrontuje wizerunek świętego z tradycją hagiograficzną XVI i XVII wieku), Konrad Ludwicki (wskazuje na autobiograficzne elementy i przeżycia religijne autorki zawarte w opowiadaniach dotyczących drugiej wojny światowej), Zdzisława Mokranowska (podnosi temat obecności zwierząt w książkach Kossak), Anna Wypych-Gawrońska (przedmiotem zainteresowania badawczego czyni dramaty i adaptacje dramatyczne utworów prozatorskich autorki *Przymierza*), Joanna Warońska (uwypuklając kategorię wspólnoty, przygląda się dramatom Zofii Kossak oraz opisuje ich moralizatorski i edukacyjny charakter), Leszek Będkowski (posługując się językiem filmu, przedstawia różne wymiary *Błogosławionej winy*), Agnieszka Pobratyn (analizuje *Obecność Zofii Kossak we współczesnej kulturze*), Ewelina Dziewońska-Chudy (namysłowi poddaje *Harcerski model wychowawczy w publicystyce Zofii Kossak*) i Elżbieta Hurnik (przybliża stosunki i relacje panujące między Kossakami na podstawie listów i wspomnień) przekonująco oraz rzetelnie pokazują, jak można patrzeć na świat przez pryzmat dokonań i twórczości Kossak (z recenzentkiego obowiązku dodam, choć nie chciałabym niczego sugerować, by nie odbierać czytelnikowi radości lektury, studiowania i poznawania kolejnych kwestii związanych z życiem i twórczością Zofii Kossak, że odkrywczy jest artykuł Elżbiety Hurnik o niezwykłych więzach pomiędzy członkami rodu Kossaków na podstawie egodokumentów; sporo nowych ustaleń



LUCYNA SADZIKOWSKA

wnosi szkic Elżbiety Wróbel, wart refleksji staje się tekst wnuka pisarki. Być może studium Agnieszki Czajkowskiej mogłoby zostać poszerzone o wnioski dotyczące maryjności w *Roku Polskim*). Co istotne, autorom tekstów nie brakuje przy tym zdrowego dystansu, nie wpadają oni w ton emocjonalny, a trzeba zaznaczyć, że w przypadku pisarki i jej życia w przeszłości toczyła się dyskusja, w której to, co powszechnie uznać można za święte i wartościowe, ścięło się z tym, co niskie i prostackie.

Praca *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* jest na pewno ważną publikacją na rynku wydawniczym. Zmusza czytelnika do wstrzymania ewentualnego gestu odrzucenia współcześnie niezbyt popularnej literatury autorki *Bursztynów*, przekracza stereotypowe wyobrażenia o jej nieważności (nieaktualności), dysponuje wrażliwością etyczną i wyczuleniem na zjawiska rzeczywistości społecznej. Autorzy artykułów w monografii zbiorowej dostrzegają i ukazują kulturową naturę dziedzictwa Kossak, otwierają czytelnikowi oczy na wiele ignorowanych najczęściej aspektów oddziaływania twórczości Zofii Kossak na odbiorcę, szerzej – społeczeństwo. Pomieszczone w książce szkice, te swoiste studia przypadków – autonomiczne, choć układające się w przemyślaną konstrukcję – wyrażają zastanawiającą prawdę o pragnieniach ludzkości i wspólnoty, o przyzwoitości i wymiarze służby w każdym czasie, wreszcie o Zofii Kossak – Babci, miłośnicze zwierząt i historii, więźniarce lagru. Przede wszystkim zaś – o prawdziwej humanistce. ■

Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo. Pod red. Elżbiety Hurnik, Anny Wypych-Gawrońskiej, Eweliny Dziewońskiej-Chudy, przy współud. Artura Warzochoy. Wydawnictwo Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza, Częstochowa 2020, s. 310 + 12 tablic.

1. Diarysta zawsze jest w drodze. Uparcie dąży do celu, ale często zatrzymuje się, jakby sprawdzając, czy kierunek, który obrał, jest na pewno właściwy. Rytm jego narracji, powiedziałbym za Paulem Valérym, jest rytmem marszu. Kiedy kończy się marsz, wędrówka powinna osiągnąć kres. Ale w dokumentach życia osobistego rzadko kiedy zdarza się pointa. Diarysty, przypomina Krzysztof Kuczkowski za Adamem Mickiewiczem, „trudniej dzień dobrze przeżyć niż napisać księgę” (s. 7). Dlatego zapiski, notatki, listy, kartki z dziennika, czy też ich zbiory: pamiętniki, dzienniki, diariusze, wspomnienia, bloki korespondencji są zawsze po stronie fragmentu, a nie całości. I jakkolwiek zdaje nam się, że w lekturze świadectw mamy do czynienia z uobecnioną postawą eseisty, nic bardziej mylnego. „Eseista – dowodził Walter Hilsbecher – bliższy jest racjonalnego, fragmentarysta zaś irracjonalnego bieguna naszego ducha”. Pierwszy pozwala nam zorientować się w świecie, drugi ukazuje „możliwość przedstawienia nieskończoności świata, a także nieskończoności drogi poznania – to zaś oznacza innymi słowami: nierozwiązywalności zagadki świata”. Pierwszy uczy nas czytać znaki świata, drugi te znaki pozostawia.

„Dzieła umierają; fragmenty nie żyły, tym bardziej nie mogą więc umrzeć” – twierdził Emil Cioran. Nie będąc Mickiewiczowską „księgą”, fragmenty dziwią się światu, który jest niepoznawalny i nieskończony. Mogą być kategorięczne lub niepewne swego, a jednak stale mierzą się swoją znikomością z potęgą świata. Są po stronie pamięci, „ponieważ – pisze Kuczkowski – to właśnie pamięć uwalnia wrażenia zmysłowe, błyski, skojarzenia, informacje. Zapisane [...] nagle aktualizują się, wychodzą z cienia i rozjaśniają to, co skazane było na przepaść. Dowodzą, że w środku nocy nie musi być ciemno” (s. 8).

Środek nocy, medium nox jest – po Jaspersowsku – „pasyjny”; to znaczy – jak pisał Karl Jaspers – „przebija wszystkie nakazy. Rzuca się w ponadczasową otchłań Niebytu, która wciąga wszystko w swoje wiry”. Do pasji nocy „nie przemawiają powinności ani cele; jest ona zatraceniem i pragnieniem unicestwienia się w świecie, aby siebie zrealizować w głębi unicestwienia świata”. A przecież po nocy przychodzi dzień i jego mądrość często pozwala powstrzymać to, co w namiętnej ciemności wciągało diarystę w wir zatracenia. Jak to zapisał Piotr Cieleś: „Byłem na dnie i spojrziałem jeszcze w dół...” (s. 59).

2. Antologia Krzysztofa Kuczkowskiego zbiera świadectwa diarystyczne opublikowane w dwumiesięczniku „Topos”. „Zbiera”, czyli selekcjonuje fragmenty, układa je w całość, które będą się sobie dziwić i wzajemnie się dopełniać. Te „notatki na własny użytek”, jakby powiedział Wikientij Wieriesajew, uczestniczą w intymnym spektaklu wymiany doświadczeń różnych pokoleń, świadków różnych historii. Ale wciąż są własnymi notatkami, dopiskami do niepodrabialnych biografii, albo przypisami do jednokrotnego

KSIAŻKI

Zapiski z pamięci

życia. Czasami trudno zrozumieć bez tych przypisów większą całość.

Tadeusz Różewicz i Kazimierz Hoffman, Teresa Tomsia i Waldemar Żyszkowicz, ks. Jan Sochoń i Krzysztof Kuczkowski, Piotr Cieleś i Wojciech Kass, Przemysław Dakowicz i Adrian Gleń, kilkoro innych. Pisarze różnych dorobków, światopoglądów, odmiennego widzenia siebie i własnej twórczości, mniej lub bardziej dystansujący się wobec literatury jako sposobu bycia i wartościowania świata. Czasami – jak Różewicz – piszący z uśmiechem („Szczęśliwi mężczyźni, których «dozgonne towarzyski» życia nie są intelektualistkami”; s. 12); czasami – jak Hoffman – z nadmierną powagą („Jeśli jest Bóg, nie ma nicości. Przenika sobą wszystko. Oko bez powieki”; s. 24); czasami – jak Cieleś – depresyjnie („W depresji dusza znajduje się po części w czystcu, a po części – w piekle”; s. 61).

Każdy z autorów wypowiada fragment własnego doświadczenia, pozostawia znak w świecie, który go zadziwia. Adrian Gleń zapyta: „Która z chwil pozostanie po czasie?” (s. 115). Może epifania Piotra W. Lorkowskiego: „Kwiaty agaw na wysokich łądygach jak gotyckie pinakle” (s. 68). Może drwina Renaty Lis z Michailem Gorbaczowem: „A brzuch ma taki, że aż dziwi, że nie przewraca się do przodu” (s. 99). Albo zachwyty Bartosza Suwińskiego: „Różowo nad górami, jeszcze przed wschodem. Kocham cię jak stąd do słońca. Niech się świt trzyma ciebie, obojdzie zorze poza miastem” (s. 315).

3. Może nie każdy zapis wart jest intelektualnej uwagi, może wart jest tylko naszej uwagi emocjonalnej? Literackie itinerraria sąsiadują z uwagami na temat sztuki poetyckiej. „Kwestia lektury ma [...] bezpośrednie przełożenie na sposób wędrowania [...]” – powiemy za Adrianem Gleniem (s. 153). Miejsce walczy z duchem, duch z miejscem. Rozterka Wojciecha Kassa: „Tę-



MARIAN KISIEL

sknię za wierszem. Żeby mi się wiersz pisał. Czasem zazdrozczę, gdy pisze się innym” (s. 238), sąsiaduje z radością Piotra Cieleśa: „Dziś wieczorem przyszedł wreszcie do mnie. Wiersz o miłości. Wiersz, na który czekałem trzy miesiące” (s. 54). I z przekonaniem ks. Jana Sochoń: „Artysta umacnia przekonanie, że warto radować się cudownością bycia, dziwić istnieniem świata. I gdyby nawet spełniły się najczarniejsze przepowiednie, będzie on wierzył, że najważniejsze są miłość, dobroć, poświęcenie, pokora i wiara. W wieczór życia z nich będziemy rozliczani” (s. 198).

Antologia Krzysztofa Kuczkowskiego zaprasza do spotkania głównie z poetami. Każdy mówi do mnie, lecz o sobie, swoim doświadczeniu przeżywania świata. Powiem za Adrianem Gleniem: „Twarz staje się twarzą w spotkaniu z zupełnie innym, obcym” (s. 143); i za Elżbietą Czerwińską: „Niby wszyscy są razem, a tak jakby ich nie było w tej czterowymiarowej klatce zwanej rzeczywistością” (s. 326). Spotkanie przemienia się w empatyczne współuczestniczenie, w uważne wsłuchiwanie się w głosy napływające z różnych stron. Czas płynie, ukrywając się w szumie liści. „Między liśćmi nasze imiona ze światła i cienia. Zatrzymane uwięzione chwilą, jak strzała Zenona” – powie Bogdan Jaremin (s. 138).

Czytałem tę wieloautorską książkę z estetyczną radością, czasami z niepokojem, rzadko z zazdrością lub sprzeciwem. Nie wszystko mi się w niej spodobało, z pewnych fragmentów chętnie bym zrezygnował. Ale kiedy oddzieliłem światło od ciemności, zobaczyłem, że jest to dobre. ■

Północ / Medium nox. Zapiski z pamięci. Antologia „Toposu”. Wybór tekstów i red. tomu Krzysztof Kuczkowski. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2021, s. 396.

Muzeum Magicznego Realizmu w Wiśle to istniejąca od 2017 roku placówka, dysponująca największym w Europie zbiorem obrazów i rzeźb związanych z niesamowitym nurtem sztuki, jakim jest realizm magiczny. Działające w dawnej willi Juliana Ochorowicza muzeum przybliży też sylwetkę tego nietuzinkowego człowieka – wynalazcy, naukowca, pisarza, odkrywcy i badacza, ale także wizjonera, ocierającego się w swoich działaniach o ezoterykę i spirytyzm.

Wchodząc w bramę Ochorowiczówki zdawać się może, że przekraczamy portal do innego wymiaru, pozostawiając znany na co dzień świat za sobą. Tutaj poruszane żaglami lokomotywy przemierzają bezkresne wyspy lewitujące nad oceanami gazowych obłoków, gigantyczne maszyny bojowe, napędzane parą i elektrycznością, kroczą wśród galopujących kawalerzystów, a damy w wiktoriańskich sukniach obserwują z zaprzężonych w roboty powozów mknące po niebie rakiety i sterowce. Tutaj zmysłowa, subtelna erotyka spotyka się na ekspozycji ze stworami z najgorszych sennych koszmarów, a momentami wydaje się, że ze skonstruowanego przez Ochorowicza telefonu zaraz rozlegnie się ostry dzwonek, a w słuchawce usłyszymy głos pana Juliana.

Przed odbyciem tej niesamowitej podróży istotne jest wiedzieć, czym jest fenomen, ogólnie nazywany „magicznym realizmem”. Jako prąd w twórczości wywodzi się z surrealizmu, a po raz pierwszy tym mianem określony został w latach 20. XX wieku.

– Realizm magiczny to z pewnością kierunek twórczości, który starsze pokolenie odbiorców kojarzy zapewne z okładkami ukazującego się od po-



Wiślańska kolekcja dzieł realizmu magicznego przyciąga coraz więcej zwiedzających

W królestwie sennego marzenia

TOMASZ BIENEK

czątkowych lat 80. pisma „Fantastyka” – wyjaśnia Sebastian Chacholek, kustosz zbiorów Ochorowiczówki. – To nurt, w który wpisują się komiksy z serii Thorgal, jak i poezja Marquiza, to obrazy Zdzisława Beksińskiego, czy też produkcje filmowe takie, jak choćby znana na całym świecie *Gra o tron* lub ekranizacje dzieł Tol-

kiena. To w wielkim skrócie świat fantastyki, uniwersa herosów, smoków, latających okrętów i najróżniejszych dziwnych pojazdów; to obszar magii i baśni, który dzisiaj staje się coraz bardziej modny. Popularność ta wynika najpewniej z faktu, iż jest to sztuka, która podoba się wszystkim. Pokolenie 50-latków pamięta ten świat właśnie z ilustracji Borisa Vallejo czy Wojciecha Siudmaka zamieszczanych w starej „Fantastyce”, a dzisiejsi nastolatki mogą znać tę estetykę z gier komputerowych, do których grafikę wykonuje np. jeden z artystów, Jakub Różalski, którego prace eksponuje nasze muzeum.

Za pośrednictwem współczesnej popkultury, część z odwiedzających odnajdzie wśród eksponowanych w Ochorowiczówce dzieł motywy znane z ilustracji do książek w nurcie fantasy czy SF, filmów, wideoklipów lub gier osadzonych w wymyślonych realiach. Można tu podać przykład twórczości Jacka Szykarczuka, którego latające czy lewitujące skały można kojarzyć z filmem *Avatar*, lub Jarosława Jaśnikowskiego, którego motywy wpisują się w ceniony obecnie podgatunek fantastyki, jakim jest steam-punk, czyli alternatywną ewolucję cywilizacji, opartą na technice napędzanej maszynami



Stała ekspozycja Ochorowiczówki to m.in. prawie trzysta obrazów



Jacek Szykarczuk „Czas przejścia” (zbiory muzeum „Ochorowiczówka – Muzeum Magicznego Realizmu” w Wiśle)



Jarosław Jaśnikowski „Kolej Transsyberyjska” (zbiory muzeum „Ochorowiczówka – Muzeum Magicznego Realizmu” w Wiśle)







Marcin Kołpanowicz „Zimowa Katedra” (zbiory muzeum „Ochorowiczówka – Muzeum Magicznego Realizmu” w Wiśle)

parowymi i elektrycznością, raczej bez udziału elektroniki czy energii jądrowej (raczej – bo granice wymyślonych i alternatywnych światów są przecież płynne). Kreacje światów opartych na podstawach steam-punka, rozpoznawalne też ze względu na modę opartą na kanonach z epoki wiktoriańskiej, robią w ostatnich latach zawrotną furorę, czego przykładami mogą być generujące miliony dolarów serialowe produkcje jak *Carnival Row*, *Cień i kość* (Shadow and Bone), *Penny Dreadful* czy serialowa ekranizacja *Drakuli* Brama Stokera, wyprodukowana przez stację NBC w 2013 roku, w której tytułowy bohater (w tej roli Jonathan Rhys Meyers) zafascynowany jest potęgą elektryczności.

Jak przyznaje twórca Ochorowiczówki, wynikająca z fascynacji tym tematem idea wyeksponowania dzieł twórców związanych z różnymi nurtami fantastyki, tkwiła w nim od dawna, a co najważniejsze, dysponował on jednocześnie substancją w postaci dzieł artystów związanych z tego typu twórczością. Kolekcja zawierająca dzieła zarówno ze zbiorów samych twórców, jak i prywatnych kolekcjonerów, często wcześniej nieznane, potrzebowała tylko siedziby. Po nieudanych próbach pozyskania przestrzeni wystawienniczych w Krakowie i Katowicach wzrok założyciela muzeum padł na Wisłę i w zasadzie pewnej magii można wręcz dopatrywać się w dalszym biegu wypadków. Okazało się, że w beskidzkim uzdrowisku istnieje możliwość nabycia zrujnowanej willi – pierwszego murowanego domu, wybudowanego w Wiśle. Dom ten był mieszkaniem – ale też laboratorium, w którym swoje badania związane

Julian Leopold Ochorowicz – patron i dobry duch Muzeum Magicznego Realizmu żył w latach 1850 – 1917. Choć jako naukowiec (miał stopień doktora filozofii) związany z uniwersytetami w Warszawie i Lwowie zgłębiał sfery psychologii i filozofii, interesowały go futurystyczne w jego epoce kwestie techniczne. Fascynowały go możliwości przekazu głosu lub obrazu na wielkie odległości, postulował istnienie telewizji, którą sam nazywał telefotonom lub telefotoskopem. Podejmował prace nad urządzeniami, które mogłyby zrealizować jego wizje. W 1885 zaprezentował udoskonalony przez siebie aparat telefoniczny, znacznie lepszy niż urządzenie Alexandra Bella. Fascynowały go mikrofony. W Wiśle, do której przybył w 1899 roku, wybudował kilka pensjonatów, których wynajem miał pokryć koszty jego badań. Miejscowość zauroczyła go, uwiecznił jej ówczesny wygląd na fotografiach, i tutaj wybudował swoje prywatne laboratorium – dzisiejsze muzeum. Fascynacja światem metafizycznym – popularna w jego epoce, skłaniała do wiary, iż Ochorowiczówkę budował na miejscu silnego pola pozytywnej energii, jednak wchodząc w ten obszar zainteresowań Ochorowicza, pojawia się także wątek grozy – siedem lat przed śmiercią wynalazca nagle, z niewiadomych przyczyn porzucił swoje domostwo i wrócił do Warszawy. Powody tej decyzji do dziś pozostają całkowicie niewiadome, była jednak na tyle gwałtowna, iż wyjeżdżając, porzucił na pastwę losu dom i całe jego wyposażenie, bibliotekę, przyrządy badawcze i setki notatek. Podobno miejscowi chłopcy wypasający owce na okolicznych stokach rozpalali wieczorami ogniska, używając jako podpałki fragmentów jego archiwów. Ochorowicz nigdy tu nie wrócił; w dodatku pomimo swoich zasług i inwencji pozostaje osobą mało znaną.



z psychologią, mediumizmem i hipnozą prowadził Julian Ochorowicz. Wybudowana przez niego willa była też domem pracy twórczej polskich pozytywistów. Ochorowicz zapraszał tu Prusa, Reymonta, Siemiradzkiego.

Wśród częstych gości była też Maria Curie-Skłodowska ze swoim mężem, którzy blisko przyjaźnili się z Ochorowiczem. Budynek ten, który widział wielkich ludzi tamtych czasów, wybudowany jest podobno na bardzo silnym czakramie mocy.

– Gdy zacząłem śledzić dzieje tego domostwa, równocześnie przyglądałem się losom Ochorowicza, jednego z największych polskich naukowców, przy tym najbardziej zapomnianego – dodaje Sebastian Chachołek. – Okazuje się bowiem, że był to taki polski Leonardo da Vinci swoich czasów lub mówiąc językiem współczesnych realiów – taki Elon Musk przełomu XIX i XX wieku. Był to człowiek o umyśle wszechstronnym, wizjoner, jego zdolności były wielowątkowe. A przy tym był też taką niesamowitą osobą, która ze względu na ówczesną popularność seansów spirytystycznych, zainteresowana była światem metafizycznym. W ten sposób to niecodzienne miejsce wręcz zachęcało mnie, aby podnieść je z gruzów, odbudować, tchnąć w nie nowe życie – i umieścić właśnie w nim kolekcję magicznego realizmu.

Prace renowacyjne i adaptacyj-

fol. Tomasz Bieniek



Zbiory Muzeum Magicznego Realizmu w Wiśle to także prace rzeźbiarzy



Wrażenie, jakie wywierają na zwiedzających dzieła artystów, potęguje dobrze dobrane oświetlenie

ne trwały trzy lata. Ich uwieńczenie nastąpiło 1 maja 2017 roku, w setną rocznicę śmierci pierwszego gospodarza tego obiektu. W tym dniu muzeum otworzyło się dla zwiedzających.

Obecnie stała ekspozycja Ochorowiczówki to prawie trzysta obrazów twórców, posługujących się różnymi technikami. Można podziwiać prace Zdzisława Beksińskiego, Tomasz Sętowski, Rafała Olbińskiego, Wojciecha Siudmaka, Jarosława Jaśnikowskiego, Marcina Kołpanowicza, Hansa Bellmera, Beaty Jurkowskiej, Jakuba Różalskiego, Katarzyny Kani, ale też wielu innych utalentowanych twórców. Wielu z nich posługuje się technikami równie oryginalnymi, jak swoje prace. Wśród nich jest rzeźbiarz Artur Szoldra z Ustronia, tworzący niesamowite, czasem powodujące uczucie niepokoju rzeźby.

Unikatowy zbiór uzupełnia ekspozycja stała prac Salvadora Dalego. Składają się na nią 64 prace na papierze oraz kilka rzeźb. Choć nazwisko tego wielkiego mistrza jest marką samą w sobie i wielu gości przekraczając próg Ochorowiczówki, pragnie zapoznać się z jego twórczością – to wychodzą oni zafascynowani także polskimi twórcami realizmu magicznego.

Wśród zgromadzonych eksponatów osobny dział to artefakty bezpośrednio związane z postacią Juliana Ochorowicza. Można tutaj obejrzeć część jego korespondencji, notatek i dokumentów, przedmiotów osobistych, zdjęcia archiwalne współczesnej mu Wiśle, którym towarzyszą książki jego lub te, które w swojej epoce opatrzył przedmowami czy też artykuły prasowe dotyczące jego badań. Jest też replika skonstruowa-

nego przez Ochorowicza aparatu telefonicznego z 1885 roku. Zwiedzający może zapoznać się z historią życia i odkryć badacza, a także obejrzeć film o nim. Najbardziej niezwykle aspekty biografii wynalazcy oraz jego związki z Wisłą wyeksponowano na osobnych tablicach.

Ochorowiczówka to także wystawy czasowe, poświęcone polskiej sztuce współczesnej. W tym jednak przypadku organizatorzy nie koncentrują

się wyłącznie na realizmie magicznym – pokazywani są artyści lub tematy, które z racji swoich atrybutów są cenne dla publiki. Do końca sierpnia eksponowane są pejzaże związane z tematyką górską autorstwa Stanisława Chomiczewskiego, a we wrześniu muzeum zaprasza na wystawę prac Ilony Herc.

Muzealna oferta cieszy się sporą popularnością – już w pierwszym roku działalności, muzeum odwiedziło ponad 30 tysięcy osób. W ostatnim czasie zauważalna jest prawidłowość, iż goście to nie tylko turyści, którzy przyjechali do Wisły i przychodzą tu „przy okazji” – coraz częściej placówka staje się głównym celem podróży, a później urzeczeni ochorowiczowską magią zwiedzający decydują się na krótszy lub dłuższy pobyt w Wiśle.

Podczas zwiedzania nie sposób nie dostrzec smaku i wyrafinowania, jakie charakteryzują muzealne pomieszczenia. Lekkość doboru dzieł, przez które przesuwają się wzrok zwiedzającego, idealnie współgra ze świetnie dobranym oświetleniem, które wydaje się potęgować atmosferę i klimat oglądanych obrazów. Estetyka wnętrza, perfekcyjnie łącząca nowoczesność ze starym murem oraz wizualnym ciepłem drewnianych belek także nie pozostaje bez znaczenia w odbiorze całości. ■



Muzeum „Ochorowiczówka – Muzeum Magicznego Realizmu” znajduje się w Wiśle przy ul. J. Ochorowicza 6, w bliskim sąsiedztwie stacji PKP Wiśła-Dziehcinka oraz przystanków PKS. Jest czynne przez wszystkie dni tygodnia z wyjątkiem poniedziałku. Zwiedzać je można w godzinach od 11 do 18. Cena biletu normalnego to 12 zł, a ulgowego dla uczniów, studentów, emerytów, rencistów lub osób niepełnosprawnych oraz ich opiekunów – to 8 zł. Istnieje możliwość zakupu zbiorowego biletu rodzinnego dla dwójki dorosłych oraz dzieci w cenie 28 zł. Szczegółowych informacji udzielają pracownicy muzeum pod telefonem 690 044 214 lub drogą e-mail pod adresem muzeum@ochorowiczowka.pl

Eugeniusza Knapika postmodernizm natchniony

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



fol. arch.

Amerykański artysta R.I.P. Hayman obwieścił się dzwoneczkami, rzucił się na chodnik ruchliwej ulicy i zaczął się turlać. Dzwoneczki dzwonią, Hayman dyszy z wysiłku. Muzyka? Nowozelandka Annea Lockwood umieściła pianino w bagnie, oblała łatwopalnym środkiem i podpaliła (no bo jakże nie!). Trzaska palące się drewno, eksplozywnie pękają rozgrzane struny pechowego instrumentu. Muzyka? Kolejny Amerykanin, George Brecht umieścił na scenie drabinę, konewkę i wiaderko z wodą. Nałną wodę do konewki, wspiął się na drabinę i przelał wodę z konewki do wiaderka; trochę się przy tym rozlało na scenę (*Drip Music* 1962). Muzyka? Tenże Brecht, w utworze Koreańczyka Nam June Paika, w ramach zaleconego czasu trwania, rozciął sobie brzytwą przedramię. Muzyka? Teatr? Happening? Sztuka? Jeszcze inny Amerykanin, La Monte Young, kazał wykonawcom przesuwac krzesła, stoły, ławki – dźwięk powstawał dzięki szuraniu nogami mebli po podłodze (*Poem for Chairs, Tables, Benches* etc., 1960). Muzyka? W 1985 Słoweniec Vinko Globokar napisał *Corpoel*, utwór perkusyjny na... ciało. Instrumentem jest tu ciało wykonawczyń lub wykonawcy. Problem w tym, że niektórzy perkusistki wahały się, czy wykonać ten utwór, jako że Globokar wymaga, by soliści występowali półnago, odziani tylko w krótkie spodenki, tak aby bezpośrednio uderzać w skórę. Ale... dla chcącego nic trudnego! (Do tego dochodzą nucenie, ziewanie, chrapanie.) Muzyka? Ktoś – to już początek XXI wieku – łamie patyki i stuka kamieniami. Muzyka? Tak, ma nawet nazwę i filozoficzne uzasadnienia: *musica povera* (analogia do włoskiej *Arte Povera*), biedna muzyka, którą można np. grać na łopatach i łopatomy...

A wszystko zaczęło się od trzydziściu kompozycji Johna Cage'a 4'33" na dowolny instrument z 1952. Prawykonania dokonał David Tudor 29 sierpnia 1952 w Woodstock. Nie grał ani jednego dźwięku, siedział przy fortepianie i zamykał lub podnosił nakrywą klawiatury, zaznaczając kolejne odcinki utworu. W tym kontekście ekscesy futurystów i dadaistów to tzw. małe piwo.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX stulecia udało się artystom udowodnić, że w sztuce wszystko jest nie tylko możliwe, lecz i dopuszczalne. W obszarach muzycz-

nych doprowadzono też za pomocą technik serialnych i matematycznych do depersonalizacji oraz obiektywizacji procesu twórczego. Ekspresja dzieł wynikała z techniki kompozytorskiej i technologii, a nie na odwrót. Łatwo było przewidzieć, że w końcu nastąpi, jak zawsze, reakcja. Mówię tutaj, z braku wygodniejszego terminu, o „szeroko pojętym” postmodernizmie.

W muzyce polskiej ten przełom dokonał się ostatecznie w siódmej dekadzie XX wieku, główną zaś rolę w procesie tym odegrali obok Góreckiego, Kilara, Pendereckiego ówcześni młodzi debiutanci tacy jak Grażyna Pstrokońska-Nawratil, Eugeniusz Knapik, Stanisław Krupowicz, Andrzej Krzanowski, Aleksander Lason, Paweł Szymański. Wśród tych nazwisk Eugeniusz Knapik wydaje się najbardziej bezpośrednio związany z romantyczną tradycją, czego efektem jest łańcuch dzieł o porywającej, głębokiej ekspresji, raczej ekspresji niż techniki kompozytorskiej, bo jest on twórcą *par excellence* emocjonalnym, niewstydzającym się bardzo subiektywnego podejścia do kwestii wyrazowości muzyki.

Jednym z najwcześniejszych utworów w katalogu śląskiego twórcy jest Sonata na flet solo z 1971, którą świetnie zagrał superflucista Andrzej Staciwa na jednym z Festiwału Muzyki Fascynującej, który organizowaliśmy z moim przyjacielem, później Plastykiem Miejskim Katowic, Andrzejem Schaeferem. Jeśli zestawimy tę sonatę np. z *Cassandra's Dream Song*, również na flet solo, dziełem, które Brian Ferneyhough ukończył w tym samym roku, słyszymy dwa absolutnie różne, nieprzystające światy dźwiękowe. Ultraskomplikowanej, literalnie do przesytu naładowanej niecodziennymi efektami brzmieniowymi kompozycji Brytyjczyka przeciwstawia Polak prostotę środków, bezpretensjonalną, refleksyjną, liryczną i stonowaną linearność faktury. Oba dzieła są piękne – a jakże odmienne!

Ewolucja twórcza Eugeniusza Knapika jest o tyle ciekawa, iż wyróżnić w niej można kilka etapów, które prowadzą od fascynacji kulturą francuską, zwłaszcza impresjonizmem, muzyką Oliviera Messiaena, poezją Symbolistów (*Le Chant* na sopran i orkiestrę z 1976 do tekstu Paula Valéry; *Tak jak na brzegu morza...* na nagrany głos recytujący i zespół instrumentalny z 1977 do słów tego samego poety; także *La flûte de jade* z 1973

na sopran i orkiestrę do słów poetów chińskich w przekładzie francuskim) po dojrzałe inspiracje wielokulturowe, które prowadzą ku zainteresowaniu literaturą anglojęzyczną (*Tha' Munnot Waste No Time* z 1998 na trzy fortepiany i klarnet, nawiązujący do fragmentu powieści Frances Hodgson Burnett *The Secret Garden*; opera *Moby-Dick* z 2020, oparta na powieści Hermana Melville'a; *Beauty Radiated in Eternity* z 2012 na chór i orkiestrę do angielskiego przekładu poezji Hafiza). Dla mnie kulminacją tej ewolucji jest *Up Into Silence* z lat 1996–2000, cykl na sopran, kwartet smyczkowy i orkiestrę do słów E. E. Cummingsa i Jana Fabre'a, jedno z najdoskonalszych znanych mi dzieł wokalistyki orkiestrowej. Jak w *Versus I* na organy z 1982 i w tej wielkiej muzyce wyraźne są tropy messiaenowskie, ale nade wszystko wagnerowskie (*Wesedock Lieder*), strausowskie (*Vier letzte Lieder*), mahlerowskie (*Kindertotenlieder*), nawet bergowskie (*Sieben frühe Lieder*). Osobne miejsce zajmuje kompozycja *Wyspy* z lat 1983–84 na kameralną orkiestrę smyczkową – to muzyka natchniona wyobraźni artysty spełnionego, świadomego swych sił oraz środków kompozytorskich, tutaj dobranych wprost modelowo.

Eugeniusz Knapik urodził się 9 lipca 1951 w Rudzie Śląskiej. Jest absolwentem katowickiej Akademii Muzycznej w klasach fortepianu Czesława Stańczyka i kompozycji Henryka Mikołaja Góreckiego. Obecnie sam wykłada tam kompozycję. Miejmy nadzieję, że uda mu się wychować choć jednego równego sobie ucznia – w imię przyszłości polskiej muzyki. ■

Profesorowi Marianowi Borkowskiemu (*Śląsk* nr 303) serdecznie gratuluję Złotej Odznaki *Gloria Artis*, przyznanej mu w czerwcu, zaś Agacie Kiejar-Długosz i Łukasowi Długoszowi (*Śląsk* nr 302) chcę pogratulować przyznania im prestiżowej Nagrody Związku Kompozytorów Polskich za popularyzację polskiej twórczości współczesnej, a którą odbierają we wrześniu podczas „Warszawskiej Jesieni”.

Moja kochana Sophie!... Najdroższy mój Józku!

WERONIKA PAWŁOWICZ

23 czerwca Centrum Edukacyjne IPN Przystanek Historia przy ul. św. Jana w Katowicach przyjęło w swoich progach pierwszych od dłuższego czasu gości. W reżimie sanitarnym – w maseczkach, siedząc na rozstawionych w przepisowej odległości krzesłach – uczestniczyli oni w promocji książki *Głosy z „Ostatniego kręgu”*. *Korespondencja z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Kreta i Zofii Hoszowskiej-Kretowej*. Publikację opracowały prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz oraz prof. UŚ Lucyna Sadzikowska. Książka była nominowana do Nagrody Historycznej „Polityki”. Spotkanie prowadził prof. UŚ Lech Krzyżanowski z Instytutu Historii UŚ.

Prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz zainicjowała spotkanie opowieścią wspomnieniem o postaci Józefa Kreta (1895–1982) – harcerza, pedagoga, współtwórcy Uniwersytetów Ludowych. Autor *Ostatniego kręgu* pochodził ze Staromieścia pod Rzeszowem, pracował w Krakowie, a potem w Katowicach. Był nauczycielem i wychowawcą, zaangażowanym w pracę harcerską. W 1936 r. poślubił Zofię Hoszowską (1908–1983), nauczycielkę i drużynową. Ten wspaniały człowiek, obdarzony zdolnościami językowymi i talentem narracyjnym, wygłaszał piękne gawędy przy harcerskich ogniskach. Wprowadził harcerstwo na wieś, zwany był „Korczakiem wsi polskiej”.

W czasie wojny Kretowie przebywali w Staromieściu, gdzie oboje zaangażowali się w działalność konspiracyjnego

harcerstwa. Józef został aresztowany 2 maja 1941 r. Przeszedł przez więzienia w Rzeszowie i Krakowie, a trzy miesiące później przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Tu był ogrodnikiem, tłumaczem, mierniczym, przetrwał pracę w karnej kompanii. Pomagał innym, inni pomagali mu, kilkakrotnie uciekał śmierci.

Również Zofia była aresztowana i w więzieniu na Montelupich spędziła trzy tygodnie. Listy wysyłane przez Józefa Kreta z obozu przepełnione były troską o rodzinę, żonę i córeczkę Basię. Żona przekazywała nadzieję i słowa otuchy.

Więźniowie mieli prawo pisać listy, ale tylko raz na jakiś czas, o ograniczonej formularzem długości, wyłączenie po niemiecku i wyraźnie. Korespondencja – wysyłana i otrzymywana – podlegała też cenzurze i to dokonywanej przez kilku oceniających. Oni bezlitośnie skreślali, wycinali nieodpowiednie ich zdaniem słowa czy zdania, nawet wyrzucali całość. Więźniowie zmuszeni byli do kontrolowania własnych myśli i słów, używania stałych, obowiązujących zwrotów. Podporządkowali słowa wymogom, a także ograniczeniom językowym. Ponadto nie chcieli martwić rodzin swym trudnym położeniem, cierpieniem, dolegliwościami, zmartwieniami, przygnębieniem, strachem.

Profesor Sadzikowska wspomniała o systemie kodów, stosowaniu hasel, umownych wyrażen, które miały zupełnie inne znaczenie, a były zrozumiane

tylko dla nadawcy i odbiorcy. Więźniowie znajdowali sposoby na obejście zakazów. Odwoływali się do wspomnień, wizyt, przyjaciół, miejsc, lektur, by w ten sposób przekazać prawdziwe informacje. Jedna z więźniarek w liście do brata posłużyła się powieścią *Szatan z siódmej klasy*. Jak jej bohater zakodowała wiadomość, tworząc akrostych z pierwszych liter każdej linijki listu. A w polach pomiędzy linijkami tekstu prawdziwą wiadomość zapisała moczem.

Józef Kret i jego żona Hośka również mieli własne określenia na Rosję (Peligia), Francję (Laurie), więzienie (choroba). O sobie J. Kret pisał *Ojciec Basi...* Podobne systemy kodowania mieli też inni więźniowie, np. prof. Marian Henryk Serejski i jego żona Janina. Rodziny martwiły się o więźniów, a osadzeni w obozie obawiali się o życie swoich bliskich i przyjaciół. Długie oczekiwanie na list niepokoiło, a nawet najkrótsza, najbardziej oceniana wiadomość była upragnionym znakiem życia i pamięci.

Literatura obozowa jest już bardzo obszerna, zgromadzono i opublikowano wiele wspomnień, relacji, korespondencji. Wydane zostały listy Gustawa Morcinka z Dachau do siostry Teresy (w opracowaniu tych samych badaczek), korespondencja błogosławionych księży Stefana Wincentego Frelichowskiego i Franciszka Dachtery, grypsy Józefa Cyrankiewicza i Stanisława Kłodzińskiego. Wszyscy piszą o tym samym, tak samo: „Jestem zdrow i czuję się dobrze...”. Listy te są dokumentem czasu, świadectwem historii. Każdy z autorów pisał inaczej, w innym miejscu i w innej sytuacji. Różni są nadawcy i odbiorcy, a w konsekwencji odmienny jest każdy list. Inaczej pisze się do bliskich, do braci i siostr (jak to robił Morcinek), inaczej do małżonków (jak Kretowie czy Serejscy). Jeszcze inaczej do rodziców, do dzieci, przyjaciół. Wiadomości i sposób pisania zależą doświadczenia życiowego nadawcy, wykształcenia, zawodu. Inne są listy pisane przez nauczyciela, inne pisarza, profesora, kapłana, robotnika.

Profesor Krystyna Heska-Kwaśniewicz zwróciła uwagę na rolę otrzymanych przez więźniów listów. Dawały osadzonemu nadzieję, że bliscy żyją i pamiętają o nich, że poza drutami jest świat i ludzie, dla których trzeba przetrwać.

foto. arch.



Józef i Zofia Kretowie

Zofia Hońska w listach swoich przekazywała wiarę w Miłosierdzie Boże. Wtedy, w czasie wojny, został udostępniony wiernym obraz Jezusa Miłosiernego. Słowa „Jezu ufam Tobie” jej pomogły przetrwać więzienie. Modlitwę tę przekazywała Mężowi. I tak w „ostatni krąg” piekła wkraczał Bóg.

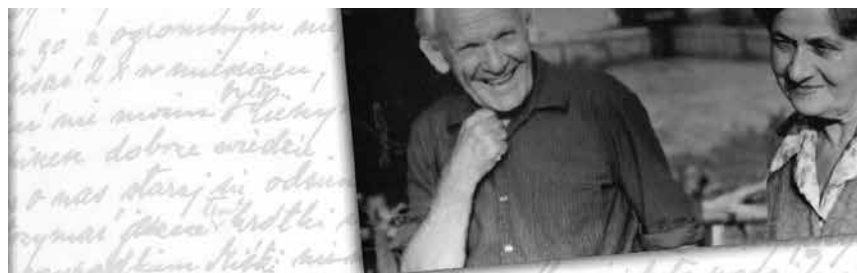
Józef Kret obóz przetrwał i po wojnie powrócił do Auschwitz. W 1956 r. podjął pracę w Muzeum, ale pamięć go pokonała, zrezygnował. W 1964 r. był świadkiem na procesie oprawców oświęcimskich. Przed sądem wygłosił swoje refleksje nad kwestią wychowania młodych ludzi, próbując odpowiedzieć na pytanie, jakimi metodami wychowano młodego człowieka na okrutnego oprawcę. Wspominał tu najmłodszego, wówczas 19-letniego Starka, który przewyższał okrucieństwem starszych. Wypowiadał się spokojnie, w jego głosie nie było nienawiści. Na sędziach i słuchaczach wywarł wielkie wrażenie.

Arkadiusz Kurek, germanista i nauczyciel LO im. Paderewskiego w Katowicach tłumacz listów wspomnień podczas dyskusji o swoich obawach przed rozpoczęciem pracy nad translacją listów z obozu. Przekład nie był łatwy, choć listy napisały poprawnie gramatycznie, prostymi słowami. Zawierają one jednak wielki ładunek emocjonalny.

Jedną z recenzentek, prof. Joanna Januszewska Jurkiewicz z Instytutu Historii, harcmistrzyni, opiniująca książkę – obok drugiego recenzenta dra Franciszek Pipera, pracownika Muzeum w Auschwitz – podkreśliła znaczenie tej książki dla poznania rzeczywistości obozowego życia. Zwróciła uwagę na wartość dokumentów, jakimi są m.in. listy słane z łagrów.

Profesor Katarzynę Tałuc interesowały trudności, jakie musiały pokonać redaktorki, opracowując te dokumenty. Zachowało się 49 listów z Auschwitz pisanych przez Józefa Kreta (44 do żony i 5 do szwagra Adama Hoszowskiego) oraz jeden gryps w języku polskim, a także 17 wysłanych przez Zofię Kretową. Powstały w okresie od 6 X 1942 do 15 XI 1944 r. To nie wszystkie, gdyż część przepadła lub została zniszczona. Korespondencja jest obecnie w posiadaniu córki, Barbary Schultheiss Kret, która mieszka w Szwajcarii. Listy są dobrze zachowane, pisane były starannie, ale miejscami pojawiły się problemy z właściwym ich odczytaniem. Teksty zostały przetłumaczone, następnie opracowane krytycznie. Wyjaśniano nieznane zwroty, zidentyfikowano wymienione w korespondencji osoby.

Swoimi wspomnieniami o Józefie Krecie podzieliła się również pani Stefania Mały, cieszyńska uczennica Józefa Kreta, polonistka i harcerka. Opowiadała o swoim Nauczycielu. Kret podjął po wojnie pracę w Towarzystwie Uniwersytetów Ludowych, po ich likwidacji prowadził Szkołę Pracy Społecznej. W roku szkolnym 1951/52 i tę zamknęto, a wówczas wraz



Głosy z „Ostatniego kręgu” Korespondencja z Konzentrationslager Auschwitz Józefa Kreta i Zofii Hoszowskiej-Kretowej

Opracowanie
Krystyna Heska-Kwaśniewicz
i Lucyna Sadzikowska



Katowice 2020



z żoną podjął pracę w Liceum Pedagogicznym w Cieszynie. Uczył patriotyzmu, ale bez zbędnych, wielkich podniosłych i często pustych słów, po prostu przekazywał wiedzę o pięknie Polski, o jej historii. Wędrowali po górach, zwiedzali miasta, zabytki – uczniowie musieli się wcześniej przygotować i przeczytać o geografii i historii odwiedzanych miejsc.

Zawiózł ich też do Auschwitz, poznali Muzeum, chodzili alejkami, wchodzili do baraków, nawet w jednym nocowali. Ale... wyrzucił kiedyś z klasy uczennicę, która siedziała w pierwszej ławce. Następnego dnia ją przeprosił. Okazało się, że na lekcji podpierała ręką głowę. Przypomniało mu to okrutnego strażnika, który tak samo siedział za stołem i wybierał ludzi na śmierć.

Obóz tkwi w podświadomości byłych więźniów, nie da się zatrzeć, wymazać. Ci, którzy przeżyli, mogli przekazywać doświadczenia, wspominać, przypominać, ostrzegać – mówić, pisać, malować... Albo wśliznąć w niepamięć, nie wracać do tamtych nocy i dni. Niektórzy nie zdołali za-

pomnieć. Popelnili samobójstwo. Obóz pokonał ich już po wojnie.

Inni dawali świadectwo. Jerzy Adam Brandhuber mieszkał i pracował w Muzeum Auschwitz, malował obrazy – szare i bezbarwne, w schematyczny sposób oddające sceny obozowe. Ale w 1979 r., tyle lat po zakończeniu koszmaru, pisał w liście do przyjaciela: „Jeszcze teraz malując, potrafię przeżyć to wszystko i to jeszcze głębiej aniżeli kiedyś”. Bo czy można wrócić bez śladów z takiego okrucieństwa?

Józef Kret, gdy w 1955 r. został po złamaniu nogi unieruchomiony w domu, zaczął pisać. Powstała książka *Harcerze wierni do ostatka* o ofiarności i walce harcerzy podczas wojny. Kilka lat później wydał *Ostatni krąg* – obraz życia w obozie w Auschwitz, gdzie znalazło się tak wielu harcerzy, także tam dochowujących wierności przyrzeczeniu. Opublikowana obecnie książka z korespondencją obozową stanowi swoiste dopełnienie jego świadectwa o czasie i miejscu, gdzie, jak pisał: „Oscyłowaliśmy między dwoma biegunami, ocierając się o szczyty dobra i bezdenną otchłań zła”.

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

Spotkanie Grupy Wyszehradzkiej w Katowicach

KATOWICE. W Katowicach spotkali się premierzy Polski, Czech, Węgier i Słowacji. Szczyt kończy rotacyjne przewodniczenie grupie przez Polskę, która przejęła prezydencję 1 lipca 2020 roku. Trudny dla naszego kraju temat wydobywania w kopalni węgla brunatnego w Turowie nie był poruszany ze stroną czeską. Spotkania premierów Grupy Wyszehradzkiej podczas polskiej prezydencji służyły zwyczajowej koordynacji stanowisk w kwestiach unijnych. Państwa V4 zgodnie wzywały do tego, aby negocjowany był Fundusz Odbudowy. „Jednym z głównych celów było to, aby Fundusz Odbudowy był funduszem dużym, znaczącym i elastycznym tak, aby różne sektory gospodarki mogły się jak najszybciej odbudować po pandemii – mówił premier Mateusz Morawiecki. Jak dodał, wspólna walka w ramach V4 doprowadziła do uzyskania bezprecedensowo dużych środków dla całej Grupy Wyszehradzkiej. Prezydencję grupy przejmują Węgry.

Prof. Marian Zembala tegorocznym laureatem nagrody arcybiskupa katowickiego Lux ex Silesia

KATOWICE. Wybitny kardiochirurg prof. Marian Zembala jest tegorocznym laureatem nagrody arcybiskupa katowickiego Wiktora Skworca: Lux ex Silesia (Światło ze Śląska), przyznawanej od ponad ćwierć wieku osobom kierującym się w swej działalności wartościami moralnymi i wnoszącym wkład w kulturę Górnego Śląska. Nazwisko laureata ogłaszane jest co roku 17 sierpnia w katowickiej archikatedrze Chrystusa Króla podczas mszy w uroczystość św. Jacka – głównego patrona archidiecezji i metropolii górnośląskiej. Wręczenie nagrody odbędzie się w drugą niedzielę października w czasie międzyuczelnianej inauguracji roku akademickiego w katowickiej katedrze.

71-letni prof. Marian Zembala jest wybitnym kardiochirurgiem, wieloletnim dyrektorem Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze. W 1997 r. dokonał pierwszego w Polsce przeszczepu pojedynczego płuca, a w 2001 r. – również pierwszy raz w Polsce – przeszczepił choremu płuca i serce. Mieszka w Tarnowskich Górach.

W 2012 r. profesor otrzymał papieski medal Pro Ecclesia et Pontifice – Dla Kościoła i Papieża. To jedno z najważniejszych odznaczeń przyznawanych przez urząd papieski osobom świeckim.

Wyróżnienie Lux ex Silesia przyznaje kapituła powołana przez metropolitę katowickiego. Nagrodę otrzymują związane z regionem osoby, ukazujące w swojej działalności naukowej lub artystycznej wysokie wartości moralne i wnoszące wkład w kulturę Górnego Śląska.

W ub. roku laureatką nagrody została folklorystka i etnolożka, wybitna znawczyni śląskiej kultury, prof. Dorota Simonides. Nagrodę ufundował w 1994 r. ówczesny metropolita katowicki arcybiskup Damian Zimoń. Dotąd otrzymali ją m.in. kompozytorzy Henryk Mikołaj Górecki i Wojciech Kilar, lekarze Kornel Gibiński, Franciszek Kokot, Mieczysław Chorąży, językoznawca Jan Miodek, ordynariusz diecezji opolskiej abp Alfons Nossol, dyrektor Biblioteki Śląskiej proc. Jan Malicki, Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk”, aktor Franciszek Pieczka i in.

Organy piszczalkowe dla NOSPR

KATOWICE. Zniknie ostatecznie widoczna od wielu lat makietta organów umieszczona nad sceną NOSPR, by w jej miejsce wybudowany mógł być długo wyczekiwane, prawdziwe organy piszczalkowe, które będą jednymi z największych w europejskich salach koncertowych!

Elementy składowe instrumentu wyprodukowane zostały przez słoweńską firmę Organ-Building Škrabl – Orglarstvo Škrabl w porozumieniu z architektem siedziby NOSPR, Tomaszem Koniosem oraz prof. Julianem Gembalskim, organistą i organologiem, byłym rektorem Akademii Muzycznej w Katowicach, który jest autorem koncepcji organów NOSPR oraz pełni rolę eksperta w całym projekcie.

Na organy składa się: ponad milion części, 105 głosów, dwa stoły gry – stacjonarny o 4 klawiaturach i mobilny z 5 klawiaturami, każdy stół posiada dodatkową klawiaturę nożną. Wymiary całej konstrukcji to 13 metrów wysokości 9 metrów szerokości 5,5 metra głębokości. Organy dla NOSPR zbudowane są w stylu francuskiego symfonizmu, nawiązując do najlepszych europejskich tradycji. Znajduje się w nich wiele rozwiązań inspirowanych legendarnymi instrumentami z katedr w Rouen czy paryskiej Notre Dame, a także osiągnięciami romantycznego budownictwa niemieckiego. Jednocześnie w katowickich organach znajdują się nowoczesne systemy elektromagnetyczne, elektroniczne i światłowodowe wprowadzające nobliwy instrument do świata najnowszych technologii.

Święto Wojska Polskiego w 100-lecie III powstania śląskiego

KATOWICE. Pod Pomnikiem Żołnierza Polskiego w Katowicach odbyły się obchody Święta Wojska Polskiego w 100-lecie III powstania śląskiego. W czasie uroczystości złożono wieńce i kwiaty pod pomnikiem, wręczono także nominacje podchorążych Legii Akademickiej. Odczytano Apel Pamięci, oddano Salwę Honorową.

Uroczystość uświetnił m.in. przelot samolotów Sił Powietrznych RP oraz pokazy sprzętu i uzbrojenia WP. Wydarzenie zakończyła defilada oraz żołnierski poczęstunek – grochówka.

Wcześniej w Archikatedrze Chrystusa Króla w Katowicach odprawiona została msza święta w intencji Ojczyzny.

15 sierpnia jest świętem upamiętniającym jedno z największych zwycięstw oręża polskiego odniesione w Bitwie Warszawskiej 1920 roku nad Rosją Sowiecką. Ta batalia, zwana osiemnastą, decydującą bitwą w dziejach świata, uchroniła odradzającą się Polskę przed utratą niepodległości i powstrzymała marsz rewolucji przez Europę.

Likwidacja Filii publicznych bibliotek pedagogicznych

KATOWICE, KŁOBUCK, TARNOWSKIE GÓRY, DĄBROWA GÓRNICZA, RACIBÓRZ. Mając na celu racjonalizację sieci filii publicznych bibliotek pedagogicznych, dla których organem prowadzącym jest województwo śląskie, Zarząd Województwa przyjął projekty uchwał Sejmiku Województwa Śląskiego w sprawie:

likwidacji Filii w Kłobucku Publicznej Biblioteki Pedagogicznej, wchodzącej w skład Regionalnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli „WOM” w Częstochowie;

likwidacji Filii w Tarnowskich Górach Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej im. Józefa Lompy w Katowicach;

likwidacji Filii w Dąbrowie Górniczej Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej im. Józefa Lompy w Katowicach;

likwidacji Filii w Raciborzu Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, wchodzącej w skład Regionalnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli i Informacji Pedagogicznej „WOM” w Rybniku.

95-lecie istnienia Związku Podhalan na Żywiecczyźnie

MILÓWKA. Uroczysta msza święta połączona z odpustem oraz festyn regionalny wypełniły obchody 95-lecia istnienia Związku Podhalan na Żywiecczyźnie, których gospodarzem była Milówka, zorganizowane w ramach trwającego Roku Górali

Przed rozpoczęciem uroczystości złożono wieńce pod pomnikiem upamiętniającym bohaterską postawę żołnierzy i powstańców śląskich walczących o powrót tych ziem do Macierzy. Po zakończeniu nabożeństwa kolorowy korowód przeszedł ulicami Milówki do amfiteatru, gdzie rozpoczął się regionalny festyn, który wypełnił m.in. koncert pieśni patriotycznych wpisujący się w klimat towarzyszący Świętu Wojska Polskiego. Była również okazja do skosztowania potraw miejscowej kuchni, wystąpił zespół „Istebna”, a także część typowo rozrywkowa: wybór Cepra i Ceperki Roku.

Charakterystyczny dla Górali Żywieckich jest strój, który w praktyce stanowi kryterium określające zasięg tej grupy oraz kultura duchowa, a także mocno wyodrębniony obszar zasiedlenia. Geograficznie, zachodnia granica jest zarazem pochodną granicy politycznej przez kilka stuleci oddzielającej Żywiecczyznę od Śląska Cieszyńskiego. Górale żywieccy mieli znaczny udział w powstaniu młodszych grup góralskich: Orawiaków czy też Górali Czadeckich. W dużej mierze Żywiecczyzna ogniskuje regionalizm góralski zachodniej części Góralczyzny Polskiej, odgrywając rolę analogiczną do tej, jaką dla całej Góralczyzny Polskiej odgrywa Podhale.

Folk Solution

KATOWICE. Po „Soft Power” i „Exodusie” Zespół „Śląsk” stworzył spektakl pt. „Folk Solution”. Premiera widowiska odbyła się 31 lipca 2021 r. podczas Festiwalu Tauron Nowa Muzyka w Katowicach. Twórcy spektaklu „Folk Solution” podejmują próbę konfrontacji muzyki elektronicznej i tańca współczesnego z polskim folklorem.

Zespół, znany w kraju i za granicą przede wszystkim jako instytucja kultury przedstawiająca polski folklor w formie scenicznej, pokazuje jego wielobarwność i bogactwo w muzyce, pieśniach i tańcach ludowych opracowanych przez założycieli Zespołu – Stanisława Hadyne i Elwirę Kamińską. Tym razem podejmuje próbę konfrontacji muzyki elektronicznej i tańca nowoczesnego z polskim folklorem muzyczno-tanecznym.

Zarówno w podkładzie dźwiękowym, jak i w choreografii widowiska współistnieją dwie niezależne warstwy. Jedna z nich ilustruje współczesny świat przepełniony kaskadą industrialnych dźwięków i podporządkowany monotonii mechanicznych ruchów. Druga nawiązuje do tradycyjnego folkloru nasyconego emocjami i historycznymi wątkami, które od wieków z pokolenia na pokolenie były przekazywane w muzyce, tańcu i śpiewie ludowym.

Czy Stanisław Hadyne chciałby zaakceptować taką drogę ewolucji artystycznej Zespołu?

KSIĄŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



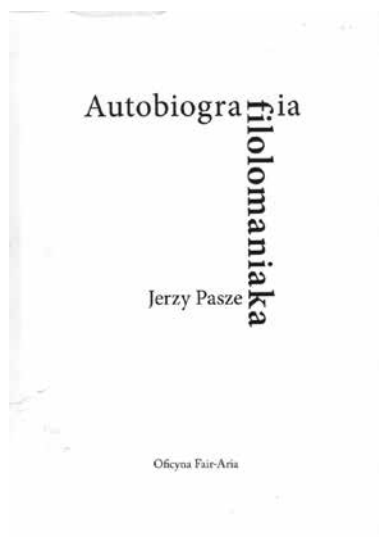
Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka, 2/2021. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Teodor Parnicki, Listy do Konstantego Symonolewicza z lat 1928 – 1949. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Tomasz Markiewka. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Nim wybuchło pierwsze powstanie śląskie 1919 roku. Teksty źródłowe do genezy i początków konspiracji wojskowej. Do druku przygotował Edward Długajczyk. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfanteo, Katowice 2021.



Jerzy Paszek, Autobiografia filolomaniaka. Wydawca: Oficyna Fair-Aria, Miasto Gwarków 2021.

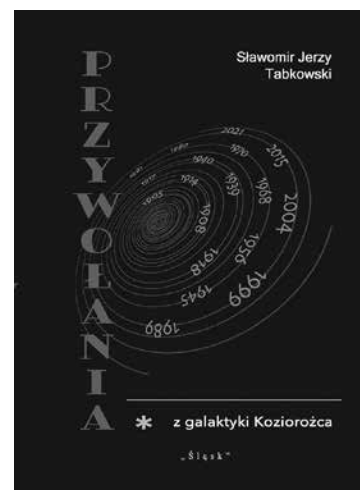
Świąty poetyckie Barbary Gruszki-Zych



Pod redakcją
Ewy Bartos i Joanny Kisiel

„Śląsk”

Świąty poetyckie Barbary Gruszki-Zych. Pod redakcją Ewy Bartos i Joanny Kisiel. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Sławomir Jerzy Tabkowski, Przywołania z galaktyki Koziorożca. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Marcin Gacek, Ukąszenie Monomacha. Konflikt między Rzeczpospolitą i Moskwą w latach 1648 – 1667. Studium socjologiczne z pogranicza wojny, literatury i polityki. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2021.



Harry Duda, Koncert na dwie struny. Wydawca: Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu, Opole 2021.



ŚWIĘTY FLORIANIE
MIEJ W OPIECE
NASZYCH HUTNIKÓW
ŚWIĘTOCHŁOWICE
1828 - 1978



LITERATURA
FILM
GRY

DYSKUSJE
SPOTKANIA
WARSZTATY

FANTASTYKA 2021

18-25 WRZEŚNIA
ZAGŁĘBIOWSKA MEDIATEKA
SOSNOWIEC, UL. KOŚCIELNA 11

ZNAJDZIESZ NAS NA: www.biblioteka.sosnowiec.pl [mbpsosnowiec](https://www.facebook.com/mbpsosnowiec) [bibliotekasosnowiec](https://www.youtube.com/bibliotekasosnowiec) [mbp_sosnowiec](https://www.instagram.com/mbp_sosnowiec)

ORGANIZATOR
 **Zagłębiowska
MEDIATEKA**

**Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.**

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

PATRONAT HONOROWY
Prezydent Miasta Sosnowca
**Arkadiusz
Chęciński**

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY